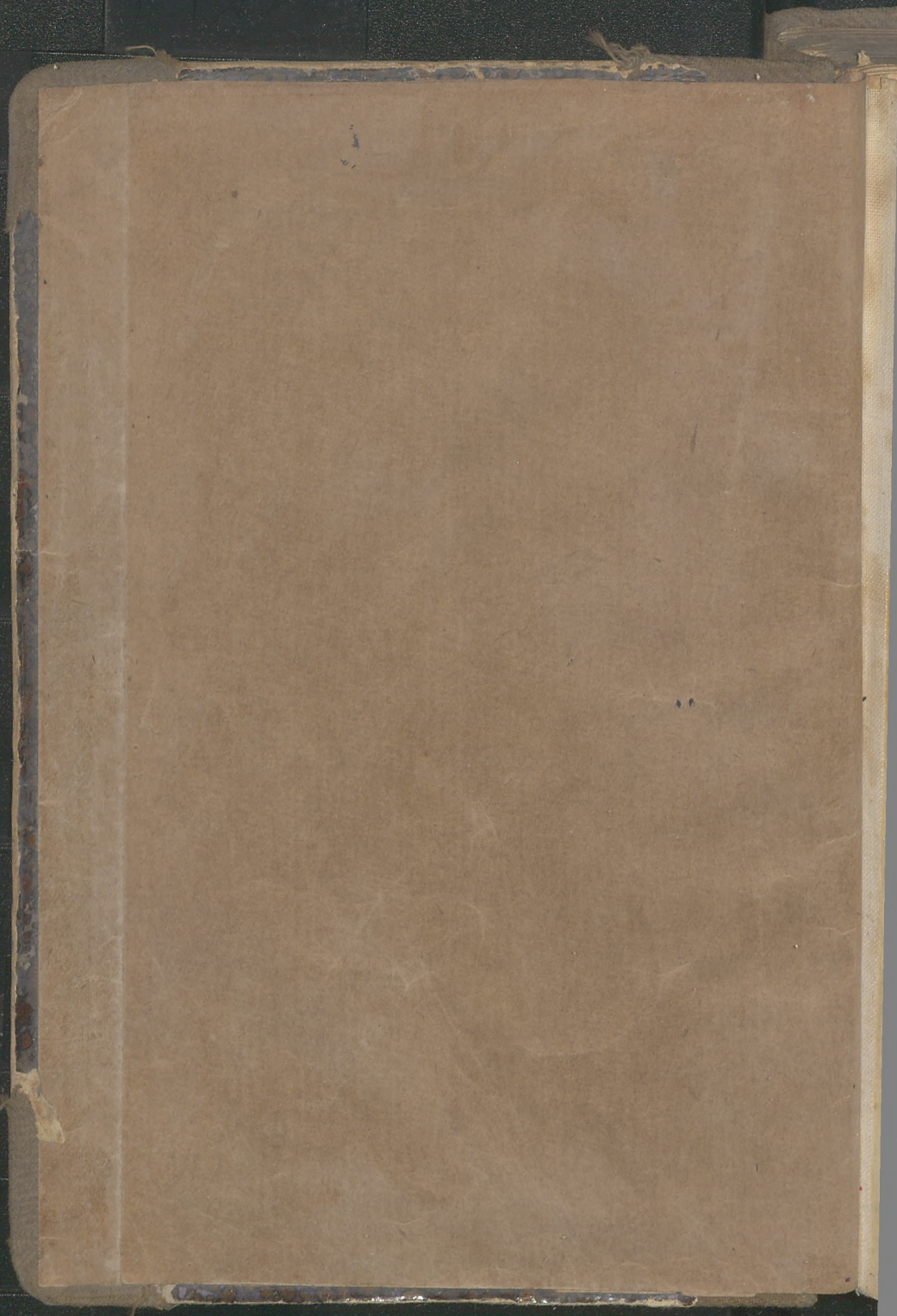




BIBLIOTEKA
P. K. S.
W KRAKOWIE

I 460.369.

2



2.

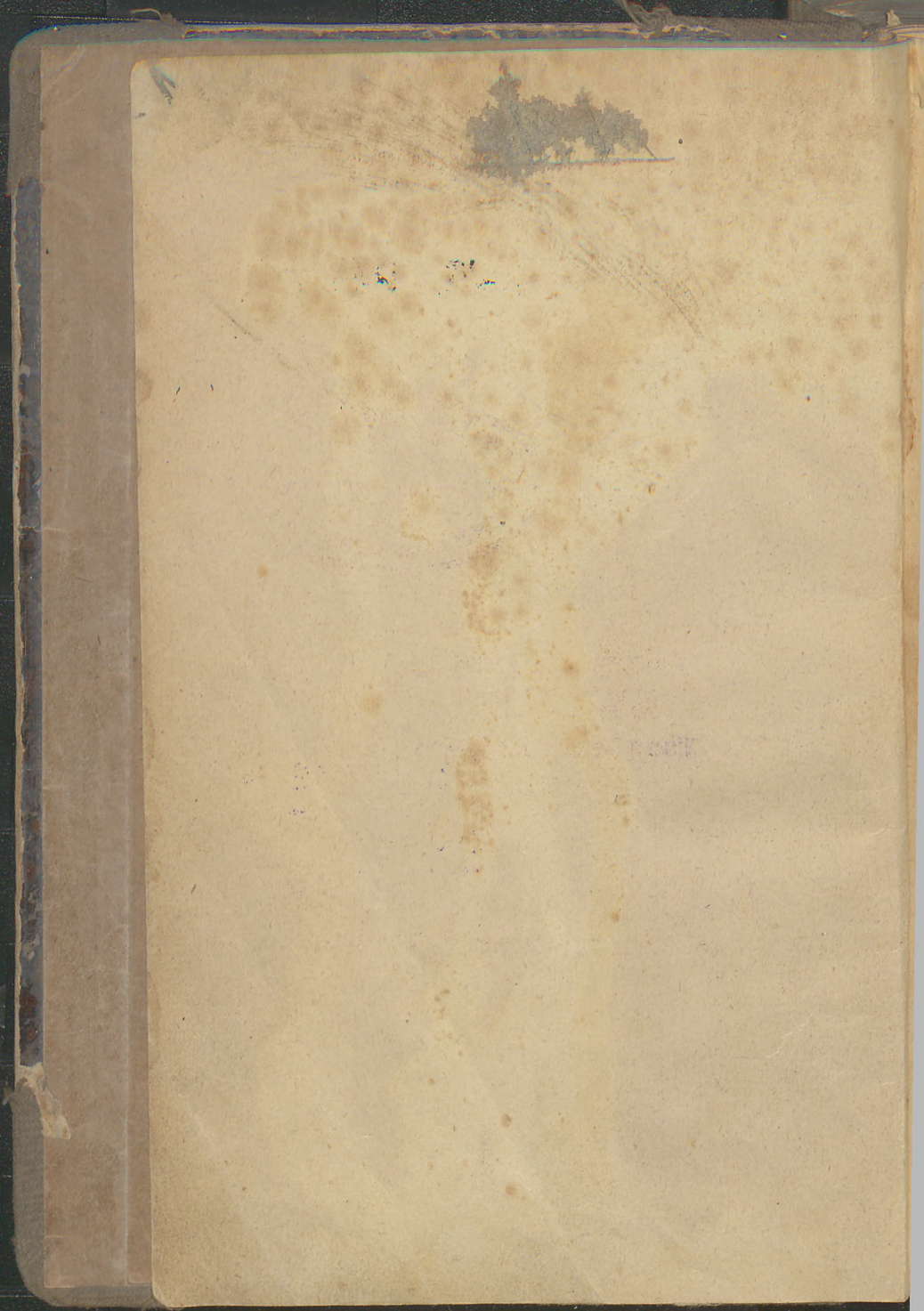
№ 2461



KAWALER DES OUCHES

WŁASNOŚĆ NIE POZBYWALNA
ŚWIETLIĆ
Biblioteka Funkc. P. w Krakowie

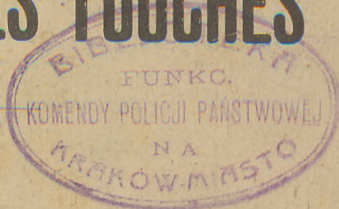
NIE WISZCIEC
do to własność wspólna



~~XXXXXXXXXX~~ 151
J. BARBEY D'AUREVILLY

№ 2461

KAWALER DES TOUCHES



PRZEKŁAD LUCYANA RYDLA

WŁASNOŚĆ NIE POZBYWALNA
ŚWIETLICY

Międzych. Funkc. P. P. w Krakowie



BIBLIOTEKA
P. K. S.
W KRAKOWIE.

NIE NISZCZYĆ KSIĄZEK
bo to własność wspólna

W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1901

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

II.460.369

KA

af

W

W DRUKARNI «CZASU» POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO

№ 2461



Ojcu Mojemu.

Mam tyle powodów, mój Ojcze, by Ci poświęcić tę książkę, która przypomni Tobie niejedno, co z czcią w sercu przechowujesz! Znałeś się z jednym z bohaterów tego opowiadania i brałbyś był może udział w bohaterskich czynach jego i jedenastu Towarzyszów broni, gdybyś na barkach miał o kilka lat więcej, w on czas, gdy rozgrywał się ten dramat wojny domowej! Ale Ty, Ojcze — byłeś wtedy dzieckiem, dzieckiem, którego śliczny portret do dzisiaj zdobi błękitny pokój mej babki. Pokazywała go nam, braciom moim i mnie, w latach dzieciństwa naszego, podnosiła ku niemu palec i wyciągała kształtną swą rękę, upominając nas, abyśmy rośli sobie podobni.

Zaiste, najlepiejby to dla mnie było, mój Ojcze. Żywot swój szlachetnie spędziłeś, jak starożytny *Pater Familias*, panem byłeś w domu, z godnością usunąwszy się w zacisze, wierny przekonaniom — które tryumfów nie święciły — jak ogar co nie odstępuje flinty, choćby kurek nie był odciągnięty. Bo też i wojna partyzancka zagasła

w orężnym blasku cesarstwa i przyćmiła ją sława Napoleona.

Mnie nie było przeznaczone takie pogodne, tegie życie. Miasto, iżbym tkwił w ojczyściej ziemi jak Ty, co podobny byleś wrośniętemu w nią potężnemu dębowi, poszedłem w świat, ja, niespokojna głowa — i gonilem za tym wichrem, o którym powiada Pismo — za wichrem, który niestety, wszędzie jednako umyka się przed palcami człowieczymi. — I oto zdala posyłam Ci tę książkę, niechaj Ci ona przypomni, kiedy ją będziesz czytał, twoich rówieśników i rodaków nieszczęśliwych. W tej powieści ja ręką moją zwracam im tę kartę historii, na której się zapisali.

Pelen czci i przywiązania syn

Juliusz Barbey d'Aurevilly.

I.

Trzy stulecia w jednym zakątku.

Było to za ostatnich lat Restauracyi. „Pół na ósmą“ — jak mówią w zachodniej Francyi — wybiło właśnie w staroświeckim miasteczku Valognes, na wieży zegarowej, kończącej na kształt igły, a ze wszech stron oszklonej, jak latarnia. Ciszę na Placu Kapucyńskim przerywał tylko łoskot kłapiącej pary drewnianek; stukały one krokiem przyśpieszonym, jakby uciekając przed jankowąż trwożą albo przed słońcą. Plac Kapucyński o tej porze opustoszały był i ponury, bez mała jak *Błonia pod Szubienicą*. Każdy, kto zna tamte strony, wie dobrze, iż *Błonia pod Szubienicą* biorą nazwę swoją stąd, że były niegdyś miejscem tracenia, przez długie zasię lata leżały odlegiem na prawo od drogi, wiodącej z Valognes do Saint-Sauveur-le-Vicomte, a wszelki podróżny omijał je z zabobonnym lękiem.

Wpół do ósmej nigdzie, co prawda, nie może uchodzić za godzinę niezwykle późną, jednak i

deszcz padający bezustannie od rana i ciemność — bo przecie było to w grudniu — i tryb życia w tem zamożnem, nieruchliwym, zacisznem miasteczku, tłomaczyły dostatecznie pustkę, jaka zalegała plac Kapucyński; to też niejeden mieszczanin, oddawna siedzący w domu, musiał się zdziwić, jeśli usłyszał poprzez szczelnie zamknięte okiennice chód pary drewnianek, co zgrzytały i klekotały po mokrym bruku; niebawem zaś inny hałas gwałtownie zawtórował ich łoskotowi.

Drewnianki minawszy róg placu, wysypanego żwirem w pośrodku, a brukowanego wzdłuż czterech połaci, przechodziły widocznie obok zielono malowanej bramy pana de Mesnilhousseau (dla licznej psiarni, którą chował, zwano go Mesnilhousseau, Psi-Wujek) — drewnianki tedy stąpieniem swoim zbudziły całą sforę onych śpiących stróżów. Więc przeciągłe wycie wzbilo się ponad mur dziedzińca i rozlegało się bez końca, a brzmiała w niem ta rozpaczliwa żałość, jaką czuć w psiem skomlaniu po nocy. To jednostajne, beznadziejne, przewlekłe skowytanie psów, co próbowały wetknąć nozdrza i przednie łapy pod olbrzymią bramę wjazdową, jakby na placu przeczuwały rzecz jakąś niesłychaną i straszliwą; ów czarny wieczór i wichør zacinający dżdżem i ów pusty plac, dawniej taki wesóły, drzewami w kwadrat zasadzony, na podobieństwo angielskiego skweru i zdobny białemi sztachetkami — ów plac budzący obecnie grozę, odkąd w roku 182.. postawiono w środku krzyż, a na krzyżu męczył się jaskra-

wo pomalowany, krwawy Chrystus naturalnej wielkości — wszystko to razem rzeczywiście mogło przerażać przechodnia w drewniankach. Szedł, nastawiwszy parasol naprzeciwko wiehurze, a deszcz lejąc, bębnił dudniącemi kroplami po rozpiętym jedwabiu, jak gdyby to nie krople były, lecz ziarnka kryształu.

Niechajby tak ów nieznamy przechodzień miał istotnie wyobraźnię prostaczka, wierzącego w nadprzyrodzone zjawiska, albo niechajby go niepokoiło sumienie, czy trawił smutek, lub niechby poprostu był jedną z tych istot wrażliwych, jakie zdarza się widzieć na wszelkich szczeblach społecznej drabiny — to każdy przyzna, iż wszystko, co się dotąd powiedziało, do szpiku kości mogłoby go przejąć dreszczem i bicie jego serca przyspieszyć w dwójnasób. A już najbardziej przerażać mógł go ten wizerunek zbrozonego krwią Boga. Nawet za dnia, w wesołym świetle słonecznym, odrazę budziło grubiaństwo kolorów, jakimi był pomalowany, a cóż dopiero w nocy, kiedy go wprawdzie nie było widać, a jednak czuło się jego obecność tuż, w pobliżu — i wiedziało się, że wyciąga ramiona w noc czarną.

Ale, jak gdyby tego jeszcze nie dość było — stała się nagle rzecz dziwna, tem dziwniejsza w tem miasteczku, gdzie o takiej porze wtuleni w barłóg śpią żebracy i gdzie uliczni rzezimieszkowie, bohaterzy gościńców, byli czemś prawie nieznanem — zaiste rzecz stała się niesłychana. Na rogu ulicy Siqueta, w pośrodku Placu Kapucyń-

skiego, latarka, rzucająca wiązkę promieni z popod pochylonego naprzód parasola, zgasła nagle, kiedy mijać miała wielki krucyfiks. I zdmuchnął ją nie podmuch wiatru, a ludzkiego tchnienia. Żelazne nerwy tej ręki, co niosła latarkę, podniosły ją właśnie wtedy w górę, na wysokość twarzy jakiegoś widziadła, z którego wychodziły słowa. Niedługo to trwało, niedługo, jedną chwilę, jedno мгновение. Ale bywają chwile, co wieki całe trwają. Wówczas to psy zawyły. I wyły ciągle jeszcze, kiedy dzwonek zadźwięczał u pierwszej bramy w ulicy Karmelickiej, która idzie od drugiej, najdalszej połaci placu — wyły, gdy osoba w drewniakach wchodziła, lecz już bez drewnianek, do salonu Ichmość Panien de Touffedelys, które na nią czekały z wieczorną pogawędką.

Osoba ta, lub raczej ten mężczyzna, nosił wytworny strój księży „z dawnych dobrych czasów“ — jak często wówczas mawiano. Zresztą nic w tem nie było dziwnego, bo istotnie był to ksiądz.

— „Słyszałam zbliżający się pojazd księdza“ — rzekła młodsza z sióstr Touffedelys Jejmość Panna Sankta. Nie zdolna w żaden sposób zdobyć się nawet na najmniejszy własny dowcip, powtarzała zwykły żart księdza, gdy mówił o swoich drewniakach.

Ksiądz, zrzucił był w przedpokoju długi płaszcz z zielonawego drelichu, który przedtem nawdziany był na czarną sutannę, i wszedł do małego saloniku, wyprostowany, okazały; głowę na ramionach trzymał, jak relikwiarz, i skrzypiał trzewikami

z czerwonego sefianu, którym na ulicy za ochronę od wilgoci służyły drewnianki. Aczkolwiek niedawno doznał jednego z tych wrażeń, co uderzają, jak piorun, jednak nie wydawał się ni bledszy, ni czerwieński, niż zwykle; miał bowiem cerę grubą, jak polewa na garnkach, a na cerę tego rodzaju nie zdoła się wybić żadne wzruszenie. Zerwawszy z prawicy rękawiczkę, podawał dokoła dwa palce całej tej czwórce, która obsiadła dokoła kominek, a teraz, na jego wejście, przerwała rozmowę.

Podał wreszcie owe dwa palce ostatniej osobie tego nielicznego grona, ta zaś zawołała z niepokojem:

— „Coś musiało się stać, mój bracie!“ — ciekawa rzecz, jak to po nim poznała? — „Ty dziś jesteś jakiś nieswój“.

— „Stało się to“ — odpowiedział ksiądz głosem silnym, a poważnym — „że przed chwilą stara krew Hotspurów o mało nie zdrewniała we mnie ze strachu“.

Siostra patrzyła nań z niedowierzaniem, ale panna de Touffedelys, która gotowa byłaby uwierzyć, gdyby jej kto powiedział, że wół może latać na skrzydłach i nawet w oknie stanęłaby, żeby to zobaczyć — panna Sankta de Touffedelys, która nie czytała nigdy Shakespere'a, i z wszystkiego, co mówił ksiądz, zrozumiała jedno tylko wyrażenie: „ze strachu“ — odezwała się zaraz:

— „Najświętsza Panno! Cóż się stało? — Może ksiądz spotkałeś duszę Ojca Gwardyana Kapucy-

nów, błakającą się po placu? Psy pana Mesnil-houseau dziś wieczorem zawodziły tak samo, jak zawsze, kiedy poczują duszę Gwardyana, lub kiedy młotek świętego Bernarda zapuka po trzykroć do drzwi której celi w klasztorze Panien Bernardynek, tu — obok“.

— „Naco to mówić księdzu, moja siostró“ — rzekła Urszula de Touffedelys, tonem pierworodnej, upominającej młodszą siostrę. — „Wiesz przecie, że ksiądz był w Anglii i w duchy nie wierzy!“.

— „A jednak, na zbawienie duszy, widziałem ducha“ — rzekł ksiądz tajemniczo. „Nie inaczej Waszmość Panno, nie inaczej siostró moja! Nie inaczej mój Fierdrap! Przypatrzcie mi się dobrze, otwórzcie oczy jak najszerzej, choćby was aż głowa z tego rozboleła! Rzeczywiście tak było, jak miałem zaszczyt wam powiedzieć: widziałem ducha. To było widzenie nagłe, przerażające, ale prawdziwe! Widziałem go, jak was tu wszystkich widzę, jak ten fotel widzę, albo tę lampę“...

I przytknął do podstawy lampy koniec laski, wyciętej z winnej macicy, poczem laskę w kącie postawił.

— „Ty żarty lubisz dyabelnie, więc miałbyś ochotę, żebym dla twojej przyjemności w to uwierzył?“ — rzekł baron de Fierdrap — gdy ksiądz powrócił przed kominek i stanął plecami do ognia zwrócony, a twarzą ku fotelowi, który doń przyjaźnie wyciągał poręczę.

— „Czy to był istotnie Ojciec Gwardyan?“... — zaczęła znowu Jejmość Panna Sankta, oblana zimnym potem; paliła się bowiem z ciekawości, a zarazem było jej, jak gdyby kawał lodu zsuwał się jej po łopatkach.

— „Nie“ — odparł krótko ksiądz i urwał. I oczy wlepił w wywoskowane, ślniace tafle posadzki. Tak urywa człowiek, zastanawiający się nad czemś, co ma wypowiedzieć, i wążący to słowo, które rzuci.

Stał tak pod wrytymi weń spojrzzeniami czterech osób siedzących dokoła; one zaś, rzeczy można, że wzrokiem wchłaniały w siebie już naprzód to, co jemu jeszcze przez usta nie przeszło. Jeden tylko baron de Fierdrap w przekonaniu, że to krotochwila jakowaś, mrugał okiem figlarnie z takim wyrazem, jak gdyby mówił: „Już ja cię znam, bratku“!

Salon rozświetlały tylko mdłe blaski lampy, zaćmione przysłoną. Aby lepiej widzieć twarz księdza i rychlej coś z niej odgadnąć, jedna z trzech pań zdjęła przysłonę, rzucającą cień zbyt uczynny i nagle cały salon zalało pełne światło lampy, to światło złociste, jakby przesycone śliskim polyskiem oliwy.

Była to bawialnia staroświecka, jakiej nie widuje się już dzisiaj, nawet na prowincyi. Stanowiła ona zresztą zupełnie dobrane tło do tej garstki ludzi, która tam była w owej chwili. Gniazdo godne takich ptaków. — Toć oni, wszyscy ci starcy zebrani przy kominku, na spółkę liczyli ze trzy

stulecia i to z górą. Prawdopodobnie też nie młodsze od nich były ozdoby, stanowiące okładkę ścian.

Okładka ta malowana była popielato i biało w sposób naśladowujący płaskorzeźbę. Obramiały ją, a zarazem zdobiły listwy złocone, tu i owdzie zczerniałe, miejscami wykładane perłowcem. Na tem tle, aż nazbyt jednostajnem, odcinały się ostro jedynie portrety rodzinne, przesłonione mgłą starości. Na jednym polu ściennem widać było dwa wizerunki niewieście w stroju z epoki Ludwika XV. Jedna z nich jasnowłosa, o zaciętych wargach, w rękę trzymała tulipan, jak „Rachel“ dama dzwonkowa; druga o kruczonych włosach, uśmiechnięta, jakby od niechcenia, z silnym rumieńcem, upstrzonym ponalepianemi muszkami, miała nad głową gwiazdę. Szczegół ten, równie jak lubieżny sposób malowania, świadczyły wymownie, że twórcą tego portretu był Natier, który podobnie z gwiazdą nad głową malował także panią de Châteauroux i jej siostry. Gwiazda oznaczała krótkotrwale panowanie królewskiej ulubienicy. Była to gwiazda króla, czulego pasterza. „Ukochany“ Ludwik XV zapalał tę gwiazdę nad tyłą głów, że mogła ona zaświecić i jednej z rodu Touffedelysów. Na przeciwległej ścianie wisiał jeden tylko portret, starszy od tamtych i bardziej zczerniał, malowany ręką nieznaną wprawdzie, ale śmiałą i silną. Był na nim przedstawiony admirał de Tourville, śliczny, jakby kobieta przebrana w suty i dziwaczny zarazem strój admirałski

z czasów Ludwika XIV. Krewniak to był domu Touffedelys'ów. Narożniki wyrabiane z chińskiej laki wypełniały cztery węgly salonu i za podstawę służyły czterem popiersiom glinianym. Czarna krepa przesłaniała je, może dla ochrony przed pyłem, a może na znak żałoby, były to bowiem popiersia Ludwika XVI, Maryi-Antoniny, „Pani Elżbiety“ i Delfina. Meble obite starą tkaniną, wyrabianą w Beauvais, w owalnych polach przedstawiały dziergane na białem tle sceny z bajek La Fontaine'a. Rozweselały one bogactwem barw i różnaitością postaci to mieszkanie prawie że ponure, gdzie u firanek wyblakły złote obszywki, a na suficie widniała różyca, ogolocoła z wiszącego niegdyś u niej pająka.

Marmurowy kominek zdobiły rowkowania, a wcięzył go od góry pęk płaskorzeźbionych kwiatów. Z dwóch stron kominka wyprostowane obie Ichmość panny de Touffedelys, mogłyby na pierwsze wejrzenie wydawać się dwiema figurami, wykutemi ku jego ozdobie, gdyby nie biegające ich spojrzenia i gdyby to, co jał mówić ksiądz, nie było strasznie zmąciło uroczystego namaszczenia ich twarzy i całej postaci.

Obie były w swoim czasie piękne, lecz znawca starożytności, najwprawniejszy w odgadywaniu rysunku na zatartych medalach, nie byłby zdołał odtworzyć rysów tych dwóch kamei, wyszczerbionych zębem czasu i przetrawionych najostrzejszym z wszystkich kwasów, skwaśniałem dziewictwem. Rewolucya pozbawiła je wszystkiego: rodziny,

majątku, szczęścia domowego i małżeństwa z miłości, małżeństwa, które jest poematem serca i więcej warte, niż sława — jak mówi de pani Staël — pozbawiła je tem samym i macierzyństwa. Główno nie zabrała im, ale głowy te zboleły, zostawiła im uwiedle pod brzemieniem wszelakich udręczeń.

Sierotami były już, kiedy wybuchła Rewolucya, to też nie poszły na tulactwo za granicę. Pozostały — jak zresztą wiele szlachty — w Cotentinie. Była to nieostrożność, którą życiem przypląciłyby niechybnie, gdyby nie ocalił ich Thermidor, otwierający kaźnie uwięzionych. Nie różniąc się nigdy krojem, ani barwą sukien, obie jednakiego wzrostu, obie jednakim głosem mówiące, Ichmość panny de Touffedelys, były jak dwukrotne odbitki tej samej osoby.

Natura, jakby jej na starość zabrakło pomysłu, powtórzyła sama swoje dzieło, stwarzając je obie tak podobne do siebie. Były to żeńskie Menechmy, o których ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że jest ich przynajmniej o jedną za dużo. One nie podzielały jednak tego zdania, bo się wzajemnie kochały i same tak chciały być do siebie podobne, że panna Sankta wyrzekła się nawet świetnego małżeństwa, bo pannie Urszuli, jej siostrze, nie trafiało się zameście.

Tego wieczora, jak zwykle, obie siostry nałogowo do siebie przywiązane, miały u siebie wspólną swą przyjaciółkę, z równie dostojnego rodu. Pracowała ona nad najcudaczniejszym haftem, i to z takim rozmachem, iż mogło się zdawać, że się

na śmierć zapracuje, gdy jej przerwało wejście brata, księdza.

Ta dziwożona, po męsku jakoś zbudowana, o rysach dosadnie zakreślonych i grubym głose, tą właśnie chłopakowatą tężyzną całej swej osoby odbijała od miękiej wytworności tamtych obu wrózek Cichej Zadumy, tamtych dwu Kociczek, co pobielaly ze starości, marząc o niebieskich migdałach, a dla żadnego królewicza z bajki nie były „Kotkami Zaczarowanemi“. — Jedyłą osłodą dla pauien de Touffedelys było wspomnienie tego blasku, jaki w młodości otaczał ich nazwisko; lecz potem patrzeć musiały, jak z dnia na dzień topnieje ich uroda w ogniu cierpienia — podobnie świecom ubywa wosku, co topniejący, ścieka po srebrnej nodze świecznika.

Tak one stopniały, w całym znaczeniu tego słowa. Tymczasem ich przyjaciółka, opancerzona w równie potężną jak odporną brzydotę — przetrwała. Szpetność, była zarazem jej mocą. Mawiała sama, że „Czas dał jej a łapę“, a ona ten policzek przyjęła twarzą jakby z bronzu wykutą, której nie udało się uszkodzić. Wprawdzie w niesłychanie dziwaczne odzienie przyoblekała niezwykłą swoją brzydotę, ale nawet i to ubranie, wrażenia brzydoty nie bardzo podkreślało, tak ona sama przez się w oczy biła.

Zwykle nosiła na głowie rodzaj czapeczki z fioletowego i pomarańczowego jedwabiu. Było to coś, co już samym kształtem przechodziło granicę najśmielszej wyobraźni. Te nagłowniki sporzą-

dzała sobie własnoręcznie. Poniżej zwieszał się nos w kabłąk, na podobieństwo pochwy wschodniego, wygiętego pałasza, pochwy obciągniętej czerwoną groszkowaną skórą. To też ta równie śnieżka Ichmość Panien de Touffedylys wyglądała zupełnie, jakby karykatura królowej Saby, robiona przez Callota — ale Callota, któryby się urodził Chińczykiem, a w dodatku upił się był odwarem z opium. W każdym razie dokazała tej sztuki, że w brzydocie prześcignęła nawet swego brata, tak, że oblicze księdza mogło uchodzić za twarz na obraz i podobieństwo zwykłych twarzy, choć dalibóg, do tego było mu bardzo daleko. Bo też ta kobieta miała rysy w tak niebywały, fantastyczny sposób poprzeciagane, że powszechną uwagę zwracałyby na siebie choćby i w Anglii, w tym kraju dziwadeł, gdzie melancholia, kapryśność charakterów, bogactwo i żądza zysku, niezmordowanie pracują nad przerabianiem ludzkich twarzy w zapustne larwy, przy których maski weneckiego karnawału wyglądają jak dziecinna, pospolita bazgranina.

Jak są barwy, tak oślepiające, tak jarzące, iż dokoła siebie tłumią wszelki sąsiedni kolor — podobnie przyjaciółka Ichmości Panien de Touffedylys upstrzona, jak barbarzyński korab, najbardziej krzyżującymi gałgankami, jakie tylko udało się jej odgrzebać w garderobie po babce, zaćmiewała i gasiła nawet najwybitniejsze twarze swoją twarzą. A jednak i ksiądz i baron de Fierdrap należeli, jak to później się okaże, do osobistości

niezwyčajnych, co raz widziane, wbijają się w pamięć z taką siłą, iż wrastają w nią, jak cement w ścianę. Tylko na przełomie wieków, w chwilach zwrotnych między jedną epoką a drugą, można spotkać się z temi obliczami — wnoszącymi z sobą piętno minionego czasu w inne czasy i w odmienne obyczaje. W ten sposób tworzą się figury jedyne w swoim rodzaju, a na podobieństwo spiżu korynckiego, złożone z różnorodnych kruszczów. Postaci takie przesuwają się przez punkta przecięcia się epok w Historii. — Kto je widział, śpieszyć się musi z odmalowaniem ich, bo później nie ostałoby się nic już, coby mogło dać wyobrażenie o tych bezpowrotnie zaginionych typach.

Baron de Fierdrap siedział pomiędzy dwiema pannami de Touffedelys, a blisko siostry księdza. Ta z głową pochyloną nad haftem, włóczkę za każdym ścięciem szarpała z taką wściekłą zajądłością, że widz, umiejący wstecz wnioskować, że zgrozą domyśliłby się snadnie, iż dawniej musiała wszystko tak samo robić, jak teraz włóczkę przeciągała.

Baron de Fierdrap, Hylas de Fierdrap siedział tedy, skrzyżowawszy nogi, a tę, która była na wierzchu podtrzymywał ręką — ruch ulubiony wielkiego lorda Clive. — W ten sposób jedna z podeszew zwrócona była ku ogniewi, płonącemu na kominku. Obuty był w kamasze z czarnego kaszmiru. Mężczyzna średniego wzrostu, ale krzepki i żyłasty jak stary wilk. Musiał też mieć

i włosy twarde, jak u wilka, gdyby kto chciał o tem sądzić z jego peruki krótkiej, płowej, najeżonej w szczotkę. Twarz jego wybitna, rysowała się najdosadniej w profilu silnie zakreślonym, twarz prawdziwego Normanda chytra i harda. Za młodu ani ładny nie był, ani brzydki; jak mówią dość ucieśnie w Normandyi, chcąc określić człowieka, który się od innych nie odróżnia ani zaletami ani ułomnościami przyrodzonymi: „Chodził na mszę, jak wszyscy.“ Był on doskonałym okazem tych dawnych szlagonów, których nie nie zdołało przerobić ni okrzesać. Wprawdzie Rewolucya tą rasą ludzi z granitu taczala z jednego krańca Europy na drugi, ale ich nie ogładziła i gdyby nie ona, siedzieliby ciągle jeszcze w matecznikach swojej prowincyi, i nawetby im na myśl nie przyszło zajrzeć choć raz do Wersalu, spróbować, jak się jedzie królewskim pojazdem, a potem wsiąść na bryczkę i wracć znowu do siebie. Myśliwiec, jak cała wiejska szlachta, i to zapalony myśliwiec, przepadał za każdym polowaniem i za wszelką zwierzyną bez względu na sierć jakąkolwiek, czy pierze. To też było trzeba aż takiego Sądnego Dnia, jak Rewolucya, aby Hylesa de Fierdrap wyrugować z lasów i bagien. Całą gębą szlachcie, na pierwszy odgłos hasał wojennych zaciągnął się na ochotnika do armii Kondusza. A to przecie nie przelewki, ochotnik, co bez zmęczenia umie nosić w ciągu trzydziestumilowych marszów dubeltówkę, silny w bokach, a taki celny w strzale,

że z dwururki swojej mógłby odstrzelać bekasom dzioby, albo położyć odyńca kulką wpakowaną pomiędzy ślepię. Kiedy rozpuszczono wojska Kondeszowe i ostatni z królewskich strzelców nie miał już ani jednego naboju w ładownicy, wówczas baron de Fierdrap uszedł do Anglii, tej ojczyzny dziwactw, i właśnie tam — jak powiadają — nabrał tego obejścia, które sprawiło, iż na stare lata uchodził za oryginała w oczach ludzi, co znali go za młodu i uważali niegdyś, że był podobny do wszystkich.

Jak w bajce ów Kocur „Ojca Nędzy“, także wyrażenie normandzkie, Zakon teraz do nikogo już nie był podobny. Stracił wszystko, albo niemal wszystko z całej swojej ojcowizny, żył jak się dało, goniąc resztkami, a po trosze i z lichego żołdu, jaki „Restauracya wypłacała zubożałym kawalerom orderu św. Ludwika za to, że z całym bohaterstwem dotrwali w wierności dla domu Bourbońskiego i na tułactwie nawet dzielili smutne losów jego koleje. To życie bez środków dokuczało mu jakoś mniej, niż innym. Potrzeb miał bardzo niewiele. Służyło mu zdrowie żelazne, zahartowane ćwiczeniem i życiem na powietrzu tak, iż zdawało się, że ma chyba nie zdarty organizm i nie do skruszenia. Mieszkał w małym domku na uboczu, w wielkiej wsi targowej, sąsiadującej z St. Sauveur-le-Vicomte. Służby nie trzymał, tylko jakaś stara baba zachodziła czasem, żeby mu podmieść mieszkanie. Nie można powiedzieć, że i „łóżko posłać“, bo łóżka nie miał, a sypiał w ha-

maku, przywiezionym z Anglii. Wstrzemięźliwy, jak istny pustelnik, był on niemal wyłącznie „rybożerny“ i żywił się z własnego połowu. Bo, jak w pierwszej połowie życia był niestrudzonym myśliwcem, tak teraz w późnym wieku stał się niezmordowanym rybołowcą. Znały go wszystkie rzeki okoliczne w okręgu dziesięciu mil i widywały go nieustannie na swych brzegach z pękiem długich węd na ramieniu i z taką podłużną blaszanką w ręku, jak blaszanki mleczarek. Nosił on w niej pokryte warstwą darni glisty, które na przynętę wbijał potem na haczyk. Czasem także „chodził szlakiem muchy“ na ryby, na sposób szkocki, przy którym rybak w pełnym chodzie odprawuje połów. Nauczył się tego w Szkocyi, a wprawiał w zdumienie całe chłopstwo na Cotentinie, bo ten rodzaj rybołówstwa był im przedtem zgoła nieznanym. Patrzyli nań z podziwem, jak biegał nad rzeką za biegiem, to znowu przeciw biegowi, naśladowając lot muchy przynętą, która unosiła się zawsze na parę cali nad zwierciadłem wody. A robił to ręką tak wprawną, chodem tak pewnym, że zakrawało to istotnie na nadzwyczajną sztukę.

Tego wieczora, jak prawie co wieczór, o ile był w Valognes, wędrówką rybacką nie zapędziwszy się w okolicę, zaszedł do Ichmoś Panien de Touffedelys. Przynosił zawsze z sobą herbatnicę i czajnik i robił herbatę, a one przypatrywały się, te dwie prostoduszne istoty, co nie bywszy na emigracyi, nie nabrały takich dziwnych nawyczek, jak to „zamilowanie do suchych

listeczków, zaparzonych ukropem“. „Odwar ten“, jak mawiały usta pełne mądrości — „nie stanie za zielony likwor kartuzki, skuteczny na niestrawność“.

Z niezmiennem zawsze zdumieniem, w danej chwili zapadały w bezmyślną ciekawość, właściwą stworzeniom, które nie są zdolne nic pojąć. I co wieczora, oczyma porcelanowemi i zaokrąglonemi, nakształt gałek, śledziły tego oryginała Fierdrap, kiedy się zabierał do przysposobienia „takowego odwaru“. A patrzyły nań zupełnie, jakby się oddawał jakimś okropnym doświadczeniom alchemicznym.

Ksiądz, ów ksiądz, który wszedł co dopiero, jak zwiastun jakiegoś wypadku, a damy długo czekały na jego słowo, tak nieskore do przedostania się po przez wargi — ksiądz jeden tylko śmiał tykać heretyckiego napoju barona de Fierdrap. On także — jak to stwierdziła przed chwilą Jejmość Panna Urszula — bywał w Anglii. Dla tych kobiet zaśniedziałych w miasteczku, dla tych paralityczek przygwoźdzonych do miejsca przez losy, być w Anglii znaczyłoby tyle samo, co być w Mekce — jeśli wogóle kiedykolwiek zasłyszały, że jest jakaś Mekka!... ale to było wątpliwe. Ksiądz nie mógł zresztą w niczyich oczach uchodzić za karykaturalnego oryginała, jak Imci pan de Fierdrop; — ten bo w istocie zarówno z powierzchowności, jak stroju, godzien był Hogarthowskiego ryłca.

Jak się powyżej rzekło — życie pod golem niebem uczyniło barona de Fierdrop niezłomnie odpornym, krzepkim aż do rdzenia jego całej budowy, aż do szpiku kości, a nadając mu tę wewnętrzną tęgosc marmurową, po wierzech jeno trochę go osmalilo: na znak zwycięstwa swego, i jakby ślad po sobie na tym człowieku z krzemienia, co nie znał chrypek i reumatyzmów, pozostawilo, jakby na żart, jakby na krotochwilny odwet, trzy wspaniałe płyty odmrożone, a pokrywające nos i oba policzki barona na kształt rozwiniętego w całej pełni trójliścia konicyzny. Być może, iż przyjął on jako przestroge ów przyteczek, złośliwie mu wymierzony przez zmienność aury niebieskiej, którą sobie codziennie lekceważył, czy to w mgłach nad rzeką Dauve'a, czy pod mostami Carentanu i wszędzie indziej, kędy się łowić dadzą złote karpie i liny. — Dość, że Imci Pan de Fierdrap nosił siedm ubrań, nawdzianych jedno na drugie, a zwał je swemi siedmioma skorupami. Nikt nie kusil się sprawdzać tej sakramentalnej liczby, wszelako niewątpliwą było rzeczą, iż nawet w bawialni Ichmość Panien de Touffedelys nie zwlekał z siebie szarego rypsowege kubraka, podbitego futerkiem z kretów. Kubrak ten nawdziany był na frak tabaczkowej barwy. Na fraku przewieszony przez dziurkę błyszczał krzyż św. Ludwika, a niżej zwisał mały zarękawek niepodszyty futrem. Rozmawiając, lubil on zaurzać w nim ręce, które miał wiecznie „zgrabiałe“, jak Michał Montaigne.

Przyjacieli i towarzysze na tulaetwie barona de Fierdrap — na którego ten spozierał w owej chwili takim wzrokiem, jakim byłby patrzył Morrellet na Voltaire'a, gdyby go był dopadł u barona Holbacha na jakim poufnem zebraniu wieczornem — ksiądz dopełniał latami swemi owych trzech z górą stuleci, zebranych w jednym za-
kątku. Był to człowiek z tej samej rasy, co baron; na pierwszy rzut oka widać było, że nad nim góruje tak samo, jak Imci Pan de Fierdrap górował nad Ichmość Pannami de Touffedelys, a nawet nad samą siostrą księdza. Wśród tego kółka ksiądz był orłem.

Co prawda, orłem byłby w każdym towarzy-
stwie, nietylko w tem, które się składało z tak-
kiej starej czapli, jak baron de Fierdrap, z pary-
niepokalanych gęsi, jak Ichmość Panny de Touffe-
delys i z owej czubatej papugi zajętej haftem —
ale nawet w zebraniu złożonem z kobiet rze-
czywiście najbardziej uroczych i z mężczyzn naj-
wytworniejszych: z samych różowych flamingów
i samych rajskich ptaków. Ksiądz był jedną
z tych istot niepospolitych i bezużytecznych, ja-
kie czasem stwarza Bóg, niby w przystępie do-
brego humoru dla własnej swojej uciechy. Był
to jeden z tych, co sięją naokół śmiech, iro-
nię, myśli, i przechodzą przez towarzystwo ludz-
kie, jakby po to, by je podbić swym urokiem.
A towarzystwo ludzkie przekonane, że ich pojęło,
sądzi, że im się dostatecznie odpłaca, mówiąc
o nich potem: „Ksiądz taki, a taki, albo pan ten

a ten — czy go sobie przypominacie? To był człowiek dyabelnie dowcipny!“ A jednak na równi z tymi, o których się wspomina w ten sposób, jest pełno znakomitości i sław zdobytych o pół mniejszemi zdolnościami. A przecie oni właśnie skazani są na pastwę zapomnienia, i śmierć nieznaną kończy ich! życie nieznanę. Ale czasem Bóg (znowu w przystępie dobrego humoru) zsyła dziecko, które opiera o ich kolana główkę płową i krętowłosą, a oni przez chwilę kładą na niej rękę. Takie dziecko, wyrósłszy później na Goldsmitha albo Fieldinga, przypomni sobie o nich w jakiejś genialnej powieści i uchodzi za twórcę postaci, którą na prawdę odrysowało tylko z pamięci!

Ów ksiądz — nazwiska nie wymieniałoby się, tutaj, gdyby rodzina, której był ostatnim potomkiem, przynajmniej we Francji*) nie była wygasła — nosił normandzkie nazwisko tych Percych, których młodsza linia wydała w Anglii dom Northumberlandów i onego Hotspura (sam ksiądz wspominał o nim powyżej) prawdziwego Ajaxa historycznych dramatów Shakespeare'a.

Choć nie miał w sobie nic, coby przypominało jego bohaterskie i romantyczne kolligacye i choć znać na nim było przedewszystkiem wpływ znieścieciałego, samolubnego a wykwintnego towa-

*) Autor pomylił się. Ostatni męski potomek dostojnego domu Percych, żyje jeszcze w północnej Francji. (*Przyp. autora*).

rzystwa w XVIII wieku, wśród którego za młodu się obracał — jednakowoż nosił on na sobie niezatarte piętno rodu, przywykłego do rozkazywania przez tyle pokoleń. Widać to było po sposobie, w jaki ksiądz de Percy nosił głowę. Głowa ta była o twarzy bardziej nieregularnej, niż u Imci Pana de Fierdrap, a zarazem o zupełnie odmiennym wyrazie, jak u tamtego. Ksiądz nie był taki brzydki, jak jego siostra — szpetna, jak grzech jawny i o pomstę wołający. On zaś miał brzydotę, któraby się dała przyrównać do grzeszników przyjemnych. Rzecz prawie nie do wiary — ten ksiądz pokrywał usposobienie niezrównanie żartobliwe, pozorami majestatycznego niemal namaszczenia. Wesolość, która ma zarazem i wdzięk, rzadko posiada także godność i zdawałoby się nawet, że jej posiadać nie może. Ale u księdza de Percy była wesolość w rodzaju Beaumarchais'ego, wesolość jakiegoś stryja Almavivy, któryby w kąć zapędził trzpiota Figara, zarówno przebiegłością, jak ciętym językiem; owa kipiąca wesolość żywiłowa, co źródło ma w wielkopańskim humorze. Promieniała ona bezustannie od księdza, otoczeniu zaś sprawiała tem żywszą przyjemność przez przeciwieństwo do swego poważnego tonu. Ona to czyniła zeń osobistość niepospolitą, jakiej się nie zdarza spotkać dwa razy w życiu. Niestety, co się tyczy wydzwignięcia go na wyżyny znaczenia i pomyslności w życiu, to na niemu się nie przydał ten czarujący dowcip. Co gor-

sza — zaszkodził mu raczej, zaszkodził mu nie-
mniej, jak herb rodowy.

Ofiarą był Rewolucyi on także, podobnie jak
przyjaciel jego Jmci Pan de Fierdrap; ofiarą był
greckiej dySSERTACYI, której w Sorbonnie lepiej
bronił, niż inny jego przyjaciel pan d'Hermopolis,
który zostawszy później ministrem, przypomniał
sobie o tem (nie ma bowiem nic nad zawiść po-
między żakami); w końcu ofiarą był umysłu swe-
go nazbyt ruchliwego, nazbyt powabnego jak na
kapłana.

Nic dziwnego zatem, że ksiądz de Percy na-
próżno spodziewał się powodzenia w zawodzie
duchownym, tak samo jak wogóle wszelkich in-
nych powodzeń nadarmo szukał. I pomimo po-
parcia ze strony krewniaka swego księcia de
Northumberland, wysłannika Anglii na koronację
Karola X, doszedł na stare lata jedynie tylko do
drugorzędnego kanonikatu w St. Denis, z uwol-
nieniem od zasiadania w Kapitułe. Na schyłku
życia, Normandya przesunęła mu się w pa-
mięci, Normandya ozłocona urokiem wspomnień
z lat dawno minionych, i on, co się obracał wśród
najwyższego towarzystwa Francyi i Anglii — on,
co w turniejach dowcipu mierzył się z najdziel-
niejszymi dowcipu szermierzami, jacy w Europie
od lat czterdziestu w szrankach się pojawili —
powrócił teraz, aby żyć w zaściankowych stosun-
kach Cotentinu i zamknął się w małym, lecz
wykwintnie urządzonej domku, który nazywał
swoją Pastelnią. Wychylał się z niego czasem

tylko, aby tydzień jaki spędzić raz u tych, to znów u innych wielkich panów okolicznych.

Przepadał za proszonymi obiadami. Ale urodzenie jego, i potężny dowcip, i całe zachowanie, nie pozwalały przypuszczać choćby cienia pieczeńiarstwa u tego kanouika, skromnie dreptającego piechotą, nie brzegiem wąskich rzek, jak baron de Frierdrap, ale skrajem wszelkich dróg i gościńców. Tak bowiem odprawował on swoje pielgrzymki do różnych miejsc słynących cudami kuchni, po rozmaitych pańskich dworach, znanych z gościnności i sutego stołu.

Tę obiady, były zawsze słabą jego stroną. One to sprawiły, że oblicze jego nabrało rakowej barwy, i dały mu pole do pewnego dowcipnego powiedzenia. O tej czerwoności swojej, która za dni wygnania jarzyła się, podniecona Portwejnem, a po odzyskaniu ojczyzny płonęła, rozogniona Burgundem, zwykł był mawiać: „Zdaje się, że to jedyna purpura moja, bo innej, pókim żyw, nosić chyba nie będę!”.

Czoło, nos ogromny i wygięty, nos wielkie pochodzenie znamionujący, policzki, podbródki — wszystko pałało tą wspaniałą, kardynalską czerwienią. Twarz ta, jakby w pośpiechu z grubszą tylko ociosana, ale pełna przenikającego wyrazu, szkarłatną swą cerą odbijała jedynie tylko od oczu — te były błękitne jakimś błękitem bajecznym, perłowym, iskrzącym i kołącym. Nigdzie zresztą nie można widzieć takiego błękitu, pod żadnymi ludzkimi rzęsami; w istnienie takiego

błękitu nie uwierzy na niewidziane nikt, kto nie jest genialnym malarzem.

Oczy księdza de Percy, to nie oczy były, ale raczej dwie okrągłe dziurki, bez rzęs i bez powiek. Ich tęczówki błękitne aż do uprzykrzenia — były tak niestosunkowo wielkie, tak szerokie, że zdawało się niemal, iż to nie krążek tęczówki toczy się za obrotem gałki ocznej, ale raczej światło samo wiruje błyskawicznym obrotem, łamiąc się w szafirze tych oczu bystrych, jak u żbika... Czy też z pomiędzy liter książki wyziera ta para oczu?... Bo w rzeczywistości kto raz je widział, ten już nie mógł o nich zapomnieć. Tego wieczora skrzyły one jeszcze bardziej, niżli zazwyczaj. Ksiądz mierzył nimi zaciekawione panie i doprowadzał je do szału znaczącem swoim milczeniem. Zamiast odpowiadać na dyszące ciekawością zapytania Ichmość Panien de Touffedelys, przemykał wedle swego zwyczaju językiem smakosza po wargach grubych i soczystych, jak gdyby chciał na nich odnaleźć resztę jakiegoś wybornego smaku. Wracał właśnie z obiadu proszonego i pełen był, jak co wieczór, namaszczenia i powagi. Miał na sobie prosto ściętą czarną suknię i białą krawatę; bez obojęzaka był, bez płaszcza i bez piuski. Długie włosy, cienkie i białe, jak puch łabędzi, pozwijane i spiętrzone z zalotną starannością, która przypominała Talleyranda — Talleyranda, którego, nawiasem mówiąc, nie cierpiał, nietyle z powodu innych jego odstępstw, ile raczej za podpis położony pod *Kon-*

stytucją cywilną duchowieństwa — otóż włosy upudrowane i ułożone w kosmyki opadły mu bujnie na kołnierz ubrania i pyłem białym o irysowym zapachu prószyły na szeroką wstęgę fioletową z białym rąbkiem, na której u szyi zwisał mu wielki emaliowany krzyż królewskiego kanonika. Stał silnie rozparty na nogach, odziany w jedwabne pończochy. Były to nogi zgrabnie utoczone, ale trochę pomiędzy sobą różniły się w kształcie i dlatego jedną z nich nazywał sam Apollinem a drugą Herkulesem — pozostał wieroy mitologii, która za lat jego młodzieńczych była jakby rodzajem religii. — Powoli z lubością żarzywał teraz tabakę.

— „Cóż księżę, czy się uwziąłeś, że nasze damy przyprowadzisz o potępienie duszne“? — rzekł mu baron, który z jego strony przygotowany był na jakowąś krotchwilę. — „Czy nam powiesz w końcu, co za ducha spotkałeś, przechodząc przed chwilą przez plac“?

— „Śmieję się, ile ci się żywnie podoba. mów Fierdrap“ — odparł ksiądz z niezmiennym spokojem — „ale to rzecz poważna! Duch, którego widziałem, miał ciało i kości... jak ty lub ja“ — ale niemniej przeto był okropny... To był... kawaler des Touches“!...

WŁASNOŚĆ NIE POZBYWALNA
ŚWIETLIICY
BIBLIOTEKI PAŃSTWA

II.

Helena i Parys.

— „Kawaler des Touches!“ — zawołały Ichmość Panny de Touffedelys równocześnie i dobranym wtórem, rzekłbyś, iż obie jedna tylko mają głos na wspólnkę.

— „Kawaler des Touches!“ — rzekł z kolei Imci Pan de Fierdrap, prostując nogi ruchem człowieka wielce zdumionego — „jeśli go widziałeś księżu, to istotnie jest to duch, prawdziwy duch, co wrócił z tamtego świata i tuła się, wprost przeciwnie, jak my, którym z tułactwa po świecie danem było wrócić bez tyłu zachodów.“

— „I bez dochodów“ — przerwał mu wesoło ksiądz, który lubił grę słów.

— „Ale w takim razie“ — mówił dalej baron — „zmuszasz mnie, bym się zgodził z pojęciami Jejmość Panny Sankty o duchach, ów Des Touches bowiem, kawaler Des Touches de Langotière, którego w Londynie, po

uwiezieniu go przez *Dwunastu* nazywaliśmy żartem *Piękną Heleną*, umarł i to na śmierć, w parę lat później w Edynburgu, od pchnięcia szpadą w wątrobę“.

— „Myślałem tak samo, jak ty, Fierdrap — a pokazuje się, że to nieprawda“ — odpowiedział ksiądz de Percy, rozglądając się kolejno po damach, które wpadły w osłupienie na samo nazwisko kawalera Des Touches, bo to był jeden z najsłynniejszych bohaterów za ich młodych czasów. — „O tak, byłem przekonany, że umarł... I któżby mógł przypuszczać, co innego, skoro przez tyle lat zaginął o nim wszelki śluch, od czasu owego rozgłośnego porwania i pojedynku. I cóż ty na to? Przecie nie mam jaskry na oczach, a widziałem go dopieroco na placu Kapucyńskim, a nawet go słyszałem — bo mówił do mnie...!“

— „Dlaczegoż zatem nie przyprowadziłeś go z sobą, księżę?“ — rzekł, śmiejąc się niepoprawny baron de Fierdrap. Obstawał on uparcie przy tem, że jego przyjaciel Percy grał komedję dla nastraszenia Jejmość Panny Sankty. — „Poczęstowalibyśmy go filiżanką herbaty, jako dawnego towarzysza niedoli i nasłuchalibyśmy się jego dziejów. A ciekawe być muszą dzieje człowieka, który zmartwychwstał“.

— „Ciekawe i smutne, o ile wnosić mogę z tego, com widział“ — powiedział ksiądz, który się nie dawał zbić z tropu docinkami przyjaciela owego, barona — „ale zanim on sam zdaży ci kiedy

opowiedzieć swoją historję, zrób mi tę przyjemność i mojej dzisiejszej posłuchaj!“

Ichmość Panny de Touffedelys zawisły wzrokiem na ustach księdza, a Jejmość Panna de Percy opuściła haft na kolana i ciągle oczy wlepiała w brata z natężoną uwagą.

— „Byłem dziś“ — mówił, stojąc jeszcze ksiądz — „na obiedzie u naszego poczciwego de Vaucelles. Był z nami także Sortôville i Kawaler du Rifus. Po obiedzie oni wszyscy zasiedli do whista, bo grywają zawsze co czwartek. Chcieli mnie także zatrzymać, po trosze ze względu na tego nieboraka du Rifus, aby mu trochę ułatwić granie z „kołkiem“, bo rady sobie dać nie może, jako iż jest nazbyt roztargniony — a potrosze i ze względu na mnie, abym nie szedł w deszcz. Ale ponieważż mój drelich tyle się deszczu boi, co pierze kani, pozwoliłem im wygadać się do syta i ruszyłem w drogę pomimo sloty, ale takiej sloty, że, jak to mówią, i „psa by nie wygnał“. Otóż od ulicy Garncarskiej do ulicy Siqueta nie spotkałem żywej duszy prócz perukarza Chélus. Istny majster pijacki, szedł wśród deszczu i zataczając chodem, śrubowate gzygzaki, a mijając mnie, wykrztusił zalanym głosem „dobry wieczór.“ Ale u wylotu ulicy Siqueta, kiedy skręcałem na rogu placu, skulony pod parasolem, aby się uchronić przed wiatrem, który mię siekł deszczem prosto w nos — poczułem nagle, że jakaś ręka chwytła mnie gwałtownie za ramię. Ręczę ci, mój Fier-

drap, że ta ręka miała w sobie coś dotykalnego, coś najzupełniej cielesnego. I w świetle mojej latarki — bo latarnie uliczne wszystkie już były pogasły — spostrzegłem na dwa palce tuż przed moją twarzą — twarz jakąś... A co jest nie do wiary, ale na duszę moją klnę się wam, że twarz to była jeszcze brzydsza od mojej... twarz wyniszczona, brodata, wyblakła, o błyszczących, obłądnych oczach. Twarz ta krzyknęła mi głosem ochryplym i zajadłym od goryczy:

— „Otom ja Kawaler Des Touches! — nieprawda, że to niewdzięcznicy?“

— „Matko Bolesna — zawołała Jejmość Panna Sankta, blednąc jak wosk. — Czy ksiądz pewny zupełnie, że on był żyw?...”

— „Pewny jestem“ — odparł ksiądz, „tak pewny, jak tego, że Waszmość Panna żyjesz. Ot proszę patrzeć“ — dodał, odwijając rękaw sutanny. — „dotąd mam ponad dłońią znak odcisnięty tą ręką rozpaloną i kurezową, która mnie puściła dopiero po długim uścisku! Tak! To nasza Piękna Helena, wierzaj mi, Fierdrap! Ale jaki on zmieniony, zgrzybiały, obłąkany! To był Kawaler des Touches — sam to powiedział! Poznałem go, mimo tych lachmanów, jakimi okrył go czas i nędza! Chciałem doń przemówić, zapytać go... Kiedy nagle dmuchnął i zgasił mi latarkę, przy której świetle patrzyłem nań, zdjęty żalem i zdumieniem. Zgasiwszy ją, zniknął mi, jak gdyby się był rozplynął wśród deszczu, zawieruchy i mroku“.

— „I cóż — cóż dalej“ — spytał Imci Pan de Fierdrap, wyrwawszy się z głębokiej zadumy.

— „Dalej — nic... To wszystko“... — odparł ksiądz, i rozsiadł się w fotelu, który wyciągał do niego ramiona.

— „Nie widziałem już nic i nie nie słyszałem. Przyszedłem tu ogarnięty jakby zgrozą tego dziwnego widziadła. Nie pamiętam, żebym czuł kiedykolwiek coś podobnego, chyba raz, jeszcze w Sorbonie, gdy się założyłem, że pójdę na ementarz o północy i z najzimniejszą krwią wbiję gwóźdź na grobie jednego z kolegów, którego dzień przedtem pochowano. Wstając z grobu, na którym ukląknę, żeby lepiej gwóźdź wetknąć, czułem, że coś mnie ciągnie za sutannę“...

— „Jezu!“ — krzyknęły obie Touffedelys tym samym dźwiękiem głosu i wzdrygnęły się pod tem samym bliźniaczem wrażeniem.

— „Ty sam ją sobie przygwoździłeś“ — rzekł baron de Fierdrap. — „Znam tę historję! Jeśli twój upiór dzisiejszy był podobny do tamtego“...

— „Mój Fierdrap, miarę w żartach przekraczasz!“ — powiedział majestatycznie kanonik tonem, niedopuszczającym dalszych przycinków.

— „A, skoro rzecz bierzesz z tej strony, mój księżu, to gotówem znowu być poważnym, jak ten kot, co pije ocet... i to ocet, którego ty nalałeś!. Ależ rozważmy, starajmy się ujrzeć wszystko we właściwem świetle, choć latarka twoja zgasła.... Po co Des Touches przyjeżdżałby do

Valognes, po nocy i to w takim oplakany
stanie?”

— „Musi być obłąkany“ — rzekł chłodno ksiądz
de Percy, wypowiadając myśl swoją, jakby mó-
wił sam do siebie.

— „To nie ulega wątpliwości, że na mnie zro-
bił wrażenie szaleńca, zbiegłego z jakiegoś szpi-
tala... Był okropny!“

Na to z naciskiem odezwał się Jmci Pan de
Fierdrap:

— „Już to *oni* zasługi oddane im wynagra-
dzają w ten sposób, że *ich* służy istotnie mo-
gliby podostawać obłądu“.

— „W samej rzeczy“ — odparł ksiądz, rozwi-
jając myśl przyjaciela — „jesteśmy sami swoi,
a do *nich* tyle mamy przywiązania, że wolno
nam się poskarżyć w cichości. *Oni* postępują
kubek w kubek, jak Stuartry — i skończą, jak
Stuartry! Cechuje *ich* ta sama lekkość uczuć i ta
sama niewdzięczność, co tamtych. Kiedy ten nie-
borak, spotkawszy mnie, zaczął mówić o *nie-
wdzięcznikach*, to nie potrzebował zgola wymie-
niać *ich* z nazwiska. Poznałem go i w jednej
chwili — pojąłem.“

Tu nastąpiła chwila milczenia. Ichmość Panny
de Touffedelys nie pisnęły słowa ze wzruszenia
i osłupienia — a może i dlatego, że nic nie my-
ślały. Ale zasady monarchiczne Jejmość Panny
de Percy, która według własnego swego wyraże-
nia — wyznawała Religję Królewskiego
Majestatu, jęknęły aż w niej. A ten jęk zmie-

6565

6565 — 38 —

nił się w stanowcze zaprzeczenie ostrym słowom księdza:

— „A, mój bracie!“ — odezwała się głosem pełnym wyrzutu.

6565 — „Regalistka, naprzekór wszystkiemu i wszystkim! Bohaterka, naprzekór wszystkiemu i wszystkim! To godne ciebie, moja siostrzo“ — rzekł ksiądz, obracając ku niej białą swą głowę. — „Więc ty ciągle jeszcze chodzisz w spodniach aksamitnych w paski, i w grubych butach dragońskich? Ciągle jeszcze dosiadasz okrakiem swej klaczy, a wszystko w obronie domu Bourbońskiego!...“

Jejmość Panna de Percy była jedną z amoznek regalistowskiej partyzantki. Nie raz w przebraniu męskim służyła jako ordonans lub z sztafetą biegła między rozmaitymi wodzami, którzy podnieśli okolice Maine'u i chcieli pod broń powołać Cotentin. Była tedy czemś w rodzaju słynnego Kawalera d'Eon, jeno bez jego rysu samözwaństwa. Jak mówiono, chadzała niegdyś na podjazdy i to z odwagą, jaką mógłby poszczycić się niejeden mężczyzna. Nie groziło jej niebezpieczeństwo, by piękność lub wiotkość kibici mogła zdradzić jej pleć niewieścią. Przeciwnie, brzydota jej mogła raczej postrach rzucić na wrogów.

— „Teraz jestem już starą panną do niczego“ — rzekła, odpowiadając na drwinki brata z odcieniem smutku, w którym było nawet coś z wdzięku — „i nie mam nawet siostrzeńca w Szkole Paziów, któremu mogłabym przekazać

„karabin po ciotce.“ Ale umrę, jak żyłam, wierna naszym władcom i do śmierci nie zniosę, by się kto przeciw nim odzywał.“

— „Ty, moja Percy, więcej warta jesteś niż oni i my razem z nimi!“ — powiedział ksiądz, pełen podziwu dla tego przywiązania dozgonnego, którego już sam nie podzielał. Mówił do siostry po nazwisku, jak do mężczyzny, a w tym zwykłym u niego sposobie przemawiania do niej był rodzaj hołdu, na który ona zasługiwała, ta siostra, ta stara lwica.

Pochwała z ust księdza podziałała na bohaterkę partyzantów, jak ostroga na konia... Zresztą podniety nie potrzebowała, by zakipieć życiem ta natura gorąca, targana ruchliwością nieustanną, a od ukończenia wojen — bezcelową. Na stolik cisnęła gwałtownie pod lampę osnowę swego haftu. W tę kanwę wbijała ona igłę, jak się gwoździe wbija, a z igłą razem wbijała całą niecierpliwość, jaka trawiła jej duszę, odkąd przestała u drzwi ojczystego dworca przybijać czaple i baki, upolowane własną ręką. Z hałasem zerwała się z krzesła i mimo podagry, chodzić szybko zaczęła po salonie z płonącym wzrokiem i z rękoma w tył założonemi, zupełnie jak mężczyzna.

— „Kawaler Des Touches — w Valognes!“ — mówiła raczej sama do siebie, niż do obecnych. — „Na rany Chrystusowe,! czemużby nie miał tu być?“ — dodała jednym tchem. Podczas dawnych wojen, na popasach, przy blasku miesiąca, nauczyła się zaklęć i silnych wyrażień. Nie używała

ich wprawdzie na cóżdziej, ale same cisnęły się jej na usta, ilekroć ogarniało ją wzburzenie. Podobnie powraca dzikie i zuchwałe ptaactwo do siedzisk swoich z dawna opuszczonych. — „Bo przecie cóż w tem niemożliwego?! Człowiek, co bił się w partyzanckiej wojnie, a nie poległ w niej, życie musi mieć twarde. Zamiast wylądować w Granville, wysiadł pewno ze statku w Portebail albo w zatoce Carteret i zatrzymał się w Valognes, po drodze do swych rodzinnych stron. Pochodzi bowiem, ile mi się zdaje, z pod Avranches.

— „Ale, mój bracie — mówiła dalej, stając przed nim ciężko, jak gdyby dotąd nogi jej tkwiły w tych wielkich butach, o których ksiądz wspominał przed chwilą i jak gdyby na głowie zamiast kfezu z pomarańczowych i zielonych jedwabi — miała jeszcze ciągle trójgraniasty kapelusz, jaki nosiła za młodu na włosach zwiniętych w pytkę — „ależ mój bracie, skoro jesteś pewien, że to był on sam, Kawaler Des Touches, czemuż go puściłeś, czemu nie zmusiłeś go przynajmniej, żeby się z tobą rozmówił?!“

— „Gonić go! Mówić z nim!“ — odezwał się ksiądz, baraszkując w odpowiedzi na to, co Jejmość Panna de Percy mówiła z powagą i przejęciem. — „Któż goni wicher w polu — i kto rozmówi się z człowiekiem, co jak błędny ognik mignie: fiut! i już go niema, zanim się zdążyło rozpoznać go na dobre. I to jeszcze w taką słotę, jak dziś, Mościa Panno sestro!“

— „O, w tobie było zawsze coś paniczykowanego, mój księżu! — mówił dalej ów dragon w spodniey fałdzistej; *on* zaiste nie miał w sobie nigdy nie panienkowego.

— „Ja byłabym się puściła za Kawalerem De Touches. Biedny Kawaler!“ — mówiła dalej nie przestając chodzić — „jemu ani przez głowę nie przechodzi, że wy, de Touffedelys, nie macie już zamku Touffedelys, gdzie była nasza generalna kwatery. Nie przypuszcza, że z was teraz takie sobie Jejmoście w Valognes, ani że *jeden* z jego wybawców zszedł na to, iż wieczorami haftuje u was w salonie!“

— Co pani mówi, Waszmość Panno de Percy? — rzekł baron de Fierdrap — podnosząc nos za grzebany całkowicie w głębi blaszanego pudełka, w którym nosił swój *Tea-Pocket*, jak się wyrażał. I nos ten, o nozdrzach drżących z zaciekawienia, zwrócił ku Jejmości Pannie de Percy. Ona zaś chodziła ciągle po bawialni, od kąta do kąta, jak olbrzymie rozmachane wahadło.

— „A prawda! Ty o tem nie wiesz, Fierdrap!“ — przemówił znowu ksiądz. — „Ale siostra moja, jak ją tu widzisz, w całej okazałości falban, jest jednym z wybawców Des Touches’a. Ni mniej, ni więcej, mój drogi! Kiedyśmy w Anglii polowali na lisy, ona tymczasem brała udział w słynnej wyprawie *Dwunastu*, która wydawała nam się czemś tak bohaterskiem. Opowiadał nam tę wyprawę Sainte-Suzanne raz wieczorem u mego krewniaka księcia de Northumberland. Pamię-

tasz?... Sainte-Suzanne nie mówił nam, że moja siostra była jednym z tych zuchów. Nie wiedział o tem, i ja sam dowiedziałem się dopiero po naszym powrocie z tułactwa. Utała tak dobrze pleć swoją, albo może ci panowie tak umieli dochować tajemnicy, że ją brano za jednego z owej szlachty, która się pomiędzy sobą nie znała. Nawoływali się tylko nawzajem hasłem „Biała Kokarda“. Dałżebyś temu wiarę, że jednym z Parysów naszej Pięknej Heleny była właśnie... moja siostra?!..

— „Doprawdy!“ — rzekł Imci Pan de Fierdrap, nie zważając na ucieszoną i teatralną postawę, jaką przybrał ksiądz de Percy przy ostatnich słowach. Bure oczy barona jeły rzucać iskry, jak skałka flinty i nabrały połysku skałki lśniącej stalowym blaskiem. „Doprawdy!“ — powtórzył — Waszmość Panna brałaś udział w wyprawie *Dwunastu*? Zaczem niech mi Waszmość Panna pozwoli ucałować tę dzielną rękę, bo na mój honor szlachecki — nie wiedziałem o tem zgoła!“

Wstał, wystąpił na sam środek za panną de Percy, ujął ją za rękę, za tę rękę trochę grubą i tak mało dziewczęcą, że nawet starość nie zdołała jej wybielić — i ucałował ją z takim rycerskim sentymentem, iż w oczach jakiego poety byłby stanął cały opromieniony, on, staroświecki rybołowca ubrany cudacznie i świecący nosem centkowanym.

Ona zaś rękę podała mu jak królowa. I rozległo się, w dowód hołdu, głośnie cmoknięcie, bo

hold był prawdziwie żołnierski, a pocałunek staro-
rego zapaleńca zabrzmiał, jak wystrzał z pistoletu.
I zaraz potem zamienili oboje na raz — jeden z tych
uroczystych ukłonów, o jakich ze słyszenia tylko
wiemy, iż je składano, stając do menueta.

— „Moja siostrze, de Percy“ — ozwał się ksiądz —
„o Des Touches'u będziemy mieli zapewne wiado-
mości jutro, lecz tymczasem jego pojawienie się
nasuwa nam na pamięć jego dzieje; więc dziś
wieczorem, przy kominku, czy nie opowiedziałabyś
ich od początku do końca, bo Fierdrap zna
je tylko *po łebkach*, jak mówią u nas w Nor-
mandyi. Słyszał tę historję na emigracyi niedo-
kładnie i coraz to inaczej opowiadaną!“

— „I owszem, mój bracie“ — rzekła Jejmość
Panna de Percy. Ksiądz tak ją uradował swoją
prośbą, że aż poczerwieniała z radości, jeśli mo-
żna rumieńcem nazwać to, że z jednej barwy,
która stanowiła jej cerę, przeszła do innej o mo-
niejszym odcieniu. — „Ale już wybiła dziewiąta
i Jejmość Panna Amata niebawem przyjdzie. To
jej pora. I w tem cała trudność: jak przy niej
opowiadać o uwięzieniu Des Touches'a, kiedy
w tej przygodzie zginął jej narzeczony w sposób
tak dziwny i okrutny? Nie można liczyć na to, że bie-
dna dziewczyna jest głucha i czem innym będzie
zajęta; bywają dni, w których nieszczęsna zasło-
na, rozpięta pomiędzy nią a światem, rzadnie i
przepuszcza odgłosy słów. I kto wie, czy dziś
właśnie nie jest taki dzień.“

— „Gdy powietrze jest bardzo przewiewne“ — rzekła Jejmość Panna Urszula de Touffedelys, zajmująca się wiecznie ubogimi chorymi, a ztąd gotowa zawsze do wyjaśniania wad organicznych, których lekarze wyjaśnić nie umieli — „gdy powietrze jest bardzo przewiewne, wówczas możecie być spokojni, że nie usłyszysz ani jednej zgłoski z tego, co się będzie mówiło.“

— „O, powietrze jest bardzo przewiewne“ — rzekł ksiądz, wodząc rękami po nogach — „bo całą zawieję przeciągów czuję poprzez jedwabne pończochy. I kiedyż nareszcie każecie Waszmość Panny znieść ze strychu do salonu parawan?“

— „Zatem“ — powiedział baron de Fierdrap, idąc za własną swą myślą — „nie zaczynajmy, póki ona nie przyjdzie, żebyśmy potem nie musieli przerywać.“

Jakoż zegar suchym brzękiem wybił kwadrans na dziesiątą.

Zegar ten przedstawiał wyzłocaną figurkę Bachusa, który stał, odziany skórą tygrysią, i jak zwykły ziemski bednarz podtrzymywał boskiem swem kolaniem beczkę; jej dno stanowiło tarczę zegarową, wahadłem zaś było winne grono, obsiędzone przez pszczoły. Na cokole, uwieńczonym bluszczami i powojami, o trzy kroki od kędzierzawego boga, leżał porzucony thyrsos, amfora i puhar... Ciekawie wyglądał taki zegar u starych panien, które pijały tylko mleko lub wodę, a o mytologię bynajmniej tak nie dbały, jak ksiądz de Percy!

Otóż w tejże chwili dzwonek u drzwi odpowiedział na tykanie zegaru, dźwięcząc cienkim głosem w głębi korytarza, wychodzącego na ulicę.

— „Idzie! Nie potrzebowaliśmy długo czekać na nią“ — dodał baron.

I ta, którą oni zwali Jejmość Panną Amatą i od której zależał cały ich wieczór, drzwi otworzyła i weszła, nie opowiadając się przez służbę.

III.

Młoda staruszka wśród prawdziwych starców.

„To ty, Amato!“ — krzyknęły z całego gardła obie Touffedelys. Z tym okrzykiem równoczesnym, siedzące na wyścielanych krzesłach, zupełnie były podobne do owych repetierowych zegarków, jakie na jedwabnych, w kratkę przesywanych podszewkach, umieszczano niegdyś po dwóch stronach zwierciadła nad kominkiem, aby na raz wybijały godziny.

— „Mój Boże, czy aby *wilgotność aury* na wskrós cię nie przemoczyła?...“ — poczęły mówić obie jednym tehem, jakby wydzwaniając równocześnie godzinę — i nadszakiwały jej w podrygach, trzymając w ręku rozpięte krosna, rzekł byś, że duch gościnności popycha je swem technieniem potężnem, jak powiew Boreasza.

I reszta szczupłego tego grona powstała jednomyślnym ruchem, jak gdyby podrzucona wspólną sprężyną. Była to istotnie silna i czuła sprężyna

życzliwości, nie stoczona dotąd rdzą w tych starych pocziwanych sercach.

— „Nie róbcie sobie ze mną tyle zachodów!“ — ozwał głos się dźwięczny z pod zapuszczonego kapurka mantyli. Nowoprzybyła weszła bowiem do bawialni, odrazu wprost z ulicy, zdjawszy w przedpokoju tylko papucie. To co mówiła odnosiło się raczej do zachowania się, niż do słów przyjaciółek. — „Nie zmokłam bynajmniej — dodała — bo przebiegłam szybko, a klasztor stąd o dwa kroki!“

I dla dowiedzenia prawdy słów swoich, w złocistem świetle lampy pochylila ramiona tak, że widać było kilka zaledwie kropel wody perlących się na jedwabnej mantylce. Mantyla była ciemnofioletowa, a ramiona krągłe, więc krople deszczu grały blaskiem na tem jedwabistem zaokrągleniu. Rzekłbyś, wielki pęk skabiozy, na którą padły lzy wieczoru.

— „To tylko parę kropel z *okapu*“ — rzekła głosem znawcy wielka obserwatorka, Jejmość Panna Sankta.

— „Amato *Złotowłosa Królowno*, jesteś lekko-myślna“ — jęła ryczeć barytonem Jejmość Panna de Percy w same uszy Jejmość Panny Amaty. Była to próba, czy też usłyszy. Siostrze księdza zależało bardzo na tem, by mogła opowiadać swoją historję baronowi de Fierdrap, a lękała się, że może to spełznąć na niczem... — „Naraziłaś niebacznie zdrowie swoje na szwank“ — mówiła dalej — „bo po drodze, jeśli nie deszcz, to mógł ci zaszkodzić wicher, moja najdroższa!“

Ale za całą odpowiedź na te grzmiące uwagi, spowodowane machiawelistyczną troskliwością, *Złotowłosa Królewna* odjęła zapinkę amatystową, która jej przytrzymywała mantylę u szyi, a z fałdów odwiniętej podszewki wynurzyła się postać wyniosła, *Złotowłosa* istotnie, ale nie dość wiotka, jak na *Królewnę* z bajki. Kiedy się obróciła, zrzuciwszy mantylkę wolnym ruchem na oparcie krzesła, ujrzała, iż Jejmość Panna de Percy, zapierzona, jak rak w czerwonej skorupie, ręce około ust w trąbkę zwija:

— „Przepraszam“ — rzekła — „zdalo mi się, że Waszmość Panna mówiłaś do mnie, ale ja dziś wieczór jestem...“

I zdjęta tym rozrzewniającym wstydem, jaki nieważą kaleki, nie śmiała użyć słowa, określającego jej kalectwo. Wskazała tylko smutnym ruchem ręki na ucho i na czoło i z uśmiechem powiedziała słowami piosenki:

— „*Pani zamknięta w wieży* — na samym szczycie wieży i obawiam się, że dziś wieczór nie będzie mogła zejść na dół“.

Był to poetyczny i pełen dziecięcej prostoty dowcip, na który sama wpadła i powtarzała go, ilekroć ogarniała ją zupełna głuchota. A mówiła to zawsze w taki sposób, że te wyrazy: „*Pani zamknięta w wieży*“, zawierały w sobie cały poemat smutku.

— „To ma znaczyć, że jest głucha jak pień“ — ważył się powiedzieć ksiądz uszczyliwym i zuchwałym tonem — „usłyszysz przyobiecane ci

opowiadanie, mój Fierdrap. Siostra moja nie będzie musiała zwyczajem dzikich ludzi, połknąć własnego języka... co musi być męczarnią nie lada, nawet dla bohaterki tak odważnej, jak ty, Panno de Percy!“

Podczas, gdy mówił, młodsza z Jejmość Panien de Touffedelys ujęła Jejmość Pannę Amate pod łokcie powyżej długich mitenek i łagodnie popchnęła ją na krzesło, a równocześnie Jejmość Panna Urszula przysunęła podnózek i oparła na nim stopy swej przyjaciółki, która słusznie widać, nosiła imię Amaty. Zwali ją tem imieniem, nie więcej niedodając.

— „Czy chcecie, żebym sobie poszła, moje najmilsze?.. — rzekła, odejmując od nóg swych ręce Jejmość Panny Urszuli i przytrzymując je w swoich. — „Wszyscy zrywacie się na równe nogi i obstępujecie mnie dokoła dlatego, żem przyszła! Czy to się nazywa postępować ze mną jak z przyjaciółką i sąsiadką?.. Czyśmy się tak umawiały? Pozwoliłyście mi przychodzić co wieczór z robotą bez żadnych ceregieli, w tułubku watowanym i w pantoflach. Bo to miesiąc taki, że nie mogę sama wysiedzieć w domu, skoro wieczór zapadnie...“

Powiedziała to tak, jak gdyby wszyscy musieli znaczenie jej słów rozumieć. I w istocie, obie Touffedelys pochylily się przytakując, jak owe lalki chińskie, co kiwają głowami i wystawiają języki, gdy się je potrafi, ustawiwszy jedną na przeciw drugiej. Różnica polegała tylko na tem, że one ograniczyły się do kiwania głową.

— „Na prawdę, musiałabym żalować, żem przyszła“ — ciągnęła dalej Panna Amata, — „gdym spostrzegła, że wam sprawiam kłopot i że wam rozmowę przerywam. Na osobę tak ciężką do pogawędki, jak ja, musicie moje drogie nie zważać, jak gdyby mnie tu wcale nie było!“

Mówiła to, jak od niechcenia i z poddaniem się swemu losowi, ale zdaje się, że bynajmniej łatwo nie było zrobić, czego żądała. Ani w tym świecie obojętnym, który się *wielkim*, albo *salonowym* zowie, ani w małym światku zażyłej przyjaźni, ta głucha, ta biedna Amata nie mogłaby ująć, nie zwracając na siebie uwagi. I nie dość, że przy niej nikt nie mógł nie zważać na nią, *jak gdyby jej wcale nie było*, lecz owszem taki wdzięk roztaczała dokoła, że i tam, skąd już poszła, zdawało się wszystkim, że jest jeszcze w pośród nich.

Tak, miała przedziwny wdzięk, choć niestety młodości także nie miała. Ale wśród wszystkich tych starców, mniej lub więcej okrytych siwizną, wśród owych głów ubielonych wiekiem, które się wznosiły dokoła niej, królowała jeszcze i odbijała przy nich, jak bladeziłota gwiazda odbija od srebrnego tła, które podnosi jej złocisty połysk. Wdzięk tylko pozostał z jej dawnej urody — niegdyś bo pięknocią była słynną na całą okolicę, a nawet na cały Paryż, gdy zjeżdżała do stolicy ze stryjcem swym, pułkownikiem Walterem de Spens około 18.. roku. Wsparta o balustradę łoży, zwracała wtedy na siebie wszyst-

kie lornetki w salach widowisk. Amata-Izabella de Spens pochodziła z dostojnej rodziny szkockiej tego nazwiska. Ród ten szczyił się w herbie „przyczajonym lwem“ Macduffa, ona zaś była ostatnią latoroślą domu, który przed wiekami przybył do Francji jeszcze za Ludwika XI i rozdzielił się na dwie linie, z których jedna osiadła w Gujanie a druga w Normandji. Wywodząc się wprost od starodawnych hrabiów de Fife, gałąź ta rodu Spens'ów, dla odróżnienia się od innych gałęzi, dodawała do nazwiska i herbu swego herb i nazwisko de Cathallan, a teraz wygasała na osobie hrabianki Amaty-Izabelli, którą po prostu Jejmość Panną Amatą zwano w salonie sióstr de Touffedelys, i której przeznaczone było zejść ze świata w białym welonie dziewictwa i w czarnym wdowieństwa — w tym podwójnym welonie wielkich męczennic! Amata de Spens straciła bowiem narzeczonego w czasie, gdy zubożona zdzierstwami rewolucyjnymi, szła skromną suknię ślubną własnymi rasowemi rękoma. Mówiono nawet pocichu, że z tej sukni jeszcze nie skończonej a już niepotrzebnej — zrobiła całun śmiertelny dla nieszczęśliwego oblubieńca... Od tej pory — a czasu przecie dużo już upłynęło — najbliższe kółko, w którym żyła, nazywało ją często *Dziewiczą Wdową*, a przydomek ten przez zestawienie obu wyrazów, doskonale określał jej losy. Naocznie trzeba widzieć to, co się zamierza odmalować, jeśli malowidło ma być podobne; to też grono starszusków, w którym się obracała,

a które widywało ją w latach jej młodości, rozmawiając o niej w niniejszem opowiadaniu, da czytelnikowi najlepsze wyobrażenie o jej minionej piękności. A wszystko świadczyć zdaje się, iż piękność to była nadziemską.

Książd de Percy, trochę poeta, pisujący wiersze tokiem i obrotem kształtowane na Jakubie Delille'u, gdy mu czasem wicher poezji romantycznej zawieruszył klasyczną głowę, mawiał o niej, popadając trochę w nowożytny galimatyas:

Była, jak słońce jaśniejące we dnie,
Jest gwiazdą nocną, lecz jeszcze nie błednie.

Mniejsza o wartość przenośni, wyrażonej w tym dwuwierszu, lecz trafna była ta przenośnia niezawodnie. Bo istotnie Amata, owa piękna Amata, posiadała ciągle swój czar, zmieniony latami, ale zawsze potężny. Wszystko, co niegdyś jaśniało w niej i olśniewało oczy i serca — teraz, gdy schyliła się ku zachodowi, zamieniało się w urok słodki, rzewny, bezbronny, cichy a nieprzeparty. Piękność jej, promieniejąca ongi blaskiem słonecznym, przekwitając, niecielesną prawie się stała, nabrała tej łagodnej miękości, jaką ma światłość miesięczna...

Na określenie tego wdzięku, którym wszystkich czarowała, miał on ładny zwrot, w rodzaju Fontenelle'a: „Dawniej serca padały jej ofiarą, teraz tylko idą do niej w niewolę.“ Przerzedzi się bujny krzew róży, kwiaty na nim bladły i osypy-

wały się z kielichów, ale, opadając, nie straciły woni. I była ciągle tą Kochaną — Amatą — ciągle była. Modre oczy tej „córy morskich fal“, znamionujące w niej pochodzenie z krwi odwiecznych „królów morza“ — takie miano dawali kronikarze Normandom, przodkom naszym — te jej oczy modre straciły już owo spojrzenie promienne i przejrzyste, spojrzenie Rusalki, grające błękitem i zielenią, jak morskie głązy lub gwiazdy; niegdyś te oczy zdawały się błękitem swym i zielonością śpiewać pieśń Pogody i Nadziei, o, bo barwy mają swój głos i śpiewają wzrokowi! Ale zato w oczach tych była cała głębia rozranionego uczucia, które duszę Amaty oblekło kirem i na toń jej spojrzenia rzucało cień żaloszny. Szary i pomarańczowy kolor, te dwie barwy wieczoru padały w tę głębię i rzucały na nią jakąś przesłoneę, podobną do tych mgieł, jakie się kładą na szafirowych jeziorach Szkocyi, tej pierwotnej ojezyny Amaty. Bodaj-to górcom, co szczęścia swego nieświadome, długo wieczorem zachowują na swych wierchach lunę zachodzącego słońca i stoją pieszczotą zórz wieczornych ozłocene... Kobiety mniej są szczęśliwe, one bowiem gasną — od czoła. Przez długie lata dwa odmienne płowe odcienie igrały i mieniły się w splotach jej włosów, w tych splotach, „co miały złotą wagę całego jej magnackiego posagu“, jak dumnie mawiał ojciec Amaty de Spens, jeszcze przed swoją majątkową ruiną. — Z tych dwóch odcieni, teraz odcień bledszy, chłodny i wyblakły brał górę nad tamtym drugim, zlocisto pło-

wym i gorącym, który niby puch iskrzący i świetlany rozsypywał się po jej różanem czole. Jak płomień i jak popiół były niegdyś te dwa odcienie jej włosów; teraz ogień — jak to zwykle bywa — dogasał pod popiołami! Gdyby Jejmość Panna Amata miała czarne włosy, to na pięknych jej skroniach, których — wbrew modzie ówczesnej, nie zakrywała włosami — bez wątpienia poczynalyby w tym wieku bielić się *pierwsze kwiaty cmętarne*: to znaczy pierwsze siwe włosy, które Czas, jak gdyby na próbę, rzuca nam garstkami, zanim skończy wic z nich cały śmiertelny dyadem na głowy nasze, czekające zgonu. Lecz Jejmość Panna Amata włosy miała płowe. Siwizną zaś jasnowłosych kobiet są włosy ciemne, które zwolna plamą ziemistemi smugami jasne kędziory i zcierają z nich pozłotę. Plam takich złowrogich miała Amata wiele, znać je był u wyrostu włosów, które nosiła podczesane do góry. A piętno wieku tej młodej staruszki w pisane było nietylko temi spłowiałemi pasmami włosów.

Wiek wycisnął na niej także inne swoje ślady, a wycisnął je wszędzie. Przy blasku lampy, padającym z ukosa na jej policzek, snadno było spostrzedz tajemnicze i nieublagane cienie, które nie złudą oświetlenia, lecz dowodem były, iż po tej twarzy przeszło życie z całym swoim smutkiem. Cienie te przesłaniały zagłębienia w jej rysach, tak jak przysłoniły morski błękit jej oczu. Ubrana była w stalowo-szarą suknię jedwabną, a czarne mitenki sięgały jej aż do łokci — wyżej

znać było ramiona pełne, jakby utoczone; na próżno! bo nigdy nie było im dane dziecięcia tulić, ani męża, a przecie zdały się, jakby urobione z białej i jędrnej tkanki hiacyntów. Na grzebień wtknięty we włosy zarzuciła, wychodząc w pośpiechu, koronkową chustkę, a końce jej związała na węzeł pod brodą tak, iż owal jej twarzy nieśmiało wysuwał się z pod koronek. Wszystkie te drobne szczegóły, razem ze śladami, jakie czas wycisnął, nadawały coś ludzkiego, coś niezmiernie kobiecego, tej twarzy, która, gdyby nie to, wyglądałaby raczej na oblicze Minerwy, niezmacone, poważne, olimpijskie, pogodne i harmonijne, dostrojone do tej piersi krągło wykutej na kształt puklerza wojennego, do tej piersi, w której od lat dwudziestu żarzyło się na dnie jedno jedyne skromne uczucie, pełne nieustającego zachwytu. Patrząc na pierwsze ślady spustoszeń, jakie wiek i cierpienie poczyniły, czuło się, że ta dziewica wspaniała i wstydliva zarazem, choć zawsze czysta, nie mniej przeto nie była zimną boginią.

Szlachecka młodzież okoliczna, nowymi przejęta obyczajami, cała bez wyjątku zapomniała rycerskiej grzeczności; należnej kobietom i w sposób grubiański wyrażała się o tej „starej pannie, że sypie się już, nie przymierzając, jak zboże na pniu przetrzymane.“ Ale w oczach każdego, kto umiał patrzeć, więcej wart był jeden tej starej panny palec, acz niezdobny obrączką ślubną — niżli najmłodsze dziewcziczki w okolicy, calutkie od stóp do głów, razem z ślubnymi swymi stro-

jami; a przecie to było w krainie, gdzie kobiety urodą przypominają rozkwitłe krze różane i osypane kwieciem jabłonie!“

Piękność jej podobna do zachodzącego słońca, przesłoniona mrokiem lat i cierpień, mogła jeszcze zapalić wielką miłością nawet i zmysły czyjeś, kto by miał wyobraźnię na prawdę poetyczną; a już pod względem duchowego uroku, któżby się z nią mógł mierzyć? Któż podbijać umysły bardziej był zdolny, niż ona, ta czterdziestoletnia Amata, kobieta umiejająca do dziś dnia nosić dawne swoje imię Ukochanej. O, bo nikt ongi więcej nad nią nie wzbudził nezuć gorących i tkliwych... Ale były to skarby zmarnowane i nie wyzyskane zwycięstwa! Miała dar wdzięku, dany jej, jak gdyby na okrutne szyderstwo! Wdzięk bowiem nie przysporzył jej szczęścia i przydał się chyba na to, by z życia jej złamanego zrobić coś stokroć piękniejszego, niż opromienione szczęściem życie innych ludzi! Małe kółko, które otwarło się na jej przyjęcie i powiększyło się przez jej przybycie, teraz kręgiem zamkniętym rozsiadło się znów u kominka. Jejmość Panna Sankta de Touffedelys miejsce zajęła obok siostry, a nowo przybyła, usadowiona uprzejmie na krześle panny Sankty, wyjęła z zarękawka haft rozpoczęty jeszcze w domu.

Cienkimi palcami, co z jedwabnych mitenek wysuwały się jak z czarnego kwiatu sterczące pręciki, zrobiła parę ściągów, a potem kształtną głowę podniosła i przewlekłem spojrzeniem pa-

trzymała po tamtych, którzy już mieli nawiązać przerwana rozmowę.

— „Tak, to lubię!“ — rzekła głosem, który w świeżości przetrwał lepiej, niż pleć jej twarzy; głos taki słodki, jak zapach róż, powinnyby mieć przewodnicy, wodzący ślepych, bo stratę wzroku wynagrodzić mogą dźwięki takiego głosu. — „To lubię! Tak, teraz mi się podobacie, i tak chcę zawsze was widzieć. Rozmawiajcie sobie, a nie troszczcie się o mnie!“

I ponownie schyliła głowę nad robotą i zato-
nęła w swej zadumie głębokiej, w tej *studni bez-*
dennej, nad którą straż trzymała... *gluchota!*

— „A teraz moja droga Percy“ — mówiła Jejmość Panna Urszula z przekonaniem, jakie przystoi wytrawnemu lekarzowi — „możesz bez obawy mówić, co ci się żywnie spodoba. Gdy ją taka gluchota ogarnie, staje się równie, a może jeszcze bardziej roztargnioną niż głuchą; ręczę ci za to, że z twojego opowiadania nie dojdzie do niej ani ówieré słówka.“

— „Tak“ — zauważył ksiądz — ale najlepiej zrobisz moja siostró, jeśli natychmiast urwiesz, o ile ci na to krasomowczy rozpęd pozwoli — w razie, gdyby głowę podniosła z nad roboty, bo głusi, to takie majstry, że potrafią dźwięki słów na ustach spostrzedz i łapią wyrazy oczyma“.

— „Do kroćset węd i haczyków!“ — zawołał baron de Fierdrap zdziwiony — „co za ostrożności z powodu jednej historyjki! W tem opowiadaniu musi być chyba coś bardzo bolesnego dla

Jejmość Panny Amaty. Słyszałem ja wprawdzie, że straciła narzeczonego w owej sławnej wyprawie Dwunastu i że z tego powodu nie dała sobie nigdy nawet wspomnieć o małżeństwie, mimo, że świetne trafiały się jej związki; ale na miły Bóg, to już świat się kończy, żeby po latach dwudziestu nie można było bez tych wszystkich ceremonii opowiadać starych dziejów przy... jakby tu powiedzieć... przy...“

— „Śmiało! Dokończ! Przy starej pannie!...“ — przerwał mu ksiądz. — „Ona i tak nie usłyszy, i widzisz, to pierwsza już korzyść, jaką jej przynosi głuchota! Ależ Fierdrap, mój nieboraku, ta stara panna, jak ją nazywasz, choćby miała lata owych karpików, które łowisz w stawach Quesnoy'u — a daleko jej nietylko do tych rybich lat, ale i do naszych — otóż ta stara panna jest Jejmość Panną Amatą de Spens, jest perłą prawdziwą — rozumiesz? a takiej perły nie znajdziesz w blaszance, w której glisty swoje nosisz! To w całym kobiecym rodzaju taki rarytas, jak delfin w pośród ryb; taki stary kormoran, taki rybołap, jak ty, nie dorósł do tego, żeby ją zrozumieć, ani pojąć, co znaczy ta okrutna węda, zarzucona w samo serce, węda, która się zowie stateczną miłością.“

— „Ba!“ — odparł baron, na którego słowa księdza podziały jakby *clangor tubae*, wygrywający mu nad sennem uchem pobudkę. Zaczem zbudziła się w nim jego mania i dosiadł ulubionego konika. — „Ja przecie, mniej więcej dzie-

sięć lat temu pod mostem Kerańskim, w porze wrześnieowego zrównania dnia z nocą, złowiłem rybę wielkości dużego wyza, podobną jak dwie krople wody do delfina, o ile można dać wiarę malowidłom, tarczom herbowym i obiciom ściennym, na których wyobrażony jest ten rybi feniks. Jakim sposobem dostał się do takiej rzeki, jak nasza Douva? Morze-li zagnało go na słodką wodę, jak tyle łososiów zagania w różne dorzecza w niektórych porach roku? Dość, że dopadłem go, gdy się złapał na jedną z zastawionych wędek i na samym końcu linki rzucał się w potężnych podrygach, jak gdyby w głowie nie miał haczyka, zaczepionego przynajmniej na dwa palce głęboko. Jak żyję, nie miałem nigdy w sieci takiej ryby. Nigdy! Świadczyć się Bogiem i Jego Apostołami, którzy przecie rybitwami byli! Świadczyć się Ojcem Le Goupil'em i Imci Caillot'em, równie jak Imci Panem d'Jugonville i wszystkimi członkami naszego „Klubu Rybołowców na rzece Douvie!“ Zrazu stanąłem jak wryty, gdym taką rybę zobaczył; ale niebawem położyłem ją ostrożnie na trawie i wybałszyłem na nią obie moje latarnie“ — uczynił przy tem ruch, wskazujący oczy, któremi mrugnął w tej samej chwili. „Z książek szkolnych przypomniałem sobie, jako delfin mienić się ma przed śmiercią wszystkimi barwami tęczy. Byłem tego ciekaw. Ale to musi być jedna z tych mnogich bredni, jakie nam Ichmoście Starożytni przekazali. Czy ty rzeczywiście dawałeś kiedy wiarę Staro-

żytnym — ty, książę?... takiemu Pliniuszowi?... takiemu Varronowi? albo takiemu z cicha frant drowiarzowi, jak Tacyt?... To wszystko błazny, które szydzą sobie z nas na odległość wieków. Ale ta moja historia z rybą, dała im wszystkim porządnie po nosie. — Bo, mój drogi, ryba usnęła sobie w najgłupszy sposób, jak ostryga wydłubana ze skorupy... ani jej było w głowie zmieniać barwę, ot była jak pierwszy lepszy lin lub szczupak. A przecie wybrałem się i „strzygąc drobną nóżką“, poszedłem zanieść ją staremu Lambertowi de Grentheville, który zajmował się wówczas naukami przyrodzonymi. I mimo wszystkiego, co mu opowiadałem o zupełnie pospolitej śmierci mojej ryby, przysiągł mi się na honor uczonego — mówiąc nawiasem honor uczonego wzbudza we mnie o wiele mniejsze uszanowanie, niż relikwiarz świętego Lauda... z pewnością! — jednak przysiągł mi się, że to niechybnie był ten sam delfin, o którym Starożytni tyle pisali.

Zatem, co się tyczy delfina, to się przekonałeś książę, czy go nigdy w życiu nie widziałem. Ale masz djabelną słuszność (*djabelnie* był to ulubiony przyimek barona de Fierdrap), jeśli mianem delfina określasz nader rzadkie rzeczy! Co się zaś tyczy statecznej miłości — to znowu inna sprawa... choć nie tak bardzo rzadka... Prawda i to, że nie spada ona tak gęsto, jak z deszczem, ale zawsze — to w tej sieci, jak w każdej innej, przetrze się z czasem niejeden węzełek, a przez tak uczynio-

na wyrwę ryba, choćby niewiedzieć jak złowiona, nie omieszka się wypsnąć.“

— „Co? ty niedowiarku, wątpiący o stateczności sere kobiecych“ — odrzekł ksiądz. — „Masz tu właśnie taką, która ci daje porządnie po nosie... zupełnie jak gdybyś był jednym z owych Starożytnych... Historya Jejmość Panny Amaty splata się z historyą mojej siostry, jak cyprysowy wieniec owinięty dokoła gałęzi laurowej. Posłuchaj i skorzystaj z tego, co usłyszysz! Opowiadania zaś, o które sam się dopominałeś — nie trzymaj w zawieszeniu na linie swą gadaniną o linie i delfinie, bo w końcu będziemy wszyscy musieli dać szczupaka do domu.“

— „Na honor, to szczerą prawdą; wśliznęła się tu moja historyjka, jak węgorz“ — rzekł Imci Pan de Fierdrap. Poczem zwrócił się do Jejmość Panny de Percy, która mało nie pękła, w całym znaczeniu tego słowa — tak ją rozsadzało opowiadanie, które w sobie dusiła podczas rozmowy obu panów.

— „Niech mi Waszmość Panna wybaczy“ — dodał — „choć z nas dwóch więcej winien brat Jej, bo wyjechał ze swym delfinem, który mi przypomniał mojego...“

— „Najniezawodniej“ — odparł ksiądz, zwracający chętnie do mitologii — „delfin uniósł cię na grzbiecie, jak niegdyś Ariona, i byłbyś niebawem wypłynął na pełne morze Dystrakeyi.“

— „Ale teraz nastawiam skwapliwie uszu, aby słuchać Waszmość Panny“ — dokończył Imci de

Fierdrap, wpadając księdzu w sam środek do-
weipków, które nie zdołały zahamować barona...

Jejmość Panna de Percy zniecierpliwiona, tak,
iż wyglądała, jakby jej groziła apopleksya, kon-
wulsyjnie pruć dotąd ścięgi swego haftu. Wrzu-
ciła tedy co prędzej robotę do koszyka i dzierżąc
nożyczki, tę jedyną broń, jaką teraz władała jej
bohaterska ręka, bębniła niemi od czasu do czasu
po stoliku i wsparłszy się łokciem na jego kra-
wędzi, zaczęła swe opowiadanie.

Były to dzieje żołnierskie, godne zaiste, by nie
taki wtórował im bęben.

WŁASNOŚĆ NIE POZBYWALNA
ŚWIETLICY
Nizszego Funkcji. P. R. w Krakowie

IV.

Historya „Dwunastu“.

Pod ten czas, gdy Waszmość, Panie de Fierdrap łowiłeś kielbie w Szkocyi, a brat mój tu oto przytomny, osobą swoją godnie przedstawiał powagę Sorbonny, bo czerwonym kubrakiem opięty wewał za lisami kouno gariał w majątnościach milego naszego krewniaka, księcia de Northumberland, pod ten czas właśnie Panny de Touffedelys, uznały, iż niekoniecznie im uchodzić na emigracyę, jako że były dziedziczkami umiłowanemi od ludu w swych dobrach. Ja też nie uchodziłam, będąc ostatnią z rodziny licznej, a z dawien dawna rozproszonej. Zaczem, nie wynosząc się za morze, tu w kraju bawiłyśmy się czemś zgola innym, *jak snuciem niteczki z lnianego wrzeciona*, że użyję słów starodawnej śpiewki bretońskiej. Minęły bowiem spokojne czasy, gdy się obrębiało serwety tkane w jadalni zamkowej. Francya ginęła roztargana wojnami domowemi, a kolowrotki, ta chluba domu, przy których w dzieciństwie widy-

waliśmy matki i babki nasze przedące jak zakłute księżniczki z bajek — te kołowrotki, nadłamane i pyłem pokryte, drzemały gdzieś w milczeniu na strychach. Mówiąc językiem prządek koteńskich, „twarde miałyśmy październik na naszych chesadłach“. Nie było bowiem ni domu, ni rodziny, nie stało biednych, by ich przyodziewać, nie stało chłopskich córek, by je wyposażać. Zbroczona koszula śmiertelna Jejmość Panny de Corday stanowiła całą wyprawę, jakiej pannom takim jak my, wolno było spodziewać się od Rzeczypospolitej!

W epoce owej zatem, o której opowiadam Waszmości, Panie de Fierdrap, „wielka wojna“ — jak u nas wojnę wandejską zwano — źle się skończyła była. Henryk de La Rochejaquelein, który liczył na poparcie gminu bretońskiego i normandzkiego, zjawił się pewnego dnia pod murami Granville. Ale morze i skały broniły miasta bodaj że lepiej nawet, niż republikańskie żołdaki. Nie dobywszy więc onego gnieździska mew, rozwścieczony, że nie nie wskórał, La Rochejaquelein obrzydził sobie pono życie i rozstrzaskał szpadę swą o miejskie bramy, nie zważając na palbę z armat i strzelb. Zaraz też potem cofnął się na czele swoich Wandejczyków. Zrazu przypuszczano, iż wojna regalistowska byłaby wzięła szczęśliwszy obrót, gdyby nie odpór, jaki stawiało Granville. Mylne przypuszczenia!... Nie dawał im wiary żaden z normandzkich dowódców, a znałem przecie doskonale wszystkich, którzy ku-

sili się utworzyć partyzantkę w naszym Cotentinie na podobieństwo partyzanckiego ruchu w okolicach Anjou i Maine'u.

Żaden z nich nie rokował sobie takich nadziei, a przecie to były czasy, gdy zagorzałość umysłów szła o lepsze z łatwą wiarą w złudzenia. Znali oni wszyscy aż nadto normandzkiego chłopca, by nań liczyć. Zapamiętały, jak irlandzki kogut, będzie on się na swoich śmieciach czubił, gotów do upadłego walczyć o źdźbło swojej mierzwy. Ale Rewolucya za bezcen, sprzedając mu majątki emigrantów i dobra kościelne, zjednała go sobie właśnie tym kawałkiem ziemi, o którą Normandowie, plemię rozbójnicze i zachowawcze zarazem — dobijali się zawsze, odkąd po raz pierwszy pojawili się w Historyi. Waszmość sam, Normand jesteś z pochodzenia, i to rodowity, Mości Fierdrap — więc wiesz równie dobrze, jak my, że stara krew północnych piratów krąży dotychczas w żyłach każdego, choćby najmizerniejszego charlaka, obutego w bretońską drewnianki. Jenerał *Telemak*, jakeśmy go zwali wówczas, a prawdziwem nazwiskiem: Kawaler de Montressel, wysłany z ramienia Jegomości Pana de Frotté, dla wzniecenia wojennego ruchu w tych okolicach Cotentinu, opowiadał mi często, jak ciężko szło mu z normandzkim chłopstwem, gdy je chciał skłonić do zdjęcia flinty z kolka nad kominem. Przywiązanie do króla, do religii i uszanowanie winne szlachcie, zostały u tego gminu daleko w tyle po za przywiązaniem do *chudoby* i po za dążeniem, żeby

mieć co na stół w misce postawić. „Ich serce mieszka w mieszku“ — mawiał mi rozgoryczony Kawaler de Montressel, który z innych stron pochodził, a nie znał przedtem Normandyi. I dodawał: Gdyby tak mięso żołdactwa w Niebieskich Mundurach *) szło na targach w Carentanie, albo w Valognes za taką cenę jak dziczyzna, to niezawodnie rozmachaliby się ci gapie i ponapychaliby niem swoje torby myśliwskie, a nie byłiby za lada płota służyli republikanom za naganę przeciw naszym, — jak w mokradłach koło Néhou za naganę chadzali na dzikie kaczki lub cyranki.

Jeśli, Mości Panie de Fierdrap, przytaczam obecnie wszystkie te rzeczy znane Panu równie dobrze, jak mnie, to jedynie dlatego, że Waszmości tu już nie było, gdyśmy były, zaczem należało, jak mniemam, przypomnieć Panu, co się działo w tej okolicy Cotentinu pod koniec 1799 roku. Od śmierci obojga Miłościwych Królestwa, odkąd wojna domowa podzieliła Francję na dwa wrogie obozy, nigdy jeszcze w nas, regalistach, duch nie upadł, a przynajmniej nigdy tak nie zwątpił, jak podówczas... Upadek Wandei, rzeź w Quiberon, smutny koniec Partyzantki w okolicy Maine — takie ciosy zabiły w nas najdroższe nasze nadzieje. Toteż jeśli jeszcze trzymaliśmy się, to tylko dla honoru. Sprawdziło się wtedy przysłowie, że skrzypiące koło najdalej zajędzie. Imci Pan de Frotté nie uznawszy trak-

*) Les Bleus — wojska republikańskie.

tatu w Mabilais, znosił się ciągle z rodziną królewską. Ludzie oddani sprawie duszą i ciałem, po nocy przeprawiali przez morze do Anglii despesze i instrukcje i wracali z niemi na wybrzeża francuskie. Wśród nich jeden śmiałek odznaczał się nieporównaną odwagą, zimną krwią i zręcznością: był to Kawaler Des Touches.

Nie będę Waszmość Panu opisywała, jak wyglądał Kawaler. Sam Waszmość mówiłeś przed chwilą do mojego brata, żeście go w Londynie znali i nadaliście mu przydomek *Pięknej Heleny*, z powodu jego uwięzienia, a zarazem, jako iż był niezwyklej urody. Bo piękność jego, jeśli go sobie Waszmość Pan przypominasz, była jakoby niewieścia; cerę białą miał i śliczne włosy kędzierzawe, a takie płowe, iż zdały się pudrem posypane! O tej urodzie jego ludzie wiele mówili, a widziałam kobiety, które mu jej zazdrościły. Ale mnie wcale znówu nie zachwyciała ta słodka twarzączka, przypominająca anioły malowane po starych mszałach. I nieraz drwiłam z Ichmość Panien de Touffedelys, że nad nim rozplywały się w zachwytach, i z innych panien ówczesnych, które wpatrywały się weń jak w cud jakie, gotowe ogłosić go za *piękność nad pięknosciami*, jak w czasie Frondy zwano księżnę de Montbazon. Podriewając zeń jednak, pamiętałem zawsze, że pod ową cacaną i panienkowatą urodą, krył się duch bohaterski; że pod tą skórką gładką jest serce hartowne, jakby dębowe i mięsne jak powrozy na studziennym kołowrocie...

Pewnego dnia na kiermaszu w Bricquelbec widziałam Kawalera, jak w budzie jarmarcznej stawiał czoło sam jeden czterem tęgim chłopom, którzy śmieli robić mu zuchwale przycinki do partyzanckiej „ruchawki“. Ślicznymi rączkami potrzaskał ich jasionowe palki, jak trzcinki! Innym razem widziałam, jak pod gardło chwycił go wachmistrz dragonów, zbudowany jak Herkules. On zaś zębami drobnymi i białymi jak dwa sznurki pereł, chwycił tego człowieka za duży palec, odgryzł za jednym zamachem i wypuł w twarz wachmistrzowi, a w tejsamej chwili dał takiego susa, że rozbił zbiegowisko, które się dookoła nich zebrało i przepadł jak kamień w wodę; — przyznam się, że z tym dniem uroda straszliwego „gryzpalca“ przestała mi się wydawać papinkowatą!

I tego samego dnia poznałam go w zamku Touffedelys, gdzie, jak Waszmości mówiłam, Panie baronie, mieliśmy główną naszą kwaterę zaciszną i bezpieczną. Czyś Waszmość kiedy był w Touffedelys, Panie de Fierdrap?... Waszmości majątek leżał w innych stronach, a dziś z tego zburzonego zamku nie został kamień na kamieniu! Był to dwór dość obszerny, z zębatymi zrębami murów, szczyłek dawnej budowy średniowiecznej. W pośrodku czterech jego baszt śmiało mogły szukać ochrony znaczne oddziały ludzi, zwłaszcza, że okolica była porośnięta wielkimi lasami: prawdziwe gniazdo partyzantów. Boć nawet i te lasy pomrokiem swych gąszczów i błędnymi ostępami

przypominały ów słynny bór Misdowski, kędy pierwszy z partyzantów, leśny Kondeusz, Jan Cotte-reau przewalczył całe życie. Położony w pobliżu zatoki ustronnej i prawie niedostępnej, z przy-czyny skalisk przybrzeżnych — zamek Touffedelys był jakby umyślnie stworzonym ogniskiem wszel-kich wojen partyzanckich, które już na pół wy-gasły, a my usiłowaliśmy je na nowo rozdmuchać! Wszystko, co pragnęło podjąć i dalej toczyć tę nieszczęsną, a przerwana już wojnę; wszystko, co w duszy burzyło się przeciw pokojowi, ugrun-towanemu na ucisku; wszystko, co wierzyło, iż lepiej powiedzie się walka, prowadzona z zarośli i z po za plotów, niż wojna w otwartym polu; nakoniec wszyscy ci, którzy chcieli wystrzelić o-statni nabój, do upadłego wojując przeciwko For-tunie, tej ohydnej i podlej Fortunie! i zginąć po tym ostatnim strzale... — wszyscy zbiegali się z różnych stron, aby zgromadzić się i połączyć w zamku Touffedelys. Wodzowie najstarszej wojny partyzanckiej, która się skończyła tak okropną tragedią wraz ze śmiercią Frotté'go, zamordowa-nego w okopach pod Verneuil — przyjeżdżali w przebraniach wszelakiego rodzaju i niejedno-krotnie spotykali się z niedobitkami ruchawki, wznieconej w okolicach Maine'u, a potem zgnie-cionej do szczytu. Dla Rzeczypospolitej nie nie-bezpieczne na pozór dwie dziedziczki mieszkaly w zamku, a dla lepszego zmylenia podejrzeń stał on się schronieniem kilku kobiet z sąsiedztwa, któ-rych ojcowie, mężowie i bracia wyszli na tułac-

two, one zaś nie chciały, czy nie mogły podążyć za nimi. Zaczem na wsi zostały były wśród chłopstwa, co zachowało jeszcze uszanowanie dla ich rodzin i w ten sposób uniknęły, czego by uniknąć nie zdołały w mieście: turmy więziennej, która zawsze jeszcze rozdziawiała niesytą paszczękę.

Żyły więc te kobiety najciszej, jak się dało, pragnąc niczem nie dać o sobie znaku przyjeźdnym przedstawicielom ludu, owym straszliwym śledcom. Niemniej przeto usiłowały ciągle nawiązywać targane wieczne węzły tej wielkiej sieci powstańczych ruchów, którym zawsze zbywało na jednolitości. Takich kobiet cztery okazy masz Waszmość przed sobą, Panie de Fierdrap“.

I nożyczkami, które trzymała w ręku, Jejmość Panna de Percy, wskazała kolejno obie de Touffedelys, Pannę Amatę, a w końcu siebie samą, zwracając ostry koniec nożyczek ku dwóm groźnym bombardonom, wydymającym jej stanik. „A były to kobiety w samej pełni rozkwitu; biła od nich krasa prawdziwie normandzka, bił romantyczny zapal uczuć młodocianych. Śmiertelne niebezpieczeństwa, zawisające codzien tuż nad głową, wyćwiczyły w nich odwagę, a zapalem przejmował je ten Regalizm, którego dziś próżno szukać nawet u was, mężczyzn, choć tak długo walczyliście i cierpieli za Majestat Królewski. Zgola też nie były one podobne do tego, czem ich matki były w ich wieku, ani do tego, czem są dziś ich córki i wnuczki!.... Ówczesne życie w ciągłej grozie i trwodze o wszystkich najdroż-

szych, powlokło ich serca jak gdyby warstwą drgającego spiżu... Widzisz Waszmość Pan na tem krześle Sanktę de Touffedelys — dziśby ona za nic w świecie nie przeszła o północy przez Plac Kapucyński i umarłaby chyba ze strachu... Otóż Sankta de Touffedelys (nie prawda Sankto?) we dwójkę ze mną po nocy wśród najokropniejszej burzy chodziła nad tę odludną i niebezpieczną zatokę, aby wręczyć depesze Des Touches'owi. Przebierał on się za rybaka łowiącego morskie węgorze, i w łódce, zbitej z trzech desek, bez żagla ni steru, z narażeniem życia przeprawił się w usługach królewskich, z wybrzeża francuskiego na angielskie przez kanał La Manche, gdzie rozbicie się groziło lada chwila. Miał zaś przytem tyle zimnej krwi, jak gdyby chodziło po prostu o wypicie szklanki wody“.

— „A mógł się łatwo narazić na wypicie całego morza!“ — wtrącił ksiądz, który podobnie jak ksiązę de Ligne, miał istny szal dowcipkowania.

— „Bo między nami właśnie kawaler des Touches trudnił się przewożeniem depesz“ — mówiła dalej Jejmość Panna de Percy, która tak się rozpędziła, że już nawet nie spostrzegła, gdy jej brat wpadał w słowo. „Cała młodzież, nawiedzająca zamek Touffedelys i przysposabiająca wojnę, odznaczała się równą dzielnością, ale w pośród niej nie znalazłby się nikt, krom tego młodego gładysza, krom jednego kawalera Des Touches, któryby się ważył puszczać na morze jak

ryba. Bo przecie pamiętasz Sankto, że na nazwę łódki ledwie zasługiwała ta łupina, którą sam sobie sklecił. Mknął w niej, prując fale jak szczupak, wślizgiwał się pomiędzy spiętrzone bałwany i zasłaniał się nimi przed lunetami kapitanów, którzy bronić mieli przeprawy i śledzili go przez ten czas ze statków na morzu, lub z urwisk na wybrzeżu.

Przypominasz sobie Sankto, jak w ten wieczór mglisty, on miał już odpływać, a ty żartem zejść chciałaś do tej wątlej łódki, ty taka leciuchna wówczas, że nie więcej ważyłaś niż kwiat albo ptaszek, a jednak o mały włos jej nie pograżyłaś — ty moja sielankowa pasterko! A przecie on w takiej łupinie orzecha z jednego brzegu przeprował się na drugi, w najgorszą słotę, zawsze gotów ruszyć w drogę tam, czy z powrotem, wedle potrzeby, nigdy goźziny nie chybił i zjawiał się w sam czas, iście po królewsku — prawdziwy król... morza. O, zapewne, między jego towarzyszami broni nie brakłoby serc, które nie zlekłyby się takiej wyprawy i jak on, nie bałyby się iść żywcem na żer morskich raków. — Serca obojętne na jakikolwiek rodzaj śmierci, gdy o sprawę króla szło i o Francję! Ale nawet, idąc za jego przykładem, żaden z nich nie wierzyłby, iż mu się powiedzie i nie powiodłoby się z pewnością żadnemu...! Na to trzeba już było być osobliwym rodzajem człowieka, czemś więcej, niżli żeglarzem! czemś więcej niżli sternikiem! Było trzeba na to być tym, kim był ów zdumiewający

młodzieniec, którego wojna domowa zaskoczyła, nim poznać zdołał zbliska morze, bo przedtem jedynym jego zajęciem było strzelanie mew nieopodal ojcowskiego dworu. Zaczem starzy majtkowie w porcie Granvillskim, lubiący, jak wogóle marynarze, dopatrywać się we wszystkim cudów — słysząc o niebezpieczeństwach, jakie w ciągu ośmnastu miesięcy przeżył Kawaler w nieustannych przeprawach — mawiali, że chyba *czarował* morskie odmęty, podobnie jak mówiono, że Bonaparte czarował kule i granaty. Oni wiedzieli, co znaczy zuchwałstwo, to też o jego zuchwałstwach nie powątpiewali. Ale w ich poczuciu, czemś niepojętem było to jego dziwne szczęście, więc je sobie tłómaczyli przesądnie, bo jako żeglarze skłonni byli do zabobonów.

I rzeczywiście byłby powinien w tych przeprawach nie raz, ale dwadzieścia razy popaść w niewolę lub zginąć! To bezczelne i niezmiennie szczęście, to narażanie się po tylekroć, a zawsze z najpomyślniejszym skutkiem sprawiło, iż Des Touches zażywał szczególniejszego znaczenia wśród innych oficerów wojny partyzanckiej w Cotentine. Wszyscy czuli, że gdyby zginął, nie miałby go kto zastąpić! Zresztą był on nietylko niez mordowanym i nienlęknionym kuryerem, co zna swą morską cieśninę, jak niektórzy przewodnicy pirenejscy znają swoje góry. Wszędzie: w zarosłach, w zasadzkach, w walce, czy przyszło dokazywać strzelbą, czy na noże ścierać się pierś o pierś, zawsze to był jeden z najgroźniejszych

partyzantów, istny postrach Niebieskich Mundurów. Zdumiewał ich zawsze i przerażał tem, że ilekroć przyszło do rozprawy, okazywała się w nim nagle z pod wiotkiej i smukłej budowy siła jak u żubra, miazdząca wszystko dokoła! — „Osa!“ wołały Niebieskie Mundury wśród potyczek, rozpoznawszy w kłębach dymu tę postać szczupłą a gibką, jak wysznurowana kibić kebieca: — „*Pal w osę!*“ Lecz osa odlatywała zawsze, pijana krwią przelaną, walcząc do upadłego i aż do okrucieństwa.

W każdej bowiem przygodzie śliczniuchny ten gładzysz był i okazywał się tym samym człowiekiem, co tak straszliwie odgryzł palec na jarmarku w Bricquebec: twarzą białą, wargi wydane i czerwone, co ma znamionować okrucieństwo, a miał takie czerwone, jak Waszmościna wstążka przy Krzyżu św. Ludwika, Panie de Fierdrap! Zaciekłość jego podniecało nie samo tylko przejęcie się sprawą, gdy się nieubłaganie srożył przed bitwą czy po bitwie. Był partyzantem, ale zdaje się, odmienną miał naturę od innych partyzantów. Walczył obok nich i za nich życie swe na stawkę rzucał, nie zdawał się jednak podzielać uczuć, jakie ich przejmowały. Kto wie, czy nie partyzantował, dla samego partyzantowania i nie więcej?..

Ci towarzysze jego, ta ruchawka szlachecka, nie samego tylko Boga i Króla nosili w sercu. — Obok regalizmu, który w nich gorzał, były także inne uczucia, inne porywy, inne za-

chwity. Nie napróżno bila dla nich godzina młodości namiętnej. Jak ich rycerscy przodkowie, podobnie i każdy z nich, albo niemal każdy, miał *panią swych myśli*, której obraz towarzyszył mu w bitwach: tak snuł się romans po przez Historię. Lecz co innego Kawaler Des Touches! Nigdy już w mojem życiu nie widziałem takiego usposobienia.

W Touffedelys wyhaftowałyśmy naszymi włosami niemało chustek dla tych panów, którzy o nie prosili, aby się wobec nas grzecznie postawić i zabierali je z sobą, jak talizman, wybierając się na nocne podjazdy. Lecz, o ile wiem, nie było ani jednej wyhaftowanej dla niego. Jak ci się zdaje, Urszulo?... Wszystkie pustelnice, które się tam zamknęły, niby w klasztorze jakimś wojennym, obchodziły go nie wiele, choć dużo między niemi było godnych miłości, choćby miłości bohatera! Dziś możemy to powiedzieć, bo już jesteśmy stare. Ja w końcu nie mówię przecie o sobie, o Barbarze-Petroneli de Percy; wszak ja kobietą byłam chyba jedynie, gdy mnie do chrztu trzymano, po za tem bowiem przez całe życie był ze mnie tylko tęgi brzydak. Otoż ja, z brzydota moją byłam tak samo nijakiego rodzaju, jak Kawaler Des Touches, ze swoją pięknoscia.

Ale mówię tu o obecnych Jejmość Pannach de Touffedelys, jaśniejących podówczas całym blaskiem życia, którym jakby dwom cudnym, białym łabędziom, byłoby trzeba dla poznaki założyć odmienne naszyjniki. Mówię o Hortensyi de Vely, o El-

źbiecie de Manneville, o Joannie de Montevreux, o Isoldzie d'Orglande, a nad wszystkie o Amacie de Spens, przy której tamte, jakkolwiek urocze, ginęły, jak mgła nadrzeczna ginie na słońcu. —

Amata de Spens była o wiele młodsza od nas wszystkich. Miała lat szesnaście, gdyśmy miały po trzydzieści. Była to jeszcze dziewczeczka, lecz tak piękna, Mości Panie de Fierdrap, że prócz tego rybiego serca, prócz Kawalera Des Touches, nie było wówczas ani jednego mężczyzny, któryby ją widział, a nie rozkochał się w *Amacie, godnej swego miana*, jakieśmy ją nazywały! Przynajmniej z tych, którzy brali udział w wyprawie Dwunastu, kochało się w niej romantycznie i na zabój aż jedenastu szlachty, bo dwunasty był... kobietą — do usług Waszmościnych, baronie de Fierdrap! Ci jedenastu, wszyscy, jeden po drugim oświadczyli się o jej rękę“.

— „Co? jedenastu się w niej kochało?“ — rzekł baron — i porwał się, jakby podbity w górę, do tego stopnia uderzył go bowiem ten szczegół niezwykły w opowiadaniu owem, którego dzieje były równie zdumiewające, jak postaci.

— „Tak jest, wszyscy, baronie!“ — mówiła dalej Jejmość Panna de Percy — „a czucia, które wzbudziła, dość długo trwały w tych dzielnych duszach. Kilku z pomiędzy nich do końca kochało się w niej wiernie. Nie dziwłoby to zgoła Waszmość Pana, gdybyś pod ten czas znał był Amatę. Była to osoba, która nie znalazła nigdy godnego siebie portrecisty, a Waszmość pra-

wpodobnie takiej drugiej nie widziałeś nigdy, choć tyle świata objechałeś.

— „Halt!“ — zawołał Imci Pan de Fierdrap — który służył swego czasu w niemieckich ułanach.

— „Halt!“ — powtórzył, jak gdyby miał za plecami cały swój regiment ułański. — „Poznałem w roku 180.. lady Hamilton, i klnę się Waszmość Pannie na siedm tych skorup, które noszę na sobie, że to był taki specyał, iż kwakra nawet nie dziwiłyby te opętane szaleństwa, których dopuszczał się dla niej admirał Nelson!“.

— „Ja także ją znalazłem“ — rzekł z kolei ksiądz — „ale Jejmość Panna Amata de Spens, jak ją tu widzisz, była jeszcze stokroć piękniejsza. Jak dzień do nocy!“.

— „A do stu par jelenich rogów!“ — krzyknął wzburzony baron de Fierdrap. „Widziałem raz ową lady Hamilton przebraną za bachantkę“...

— „Winszuję“ — przerwał mu ksiądz drwiąco — „ale Jejmość Panny Amaty de Spens, ni gdybyś, mój Fierdrap, nie był zobaczył w takim stroju!“.

— „A ja ci przysięgam“... — rzekł baron — którego zbierała ochota nie słuchać już, ale rozprawić.

— „...„Że w tem do twarzy było tej rosłej dziewczce karczemnej“ — dokończył za niego ksiądz. — „Dalipan, że ci wierzę. Dopieroż ona musiała wyciągać to smagle, tęgie ramię, richmondzkim giernkom nalewając piwo do dzbanków, dla przyjemności nachylenia amfory, co zresztą musiała ro-

bić nie bez wdzięku! Ale Jejmość Panna Amata de Spens była pięknnością nie tego pokroju. Nie waż się nigdy, Fierdrap, kogokolwiek z nią porównywać. Moja siostra ma słuszność. Nikt nie żyje dość długo, by mógł w życiu spotkać taką drugą kobietę, jak ona... była. — To piękność jedyna w swym czasie, mój drogi! I czeka ją los, który jest udziałem wszystkiego, co piękne na ziemi! Nie pozostanie po niej nawet pamięć, podobnie jak po jedenastu owych bohaterach, którzy ją kochali. W tej mierze ona żadnego z nich nie zawstydzi, bo nie rozsiadała się w łoży u żadnej królowej, nie liczyła się do tych okrzyczanych tryumfatek, co spustoszenie sięją i wicherzą świat powiewem swych spódnic! Biedna, wspaniała piękność zapoznana — ona tego nawet nie słyszy, co dziś wieczór o niej mówię przy tym kominku. Przez całe życie rozkwitała samotna, Bogu jednemu chyba na uciechę!“

Podczas kiedy książdz de Percy mówił, baron de Fierdrap przypatrywał się tej, co *przekwitła w samotności, Bogu jednemu na uciechę*, a w tej chwili haftowała rękoma, godnemi Madonny. I mrużyło się oko Imci Panu de Fierdrap, co było u niego nałogowe, on zaś nawyczkę tę maskował sprytnym uśmiechem, udając, że z umysłu mruga. Drugim okiem, tem, co się nie mrużyło, szarem, bystrem okiem wodził dawny ulan po całej postaci Amaty. Więc na czoło patrzył pod koroną z włosów złocistych, na to czoło piękne, jak u Mony Lizy, wpośrodku nieco wypukłe, na którym

połysk lampy świecił na kształt opalowego feretu. I błędził wzrok barona po ramionach jej pełnych, pysznie wyrzeźbionych, które się rysowały pod obcisłym stanikiem ze stalowo-szarego jedwabiu. Patrząc tak na nią przychodził do przekonania, że mimo wieku, mimo przebytych nieszczęść, mimo wszystkiego, z tej co *w samotności kwitła Bogu samemu na uciechę*, została jeszcze taka „resztką“ ponęt i wdzięków, że dla człowieka nawet i najwybredniejszego byłoby to isticie królewski kąsek.

Ale nie powiedział tego, co mu przez głowę przechodziło. Wprawdzie nieprzystojne myśli krzyżowały mu się tam i sam po mózgu — jednak zataił je pod nastroszoną peruką, a Jejmość Panna de Percy na nowo podjęła opowiadanie, odsapnąwszy jak puszczone w ruch lokomotywa.

— „Sierotą będąc i niestety ostatnią z rodu, Amata de Spens prawie całe dni spędzała w naszym towarzystwie, a że my miałyśmy około trzydziestki, przeto wobec niej byłyśmy, jakby cały szwadron matek... Już od pewnego czasu mieszkała w Touffedelys, kiedy po raz pierwszy ujrzała owego nieznanego młodzieńca, którego pokochała. Nam obce było jego nazwisko, nie znałyśmy jego przeszłości, nie wiedziałyśmy z których stron pochodził. Któż zgadnie czy i ona więcej o nim wiedziała?“

Spędzali z sobą długie godziny w sali zamkowej przy którymś z okien, we framudze wykładanej dębem. Wiedząc, iż są po słowie, pozwala-

łyśmy im rozmawiać półgłosem na uboczu, ile żywnie chcieli; może w tych pogawędkach w cztery oczy, zwierzył się jej z życia swego. Jeśli się istotnie zwierzył, w takim razie ona święcie dochowała mu tajemnicy. W tem sercu wszystko to leży pogrzebane razem z miłością. O! bo Amata de Spens to grób, ale grób grzędą cichych konwalij przykryty. Ot, masz ją tam Mości Fierdrap, spojrzij Pań, jaki dziewiczy, jaki pogodny ma wyraz, choć od lat dwudziestu żyje w niedostatku i w żalości; to istota godna siedzieć na tronie, a umrze biedną *Jejmością na mieszkaniu* w klasztorze Bernardynek w Valognes. Nie śłyszysz nic, ledwie się z nią dogadać można; został jej tylko ten uśmiech czarownicy, który więcej wart, niż wszystko, ona bowiem wszystko nim opromienia. Żyje tylko w myślach swoich zamknięta, żyje wśród wspomnień, których żadnymi wynurzeniami ni zwierzeniami nie sponiewierała. Żyje w nich, zapomniawszy o świecie całym i przez świat cały zapomniana i wpatrzona w jedyne go człowieka, którego kochała. „

— „Nie, nie Barbaro, ona go nie widzi!“ — odezwała się naiwnie Jejmość Panna Sankta, gotowa lada chwila przestąpić próg nadprzyrodzonego świata. Pojęła ona zupełnie dosłownie ową tak niewyszukaną przerośniętą Jejmość Panny de Percy. — „Wprawdzie nie widziała go po śmierci, ale on ją niemniej przeto *nawiedza* — osobiwie zaś *daje on jej znać o sobie* w ciągu tego miesiąca, w którym zginął! Dłatego to przez cały mie-

siąc bieżący nie może biedaczka zostać sama w pokoju, gdy noc zapada. Choć głucha, i to arcy-głucha, słyszy ona wybornie szelesty dziwne i przerażające. Coś wzdycha po wszystkich kątach, a w pokoju niema nikogo! Mosiężne kółka przy firankach zgrzytają po żelaznych prętach, jak gdyby je kto gwałtownie przesuwiał... Raz nawet ja sama słuchałam tego z nią razem, i rzekłam do niej wystraszona tak, że mi aż włosy *cierpły* na głowie:

— „To chyba *jego dusza*, przychodzi do ciebie Amato, prosić o modlitwy“. Ona, zasię mniej odemnie zmieszana, odpowiedziała mi na to poważnie: „Ja też zawsze na mszę żałobną daję nazajutrz, gdy to wieczorem słyszę, moja Sankto!“ I widocznie domaga się *on* mszy żałobnej za swoją duszę, bo raz gdy Amata dała na mszę o jeden dzień później, a nie jak zwykle nazajutrz po tych szmerach, — to zaraz następnej nocy zaczęło hałasować najokropniej. Zdawało się, że firanki powaryowały na prętach i przez całą noc wszystkie sprzęty trzaskały, jakby nieponacinane kasztany, gdy wyskakują z ognia!“.

— „Otóż“ — podjęła na nowo Jejmość Panna de Percy, podrażniona, że jej przerwano i tak długo nie dopuszczano do słowa. — „Amata wierzy w duchy, ale nie tak, jak ty Sankto!“.

Tym przytykiem, za przerwę w opowiadaniu odplacała tej dobrodusznej owieczce bożej, iż śmiała beknąć nie w porę. — „Amata wierzy w duchy, ale tylko w te, które widzi na dnie swego serca.

Dla nas jest ona, i zawsze była zagadką, Mości Fierdrap — i to zagadką niezglębioną i bardziej zdumiewającą, niż jej narzeczony. On zjawiał się tylko i zniknął nam z oczu, więc też nie dziwnego, żeśmy o nim nigdy nie wiedziały. Ale z nią żyjemy od lat dwudziestu pięciu i niewiele więcej o niej wiemy! Kiedy ten człowiek nieznan, który też i został dla nas nieznanym, przybył do zamku Touffedelys, to przywiózł go nie kto inny, jak właśnie Kawaler Des Touches. Amata znała Kawalera. Widywała go kilkakrotnie w tamtych stronach koło Avranche u ciotki swej, Jejmość Pani de la Roche-Piquet. Była to dawna stronniczka partyzantów, która nie mogła walczyć osobiście, jak ja, bo nie miała władzy w nogach — ale partyzantkę prowadziła na swój sposób, ukrywając przez dzień partyzantów po śpichlerzach i stodołach, skąd robili nocne wyieczki.

Amata spotkała się więc w Touffedelys ze znanym już sobie Des Touches'em. Ja zaś, która już nawet i wtedy, dla mojej brzydoty, wołającej o pomstę do nieba, mogłam tylko przypatrywać się, jak miłość wygląda... u drugich, — obawiałam się chwilami naprawdę, by *ona* się w nim nie zakochała. Może to było wskutek olśniewającej piękności tego człowieka, piękności, kto wie, czy jeszcze nie bardziej kobiecej, niż *jej* uroda — dość, że ilekroć zjawiał się Des Touches, uważałam, że powieki pięknej i szlachetnej Amaty, ani rusz nie chcą się podnieść, i opusz-

czone, drżą nieznacznie, a na czoło jej występuje zorza jakaś różana, która mi nieraz dawała do myślenia... Na zbawienie mojej duszy! Tożby z nich była przepyszna para! Lecz nietylko, że Kawaler, taki szlachetka de Langotière, niedość wielkiego był rodu, by sięgać po żonę z domu Spensów, ale co gorsza, wydawało mi się, że człowiek tego pokroju, co Des Touches, w miłości byłby straszliwy! Bóg do tego nie dopuścił. Nie pokochała go. Ten, któremu serce oddała, był to właśnie ów towarzysz Kawalera, przybyły z nim razem w nocy do Touffedelys, podczas najokropniejszej burzy; na taki bowiem czas Des Touches wolał się przeprowiać, niż w nocy jasne i pogodne.

— Czy pamiętasz tę noc, Urszulo?... Nie spałyśmy. — Byłyśmy w wielkim salonie zajęte robotą: ty i Amata skubałyście szarpie, a ja lałem kule, bo zawsze wstręt czułam do galganków. Siedziałyśmy, jak dziś, późnym wieczorem, jeno mniej spokojne, niż dzisiaj. Nagle rozległ się głos puhacza i weszli obaj, w kozich kożuchach, ociekających wodą, podobni do dwóch wilków, utaplanych w morzu. Kawaler Des Touches przedstawił nam swego towarzysza, jako szlacheica, który długo wojował w okolicach Main'u, pod imieniem *Imci Pana Jakuba*, i dodał, że imienia tego używa on i nadal“.

— „Na miły Bóg!“ — zawołał Jmci Pan de Fierdrap, który drgnął na dźwięk tego imienia, jakby na huk wystrzału. — „Toć to przydomek

sławny w całym kraju, w okolicach Maine'u. Na odgłos tego imienia za broń chwytala niejedna parafia. To imię słynie tam dotychczas! *Jmć Pan Jakub!* Nawet sam „Srebrna Noga“ ugiął czoła przed męstwem i taktyką wojenną naczelnika, *Jmci Pana Jakuba.* Jedno tylko, Mościa Panno: musiał on już nie żyć w owym czasie, jeśli to ten sam?..“

— „Tak jest, przypuszczano, że nie żyje“ — rzekła Jejmość Panna de Percy. — „Ale on wysliznął się Niebieskim Mundurom i uciekł do Anglii, zkąd Królewicze wyprawili go w poufnem poselstwie do Jmci Pana de Frotté. Z tem przybywał on właśnie z Guernsey na wybrzeże francuskie, w łódce De Touches'a, która unieść mogła jednego zaledwie człowieka, to też o mało że sto razy nie zatonała pod ciężarem dwóch ludzi. Aby ciężaru ulżyć, wyrzucili, co niekoniecznie potrzebne i wiosłowali strzelbami..“

Jegomość Pan Frotté był wtedy na pograniczu Normandyi i Bretonii, kusząc się o podtrzymanie obumierających ruchawek. *Jmci Pan Jakub* ruszył sam do niego, poczem zasię powrócił do Touffedelys, ciężko ranny. Z powrotną bowiem drogą musiał przekradać się pomiędzy rozrzuconymi wszędzie oddziałami Kolumny Piekielnej, co rabowała i pustoszyła kraj cały, a kulki, nie wiedzieć ile razy, świstały mu około uszu, aż go w końcu i dosięgły.

Ledwie dojechał do Touffedelys na koniu, poranionym strasznie jak on sam; i koń i jeździec, obaj

ubroczeni, zwalili się na ziemię: koń na miejscu padł nieżywy pod jeźdźcem na pół żywym i omdlałym. Postrzały, którymi był pokryty, przykuły go w Touffedelys na długo. Musiał się lizać z ran i to go zatrzymywało. A ran było mnogo: sameśmy je rachowały, bo, na honor, opatrywałyśmy je własnymi panieńskimi rękoma. Za naszych czasów żadna nie bawiła się w skromnisię. Wojna i ciągle niebezpieczeństwa zmiotły wszelkie udawanie i wszelkie strojenie świętoszkowatych minek. — W zamku Touffedelys nie było cyrulika, były tylko *cyruliczki*, a ja stałam na ich czele. Nazywano mnie „Majorem“, jako żem do ran opatruunku sposobniejsza była, niżeli tamte struchlalki....“

— „Byłaś ty jednako sposobna, postrzał opatrzeć, jak zadać“ — odezwał się ksiądz.

Dla Jejmość Panny de Percy, tej starej, zapoznanej bohaterki, taki sąd o niej w ustach księdza znaczył tyle, co sława. Stała się tedy bardziej, niż kiedykolwiek, podobna do piwonii na tę uwagę, przez brata wtrąconą.

— „Tak jest! Majorem zwały mnie wszyskie“ — mówiła dalej, rozpromieniona uczuciem polechtanej miłości własnej. — „Robiłam zwykle przegląd ran, które trzeba było opatrzeć; pamiętam przeto, iż ujrawszy *Imci Pana Jakuba* rozciągniętego przed nami na wznak i straszliwą siekankę na jego ciele, potoczyłam wzrokiem dokoła po moich pomocnicach: stały dokoła zmieniowane i blade. A że zawsze byłam, jak św. Jan Złotousty...“

— „Święta, jak święta, ale żeś złotousta, to już niewatpliwie“ — wtrącił znowu ksiądz.

— „... wskazując tedy na rannego, który leżał nieprzytomnie, rzekłam wesoło dla dodania im ducha: Na zbawienie mojej duszy! jeśli go uratujemy, Mościepanny — toż to będzie wspa-
niały, w kratkę grawirowany naszyjnik, dla tej z pośród was, która go sobie zechce zawiesić na szyi! — Zaczęły się śmiać jak waryatki, jedna tylko Amata stała poważna i mileżąca. Zarumie-
niła się. — „Rumieniła się także o Des Touches'a! — pomyślałam sobie — któryż więc z tych dwóch rumieńców pochodzi z miłości?“

Wszelako *Imci Pan Jakub*, tak samo jak i Kawaler Des Touches, był tego rodzaju człowiekiem, że nie byłoby mi przeszło przez głowę kochać się w nim, gdybym była stworzona do tkliwych uczuć! Nie miał tej urody niewieściej, a zarazem okrutnej, co Kawaler, ale piękność jego aczkolwiek bardzoj męska, ognista i smaglejsza, miała w sobie coś kobiecego: melankolię. Dla mnie melankolicy są nieznośni. Wydają mi się mniej męscy od innych mężczyzn. *Imci Pan Jakub* był, jak to mówią „młodzian posepny.“ Ja zaś podzielałam zdanie tej flutki Ninon, która mówiła, że wesołość ducha znamionuje ducha siłę. Co mi tam o zalety ducha, drwię sobie z nich, ale to pewna, że wesołość znaczy prawie tyle co odwaga.. to jakby druga odwaga!

Tamte Jejmość Panny, odmiennego były zdania, wszystkie przeto w Touffedelys poetycznie zwały

go *Pięknym Tristanem*. Mnie zaś o mdłości mógł by on przyprawić tą ekliwą melankolią; na szczęście pannice mojego kalibru miewają mocne nerwy. Nie dziwcie się temu, lecz mojem zdaniem, i bohaterom godzi się wesola ochota, bo z uśmiechnioną twarzą winni zazierać w nos niebezpieczeństwom!

— „Już to z ciebie, Mościa Panno“ — rzekł ksiądz — „zawsze był istny Hulaj-Dusza. U dziewczyny takie pustactwo, w innych, nie rewolucyjnych czasach, mogło być przejmować niepokojem rodzinę. Bohater — to niedość tobie, tybyś chciała bohaterskich.. urwiszów. Bóg wiedział, co robi, kiedy cię stworzył szpetną, ja Mu też za to co rano przy mszy świętej dzięki składam. Inaczej bowiem honor Percych byłby na nielada szwank wystawiony.“

— „Śmiej się bracie, śmiej się zdrów!“ — odrzekła, śmiejąc się sama szalenie. Sposób, w jaki przyjęła ten jego żart, dowodził najlepiej, w jakiej cenie była u niej wesołość. — „Wolno ci wszystko wygadywać na młodszą siostrę — jesteś przecie głową rodu!“

— „Co prawda“ — wtrąciła się Jejmość Panna Urszula, nie biorąca dotychczas udziału w rozmowie: rzekłbyś zegar, który spażnia się i po czasie wybija godzinę. — „Co prawda, niezbyt miły był ten *Imci Pan Jakub*, z nosem zawsze na kwintę, jak szlafmyca“.

— „Raczej, jak czerwona czapka wolności“ — wpadła jej w słowo Jejmość Panna de Percy. —

„Rewolucyoniści wszelkich krajów są do siebie podobni. Jakobini francuscy takie same mieli zaburmuszone, namaszczone i pedanckie miny, jak angielscy purytanie. Nie znałam wśród nich ani jednego wesołego, przeciwnie zaś między regalistami wszyscy byli weseli, zgodnie z duchem kraju całego, który przecie zwał się niegdyś „wesołą Francją“. To mi były dziarskie *chłopcy*: stracili naraz wszystko, nawet i nadzieję, a pociechy szukali w walce, w wirze obosiecznych przygód i w czerwonym uśmiechu wyszczerzonych lufek“.

— „Jakoż nie miał być smutny“ — zaczęła znowu Jejmość Panna Urszula. Jak mrówka powraca do swego ździebelka, tak ona powracała do tego strzępka własnej myśli, której tok przerwała jej była gromka fanfara żołnierska panny de Percy. Nad mózgiem panny Urszuli fanfara ta przeleciała naksztalt powietrznej trąby, przelatującej nad kopczykiem korniszonów.

— „Jakoż nie miał być smutny, przecie wiesz droga Percy, iż był Komandorem Maltańskim i złożył śluby“....

— „Zapewne“ — odrzekła Jejmość Panna de Percy, nie przecząc bynajmniej — „mówiono sobie to na ucho, i jeśli był rzeczywiście Komandorem Maltańskim, to myśl o tych ślubach mogła mu być strasznie bolesna, gdy się rozkochał w Amacie, a nie mógł jej poślubić, bo Kawalerowie Maltańscy zachowywali bezżeństwo, jakby księża... Lecz na to nigdy nie było dowodów. Świadczyłyby o tem chyba ta śmiertelna bladeść,

która mu na twarz wystąpiła owego dnia przy stole, kiedy Amata przy wetach zawiadomiła nas o tem, że jest z nim po słowie. Wobec nas wszystkich, rzekła do ciebie Urszulo, cała wstydem sploniona, przemagając się z trudem, by nam uczynić to wyznanie, które dla nas nowiną było niespodzianą:

— „Proszę cię, moja Urszulo, podaj poziomki mojemu narzeczonemu!“

Na to jej powiedzenie, zamiast coby się miał uradować, pobladł przerażająco, Ale bladość, jak bladość — jedna podobna do drugiej. Któż odróżnić zdoła bladość wywołaną szczęściem, od bladości, która występuje na twarz zwodziciela. Jeśli on zwodzicielem był, jeśli istotnie okłamał Amatę, w takim razie ów strzał, który go powalił u nóg moich owej nocy, gdyśmy porywali Des Touches'a, wyrządził tej dziewczynie mniejszą krzywdę, niż to, co ją czekało, gdyby był powrócił z nami. Zachowała na całe życie złudzenie, iż on *mógłby być do niej należec*. A kiedy odniosłam jej bransoletę, którą sama przy nas uplotła była dlań z najcudniejszych promieni swych włosów — nie wiedziała wtedy, ani się później nigdy nie dowiedziała, iż krew zaschnięta na owej bransolecie, mogła być krwią człowieka, który ją oszukał“.

— „Ale Des Touches? Cóż z Des Touchem!?“ — zawołał Imci Pan de Fierdrap; — od swych *wspominków* o lady Hamilton, nie pisał on do-
tąd ani słowa, tylko patrzył na Jejmość Pannę

de Percy tym wzrokiem, jakim zapewne musiał spojierać na pływkę swej wędki, gdy ryby nie imaly się przynęty. Posiadał podwójną cierpliwość: raz, jako rybak łowiący na wędkę, potwóre, jako strzelec, polujący na zasiadkę. Z tych samych powodów miał też wyrobiona podwójną wytrwałość.

— „Fierdrap ma słusność“ — odezwał się ksiądz, rad, że znów może się przekomarzać. — Nazbyt szeroko *rozpuszczasz* podjazdy. To już takie przyzwyczajenie u ciebie, starej żołnierki partyzanckiej: nawet gdy opowiadasz, to podjazdową metodą!“.

— „Tere, fere“ — odstrzelila mu się Jejmość Panna de Percy — „stara żołnierka — a ty mój młodziku, porachowałbyś lepiej swoje wiosny! Des Touches! wnet dojdę i do niego. Ależ, na Rany Boskie, nie mogę przecie dojść do Des Touches'a i do jego porwania, nie opowiedziawszy wprzód o człowieku, który odegrał najważniejszą rolę w tej szalonej awanturze, on bowiem jedyny życiem ją przyplacił“.

— „To nie racya“ — rzekł poważnie ksiądz — „mężnie poledz, to jeszcze nie największa sztuka w takiej wyprawie“.

— „Największa sztuka swego dopiąć“ — odparła stara amazonka, w której męskie serce biło, pod dziwacznie skrojoną salopą. — „Ale on, mój bracie, swego dopiął, bo my przecie dopięliśmy swego, a on był wespół z nami! Nie mnie wprawdzie nie obchodzi ten *Piękny Tristan* —

jak go nazywano w Touffedelys, ale choć na całe życie Amaty rzucił cię smutku — nie mniej przeto muszę oddać mu sprawiedliwość. Do walki nie szedł wesoło — ale jak szedł! Gdy Des Touches'a pierwszy raz uwięziono, wówczas nie kto inny, lecz on, ów tkliwy smętniś, tą swoją czulą rączką chwycił pochodnię, wpadł bez namysłu do więzienia w Avranches i wyszedł wtedy dopiero, gdy już wszystko w ogniu stało!“

— „Jakto, w Avranches?“ — zapytał baron de Fierdrap zdumiony. — „Przecie w Coutances odbiliście Des Touches'a, Mościa Panno!“

— „A!“ — odezwała się Jejmość Panna de Percy, uszczęśliwiona, że trafia na coś, czego baron nie wie, bo to uroku nowości dodawało jej opowiadaniu. — „Waszmość w Anglii byleś wtedy razem z moim bratem, więc wiecie tylko o uwolnieniu Des Touches'a z Coutances. Ale zanim go tam uwięziono, ujęty był wprzód jeszcze do niewoli w Avranches, a do Coutances przewieziono go jedynie dlatego, żeśmy o mały głos nie podpalili więzienia.“

— „Teraz już rozumiem“ — rzekł baron de Fierdrap, zaspokojony w swej ciekawości. — „Nie wiedziałem o tem. Aż radość bierze pomyśleć, że Kawaler des Touches tyle kosztował Rzeczpospolitą!“

— „Pozwólże jej opowiadać, Fierdrap“ — odezwał się ksiądz, choć prawdę powiedziawszy, to właśnie on przerywał najbardziej, a najostrzej występował przeciw tym, którzy grzeszyli tym

samym nalógiem; rzecz to zwyczajna u tych, którzy lubią drugim przerywać, i wogóle u wszystkich, którzy mają jakibądź nalóg.

— „Było to więc pod koniec roku 1799“ — ciągnęła rzecz swą dalej owa żywa kronika dziejów Kawalera des Touches. — „*Jegomość Pan Jakub* od kilku już miesięcy był między nami, wyleczony niemal zupełnie, ale osłabiony jeszcze i obolały od ran. Powracał zwolna do zdrowia, przystawszy się w Touffedelys, bo w owym czasie ukrywało się wszystko, co z flintą w rękę nie szło na podjazdy i nie żyło pod gołem niebem, a przy księżycu nie nocowało po lasach. Przez ten czas Des Touches ciągle *czarował morskie wały* i dwadzieścia razy, jeśli nie więcej, przepłynął z Normandyi do Anglii, a z Anglii do Normandyi. Nie za każdą jednak przeprawą widywałyśmy go, przybijał bowiem do lądu w miejscach, za każdym razem znacznie od siebie oddalonych, dla zmylenia tropu. Dybali nań szpieczy zbrojni a zaciekli, rozłożeni pokotem po wszystkich wydmach nadmorskich, zaczajeni w każdej szczelinie urwisk nadbrzeżnych, leżący brzuchem do ziemi w najmniejszej zatoce, wzdłuż potarganych brzegów najmniejszej przystani i wszędzie stróżowali nad morzem, z bagnetami pochylonymi równo z ziemią i z lufkami strzelb, zawsze gotowych do strzału. I przeprowiał się Kawaler Des Touches, ścigany na morzu przez statki, a na lądzie przez żołnierzy i żandarmów, przeprowiał się ten człowiek, lubujący się w niebezpieczeństwie,

jak kobiety lubują się w swoich zachceniach. Jak zuchwały gracz, stawiał wszystko na jedną kartę i — wygrywał. Ale też przy całej niezachwianej odwadze musiał wysilać się na największą ostrożność i zręczność.

Nieopuszczające go bowiem w owych przeprawach szczęście, podniecało czujność wrogów, u których zarobił sobie na przydomek *Osy*. Do wściekłości doprowadzała ich ta osa niepochwytna, drażnił ich do żywego ów niewidzialny a dokuczliwszy nad innych nieprzyjaciel. Mogło się wydawać, że to nie człowiek z krwi i kości, lecz „mgła i ogień błędny,” jak mówili mieszkańcy okolic nadmorskich, co na własne uszy słyszałam. Niech Waszmość zważy, że z Niebieskimi Mundurami trzymał cały kraj, spiknięty przeciwko nam, a my stanowiliśmy ledwie kilka, zrzadka po tym kraju rozsianych garstek partyzanckich i łatwo można było przeciąć nici łączące nas wzajemnie. Otóż pomiędzy nim, Des Touches'em, a Niebieskimi Mundurami było uczucie obrażonej i rozjątrzonej miłości własnej, zajadlejsze jeszcze, niż owa zwykła, i tak już nieubłagana nienawiść Niebieskich Mundurów do innych partyzantów...! Wojna, którą oni z nim toczyli, to już właściwie nie wojna była, lecz łowy...! To był ten pojedynek, znany zresztą Waszmość Panu, pojedynek między zwierzem a myśliwym...! Po karczmach i zagrodach tamtejszych, gdzie może do tej chwili krążą o tym człowieku podania, opowiadano sobie wtedy, że nieraz i nie dwa razy o mało go

nie schwymano. Przebiegłe chłopstwo mówiło, że już z nim bywało dyabelnie krucho. Przytaczali nawet jedną z takich przygód i to ściśle sprawdzoną, zesłynęła bowiem zupełnie, jak *regularna bitwa*; było to w karczmie *Pod Kosą*, w okolicy między Avranches a Granville: walczył on tam w pojedynkę przeciw całej tłuszczy republikanów, zamknawszy się i zatarasowawszy na strychu ponad karczmą, jak Karol XII w Benderze. Strzelał całą noc z dymników i powalił przeszło sześćdziesięciu Niebieskich i z nastaniem dnia ulotnił się przez dach. „Nie wiedzieć w jaki sposób“ — mówiły kobiety, na których zabobonna wyobraźnię podziałało jego zniknięcie — „ale ulotnił się tak, jak gdyby u ramion miał był skrzydła, a na języku platek *czworolistnej koniczyny!*“ Zaczem nietylko na morzu był „błędnym ognikiem“, ale i na *krowiej posadze**). Dowiodły tego zresztą niezliczone wyprawy na lądzie, w których brał udział. Ale „błędnym ognikiem“ nie mógł być wiecznie. Owa ciągła gra z podwójną stawką raz musiała się skończyć; to niebezpieczeństwo dwoistego rodzaju, z którem igrał dotąd bezkarnie musiało nań spaść ostatecznie. Nadzieja, że uda się ująć Des Touches'a, złapać Osę i zdeptać ją nogą, ożywiała wrogów i dusze ich rozjątrzone do szalu doprowadzała; gro-

*) *Le plancher des vaches* — pogardliwe wyrażenie marynarzy francuskich na oznaczenie lądu. (Przyp. tłóm.).

ziła mu tem samem zguba pewna, niennikniona, to też w przekonaniu ludzi z jego stronnictwa zarówno, jak w przekonaniu wrogów, prędzej czy później czekała go niewola lub śmierć. Gdy więc do Touffedelys przyszła wieść okropna: „Des Touches pojmany!“ — nie zdziwiliśmy się bynajmniej.

Wiadomość tę straszną przyniósł nam do Touffedelys młody człowiek, rodem z tego tu miasta. Nazwisko jego pewnie Waszmość Panu nie jest znane, aczkolwiek tutejszy jesteś Mości Panie de Fierdrap. Nie był on bowiem szlachcicem, a zwał się Just Le Breton. Jednym z tych zarzutów, jakie przeciw nam wywlekali Niebiescy, było to, jakobyśmy, szlachta, gwałtem wlekli na wojnę chłopów naszych. To fałsz bezecny! Garnęła się do nas dobrowolnie młodzież mieszczańska, godna broń nosić i władająca nią doskonale. Just Le Breton był jednym z takich. Nobilitował go szlachecki oręż, to też młódź szlachecka obchodziła się z nim jako z równym sobie i nieraz o strze szpady z nim skrzyżowała, stając mu do pojedynków, pojedynków bowiem bywał w Valognes z dawien dawna w obyczaju.

Zaczem, gdy wojna partyzancka wybuchła — przystał do nas ów syn mieszczański, uszlachecony szpadą i przyniósł ją nam na pomoc. A władała tą szpadą istic Herkulesowe ramię. Just niemniej był silny od Des Touches'a, ale siła jego nie kryła się w smukłej i wiotkiej budowie, jak u Kawalera, który w osłupienie wszystkich wprawił, ilekroć nagle swoją moc okazał. Ten prze-

ciwnie był mężczyzną związłym i barczystym, a włosy miał jasne, jak przystało na prawdziwego Celta. Samo już bowiem nazwisko wskazywało jego pochodzenie. Był na pół Bretończykiem, a na pół Normandem. Rodzina jego przesiedliła się do Normandii; wspomnienie skał bretońskich zatarło się w jej pamięci na widok bujnych pastwisk onej krainy, która każdego przykuwa, kto bądź ją pozna. Bo kto ją raz pozna, ten już na zawsze do niej się przywiąże!

Zdawało się, iż taki Just Le Breton jest nie do zabicia, chyba, że mu kto zwali na głowę całą górę. A zginął w pojedynku, już po wojnie — ot, podobnie, jakeśmy i o Des Touches'u myśleli aż do dziś wieczora. Zginął od nędznego pehnięcia szpada w pachwinę — i któżby dał wiarę? od pehnięcia wcale płytkiego. W moich oczach pluł krwią przez sześć miesięcy i dogorywał z wycieńczenia, jak suchotnica, choć przecie pierś miał potężną jak bęben. Just wiedział i to niewątpliwie, że Des Touches'a schwytano. Przeciw takiemu człowiekowi — mówił nam, a my byliśmy zupełnie jego zdania — musieli chyba uciec się do zdrady.

I rzeczywiście ujeli go zdradą, jak się później okazało. A całe to zajście — sam Waszmość o tem się przekona — dowodziło najlepiej, iż Des Touches miał żołądek twardy, na kształt żaren granitowych, na których wszystko się zmelło, a na nim się nie skrupiło. Taki to już był ów Des Touches, który chwilowo nabawił mnie nie-

pokoju o Amate, gdym na widok jej zagadkowych rumieńców przypuszczała, iż jest w nim rozmilowana!

— „Człowieka takiego, jak Des Touches“ — mówił nam *Imci Pan Jakób* — „nikt więzić nie śmie, póki choć jeden partyzant ma w ręku flintę a proch w ładownicy“.

— „I tego za wiele!“ — odparł spokojnie Just — „odbilibyśmy go, choćby golemi rękoma!“.

Des Touches'a otoczył i pojmał cały oddział — mówiono, że batalion cały. A że stało się to w okolicy Avranches, wtrącono go przeto do więzienia w temże mieście. Egzekucya miała się na nim odbyć lada dnia. Rzeczpospolita bowiem nigdy nie robiła długich ceregieli, a już w tym wypadku musiała na gwałt skończyć sprawę, jeśli ten człowiek, istne bożyszcze swego stronnictwa, a zarazem geniusz wszelakich fortelów, nie miał się wymknąć z rąk oprawców!... „Puszczak zachichotał w stronie zamku Touffedelys“ — dodał Just Le Breton, i tego samego wieczora przybyło do zamku mnóstwo naszych, w najrozmaitszych przebraniach: jedni za wędrownych kramarzy, drudzy za żebraków, inni za szlifierzy albo za przekupniów parasoli. Wojna partyzancka bowiem była szeregiem nocnych wycieczek i maskarad. Na wieść o pojmaniu Des Touches'a zbiegli się wszyscy, przysięgłszy sobie w duszy, że go uwolnią, albo sami zginą.

Naschodziło się ich nawet za wielu. Szaleństwem było już to samo, że taka moc ludzi zdążyła ze-

wsząd w jedno miejsce i zgromadziła się w Touffedelys. Ale to daje miarę, jakiego znaczenia zażywał Kawaler Des Touches wśród partyzantów, którzy ostrożności mieli zwykle tyle, co i męstwa. W przystępie zbytnej gorliwości o niego, nie wahali się na szwank teraz podać zamku de Touffedelys, tej głównej a tak dogodnej kwatery partyzanckiej.

Wyobrażenia Waszmość mieć nie możesz, Panie de Fierdrap, ani ty mój bracie, o tem, co dla naszej sprawy i dla jej obrońców zrobiliśmy z Touffedelys. Gdybym o tem przemilczała, opowiadanie moje byłoby niedokładne. Ten stary zamek ogołocony był już dawno z obronnych wałów, nie miał zwodów ani bron od niepamiętnych czasów, choć nie przestał być pańską siedzibą. Myśmy mu nadały powierzchowność pokornego i nieszkodliwego zameczku, by Rzeczpospolita mogła go ścierpieć od biedy. Kazałyśmy zasypać rowy, obniżyć mury, a wieżyce, skoro się już ostały, to przynajmniej bez wrębów zębatych na szczycie; i wyglądały raczej na cztery białe upiory, którym głowę ścięto, niż na warowne wieże. Z nad bramy wjazdowej, z narożników sklepień, z wysokich okapów nad kominkami, a nawet z chorągiewek na dachu, jednym słowem zewsząd, gdzie wprzód widniały herby Touffedelys'ów, kazałyśmy je usunąć. — A były to herby śliczne, w malowanej mowie wyrażające obrazowo sławę rodu, który — jak Waszmość Panu wiadomo — szczyli się trzema różdżkami srebrnych lilij z na-

pisem: ILS NE FILENT PAS, co w dwoistem znaczeniu odnosi się do lilij, iż *nie przęta*¹⁾, a razem i do dziedzicow imienia, iż z *placu nie ustępują*. Niestety, biedne lilie z placu ustąpić musiały. Ustąpiły nawet z ogrodu, gdzie z pokolenia na pokolenie siano ich całe grzędy, tak, że z daleka prześliczny ten wirydarz liliowy, wyglądał jak morze pokryte alabastrowemi piany. Zamiast lilij, posadziliśmy tam wszędzie bzy.

Albowiem bzy są jakoby lilije, obleczone w żalobną szatę.

Tak, — dokonaliśmy tych wszystkich świętokradztw, dopuściliśmy się wszystkich onych mierznych sztuczek, jakie popełniać musi chytróść, udająca, że się pokornie poddaje. Wszystko to zrobione było, iżby nasi miejsce zborne i przytułek mieli w tym cichym i bezbronnym zamku, który miał wszelkie pozory najniewinniejszego zakątka. Po za kobietami i powiewnemi sukniemi niewieściami nie znać było mężczyzn i orężów. Okrom ogrodników same kobiety były w Touffedelys, służbę wyłącznie miałyśmy żeńska.

Dzięki tym wszystkim ostrożnościom i dzięki tej potulności na pokaz — mogłyśmy z naszego gniazda lękliwych synogarlic uczynić przelotne siedlisko orłów nocnych, które nadlatywały tam

¹⁾ „Przypatrzcie się liliom, jako rosną, nie pracują, *ani przęta*, a powiadam wam, ani Salomon we wszystkiej chwale swojej nie był ubrany, jako jedna z tych“. Łukasz XII 27 (Wujek).

(Przyp. łomacza).

jak Des Touches, albo jak *Jegomość Pan Jakób*. Ale pojmuje Waszmość, że bezpieczne było to wszystko pod tym jedynie warunkiem, aby partyzanci zjeżdżali się tam na wojenne narady w małej tylko liczbie.

Odstąpiono od tej zasady raz wyjątkowo z przyczyny pojmania Des Touches'a. Dowódcy jednak, widząc, iż liczniejsze zgromadzenie byłoby wielką nieostrożnością, *odkomenderowali* swoich ludzi. — Gdy się jest w kraju nieprzyjaźnie usposobionym, lepiej mieć małe oddziały, niż duże, bo małe są zwawsze, bitniejsze i bardziej sprężyste, w działaniu szybsze, w pochodach łatwiejsze do ukrycia. Do odbicia Des Touches'a dość było kilkunastu ludzi, a ci, których do tego w Touffedelys wybrano, byli zdolni wydrzeć go choćby z pod ostrza gilotyny, czy z paszczęki piekła samego. Byli to właśnie owi *Dwunastu*, bo ich tak wówczas nazwano. W to zbiorowe miano *Dwunastu* wsiąkły ich nazwiska osobiste, których dziś nikt wyliczyć nie umie.“

— „Święta prawda!“ — rzekł Jmci Pan de Fierdrap, zaciekawiony opowiadaniem. I rozkrzyżowawszy cienkie swe nogi jelenie, założył je znowu — tym razem w odwrotnym układzie — tak, iż na nowo utworzyły taką samą literę X. — „W Anglii nie powiedziano nam ani jednego z tych nazwisk; nie prawda, księżo? I sam Sainte-Suzanne nie umiał ich wymienić.“

— „I gdy ta, co wam dziś przy kominku w tej mieście snem ujętej, historię tę opowiada“ — mó-

wiła Jejmość Panna de Percy — „gdy i ona legnie w trumnie pod krzyżem na cmentarzu w Valognes, wówczas nikogo już nie będzie, ktoby wiedział owe imiona, niepamięcią pokryte... Ci, którzy je nosili, nazbyt byli dumni, by się żalić na niesprawiedliwość, czy głupotę sławy.

Amata, w tej chwili zajęta własną myślą więcej, niżeli haftem, pograżyła się wyłącznie we wspomnieniach o swym jedynym *Jmci Panu Janłkbie*; a Sankta i Urszula de Touffedelys możeby już nie umiały wyliczyć wszystkich imion *Dwunastu*. Ale ja, ja umiem, ja je pamiętam! A po mojej śmierci“ — dodała, tak opromieniona zapalem, że zdała się niemal piękną — „póki całkiem w proch się nie obrócę, wystarczy trumnę moją otworzyć, by się dowiedzieć owych nazwisk, co godne sławy, choć jej nie zaznały! Znajdą się — zapisane w mojem sercu!“

Pierwsza wyprawa.

Jejmość Panna de Percy wzruszona, zamilkła na chwilę, słuchacze zaś uszanowali jej rozrzwienie.

— „Zamek Touffedelys“ — mówiła potem dalej — „odległy był od Avranches o jakie trzy godziny pieszej drogi, jeśli się szło wyciągniętym męskim krokiem. Podchodziły ku niemu od strony miasta wielkie bory. W ich nieprzejrzane głąbie lubili zapadać partyzanci, a spotykali się gromadnie na leśnych polanach. Po przeciwległej stronie zamku ciągnęły się lotne wydmy piaszczyste, zwane *sapami*, które dochodziły aż do morza i nadbrzeżnych urwisk; tam to w głębokich a ciasnych szczelinach, bywała nieraz bezpieczna ostoja dla Des Touches'a i jego łódki.

Zamek miał tedy podwójnie korzystne położenie: ze względu na las i na morze; dlatego też obrali go sobie Dwunastu za główne schronienie i przytułek, w czasie zamierzonej wyprawy. Posta-

nowili nawet między sobą, iż nie gdzieindziej odstawią Kawalera Des Touches, jeśli odbić go zdołają.“

— „Ale ich nazwiska! Ich nazwiska Mościa Panno!“ — rzekł Imci Pan de Fierdrap, zdjęty tak niecierpliwą ciekawością, że aż o posadzkę tupał nogą w kamasz opiętą.

— „Ich nazwiska? baronie“ — odrzekła — „nie myśl sobie Waszmość, że mam ochotę zataić je Waszmość Panu! Szczęśliwa jestem, że mogę je wymienić. Dość było anonimów i pseudonimów w dziejach tej wojny bohaterskiej, a nieogłędnie prowadzonej — i na Rany Boga Żywego! już mi tej bezimienności za dużo. Wierzaj mi Waszmość, że — czybyś chciał, czy nie chciał — znalazłoby się miejsce dla nich wszystkich w mojem opowiadaniu! Ale skoro już teraz Waszmość sam tego żądasz, wyprowadzę w defiladzie na plac wszystkie te imiona, przeliczę je niby paciorki rycerskiego różańca, którego nikt po mnie odmawiać nie będzie! Słuchaj Waszmość Pan: byli to — La Valesnie, lub, jak mówili chłopci, La Varesnerie, La Bochonnière, Cantilly, Beaumont, Saint-Germain, La Chapelle, Campion, Le Planquais, Desfontaines i Vinel-Royal-Aunis; ten właściwie nazywał się Vinel, a imię Royal-Aunis przybrał od regimentu, w którym był oficerem. To wszyscy, jeśli doliczymy Justa Le Bretona i *Imci Pana Jakuba!*

Nazwisko *Pana Jakuba* w niepamięć przeszło, przydomkiem wojennym przesłonię, tak

samo wszyscy inni wojskowemi imionami pokrywali prawdziwe nazwiska, nie chcąc na gilotynę narażać matek swoich i siostr, które w domu zostały, a nazbyt stare, czy wątłe były na to, by, jak ja — iść z nimi razem na wojnę.“

Serdeczne przejęcie, z jakim wymienione były te nazwiska po części nie szlacheckie, nadawało tej starej pannie, w kfeffe z żółtych i fioletowych jedwabów, taki majestat, że zdała się Muzą Historji. W księdzu de Percy i w Imci Panu de Fierdrap odezwała się krew szlachecka i obaj naraz poruszyli się instynktownie. Kapeluszy zdjąć nie mogli, bo byli z gołemi głowami, ale wobec nazwisk tego pocztu bohaterów, pochylili się, jakby na powitanie równych sobie rodem.

— „Na wszystkie węcierze świętego Piotra!“ — zawołał baron de Fierdrap — „zdaje mi się, Mościcia Panno, że znam kilka z tych imion“ — i zadumał się, jakby szperając w zakamarkach pamięci. „A nawet zdaje mi się“ — dodał po chwili — „że spotykałem się, nie pomnę już gdzie, z kilkoma, którzy te nazwilka nosili. La Veresnerie, Cantilly, Beaumont — znałem ich! Lecz wówczas, gdym się z nimi widywał, nikt, ani nawet oni sami nie pisnęli nigdy słowa jednego, z którego mógłbym się był domyśleć, że mam do czynienia z dzielnymi partyzantami, którzy odbili Des Touches'a!.. A prawda, Mościcia Panno!“ — zawołał, połapawszy się — „Tylko przepraszam, że mi to przedtem na myśl nie wpadło. Bohaterów tego podjazdu było chyba w tuzinie trzynastu, bo mię-

dzy temi dwunastoma imionami nie wyliczyłaś Waszmość Panna siebie, a przecie byłaś w ich liczbie?”

— „Nie!“ — odparła stara historyografka, co nie piórem wprawdzie, ale żywym głosem opiewała dawne dzieje. — „Nie było mnie pomiędzy nimi, Mości panie de Fierdrap. Nie brałam udziału w pierwszej wyprawie Dwunastu. Należałam tylko do drugiej, a dlaczego — dowiesz się Waszmość niebawem, jeśli mi dalej pozwolisz opowiadać“.

„Zdało się zrazu wszystkim, że pierwsza wyprawa powiedzie się niewątpliwie. Całą załogę w Avranches stanowił jedynie ten batalion Niebieskich Mundurów, który ujął i odstawił Des Touches'a do tego miasta, bo leżało najbliżej miejscowości, gdzie Kawalera „zdobyto“. Jeśli bowiem o Des Touches'u mowa, to na honor, dla króla francuskiego znaczył on tyle, co statek liniowy; można więc, dalipan, powiedzieć o nim, że go „zdobyto“. Des Touches to nie był zwykły jeniec, ale zdobycz prawdziwa! Just Le Breton łamał sobie głowę nad tem, w jaki sposób dał się schwytać ten Samson, który nie miał Dalili, ta „Osa, ten błędny ognik!“ Mniejsza z tem, dość, że się stało... Był pojmany. Just mówił, że widział w Avranches, jak go niesiono w pośrodku batalionu Niebieskich, którzy z bronią nabitą zwartym otaczali go tłumem. Widział go w żelaznych łańcuchach na rękach; między zęby wetknięty miał i przykneblowany bagnet, który mu kaleczył kąt ust; nieśli go na twardych noszach ze strzelb na

krzyż poskładanych, a do lufek onych strzelb przykrępowany był paskami od szabel; ale bardziej od wszystkich tych katuszy doprowadzało go do wściekłości to, że na twarzy czuł dotknięcie znieprawionej chorągwi republikańskiej, bo Niebieskie Mundury podczas tego pochodu, sztandarem Rzeczypospolitej trącałi go na urągowisko po czole bladem od straszego gniewu. To pewna, że tacy ludzie zjadle odpieraliby od Kawalera Des Touches wszystkich, którzyby im go pragnęli odbić. — Ale z sobą mieli oni tylko brygadę dragonów i licho zbrojną gwardyę narodową, która w swoich szeregach liczyła — jak mówiono — wielu regalistów. A nadewszystko rokowało nam nadzieję powodzenia — to, że nazajutrz miał się odbywać w Avranches wielki trzechdniowy jarmark na woły i na konie, i że z dwudziestu mil naokoło, miało się schludne miasteczko natłoczyć i zapchać zbitą czernią bydła i ludzi, co niezmiernie utrudniłoby nadzór policyi i przyczyniłoby się niemało do powiększenia zamętu a tem samem ułatwiłoby wykonanie zamachu. Należało bowiem na targowisku wywołać bijatykę: tego rodzaju bójka rozszerza się jak zaraza, i w końcu, najspokojniejszych nawet ludzi wciąga w swój wir, ogarniając tłumy całe z błyskawiczną szybkością. To też plan działania *Dwunastu* niebawem był ukartowany....

Wychodzili z Touffedelys po jednemu i przedzierali się do Avranches przez lasy. Dla niepoznaki, dla zamydlenia czujnego wzroku republi-

kańskich szpiegów postanowili wejść do miasta z dwunastu stron, każdy w pojedynkę. A poprzedziergali się w handlarzy zboża, ubrawszy się — jak oni — w białe opończe, na głowy zaś powdzwiewali wielkie kapelusze, zwane *pokrywami od garnków*. Kapelusze te całą twarz zasłaniały, tak, iż ledwie z pod nich wyzierała, zacieniona jakby pod okapem. W dodatku przyprószyli mąką skrzydła owych kapeluszy.

— „Nie możemy mieć przypiętej białej kokardy, niech przynajmniej te ubielone kapelusze będą znakiem, po którym rozpoznamy się nawzajem w tłumie“ — rzekł Vinel-Royal-Annis.

Nie dało się w żaden sposób zabrać dubeltówek, ni karabinów. Ale niektórzy z nich wsunęli za pas po pod opończę noże i pistolety. Zresztą wszyscy, co do jednego, przewieszzone mieli w poprzek przez ramię do biodra owe straszne biece, jakich używają handlarze zbożem. Prowadzą oni bowiem prawie zawsze kilka koni, obładowanych workami ze zbożem lub z mąką. Broń ta przerażająca ma rękojeść hartowaną w ogniu, a jest zrobiona z rzemieni plecionych, na końcu zaś owej plecionki biece te mają sześciocalowe *żądła*, tak, iż razy nimi zadane przecinają skórę.

Podpierał się każdy z nich *jasionowym kołkiem*. Każda normandzka dłoń przywykła do takiej laski. Niech we mnie piorun strzeli — jeśli ludzie o tak silnej garści i tak mężnym sercu nie mogli śmiało z taką normandzką maczugą iść choćby na armaty!

Patrzyliśmy na nich, gdy tak uzbrojeni wyruszyli w drogę: rozproszyli się i po jednym znikali w lesie, zupełnie jakby szli z wabikiem na ptaki. I sili rzeczywiście na krwawy polów! — *Jmci Pan Jakub* wyszedł ostatni. Dlaczegoż jednak odchodził taki smutny? przecie wiedział, że go Amata kocha i że go na pewno nie minie ten cudny skarb jej duszy i ciała, bo przecie przysięgła mu, iż jego żoną zostanie, skoroby tylko powrócił. Może rany świeże i miłość do Amaty, i owa tajemna zgryzota, trawiąca jego serce — może wszystko to razem przygnębiająco działało na wypróbowaną w tyłu walkach siłę duchową *Jmci Pana Jakuba*?...

Śliczna narzeczona odprowadziła go dalej niż pół mili w głąb lasu, aż do starej studzienki, kędę błękitną szybą polyskiwał źródł, wytryskujący w szafirowej głębi. Źródło to, zwano „Sarnią krynica“, bo sarny z sercem bijącym od chyżego biegu zapędzały się tam często i przystanąwszy chwilę, maczały drżące chrapki w drżącą toń wody źródlanej.

Amata powróciła sama do Touffedelys i zaiste pokazała wtedy, że jest nieodrodną córką Spen-sów! — Była na prawdę z rodu, w którym kobiety nie płaczą po odejściu mężczyzn na wojnę! Nie spostrzegłyśmy u niej ani jednej łzy. Tylko czoło jej, tak jasne jak zorza, zbieleło nakształt brzozy kory. Współczułam z nią bardziej, niż inne. Wiadomo Waszmości, iż *Majorem* byłam w sztabie *cyruliczek* i ran dotykać umiałam. Chcia-

łam pokrzepić to serce krwawiące się w milczeniu, więc nie namyślając się długo i takim tonem, jakbym w rękę trzymała jej losy, rzekłam — ufna, iż tylko szalone słowa zdołają ukoić rozszalałe serca:

— „Nie bój się Amato! Za cztery dni powrócą wszyscy na twój ślub, a Des Touches będzie ci drózbował!“

Nagle — jak Boga kocham — na to słowo *druźbować*, twarz jej, blada, jakby kość słoniowa, oblała się niby luną pożaru. Czoło, policzki, szyja i kark, wszystko aż po świetlaną linię złocistych włosów stanęło w płonącej, ognistej czerwieni. I mimowoli przychodziło na myśl, że i reszta jej ciała pod ubraniem zarumienić musiała się tak samo, jak to, co było widoczne. Tak bowiem bił od niej ten szkarłany rumieniec, że zdawał się obejmować i opłomieniać ją całą od stóp do głowy.

Nasuwało się znowu to wieczne pytanie: Czemu ona się rumieni?

— „Niech mnie piekło pochłonie — myślałam sobie w duszy — cóż? jestem-ci ja wprawdzie tylko niedoszłym mężczyzną i na mężczyznę wyglądam z twarzy. Ale mam w sobie przecie krztę kobiecości, a bodaj mnie dyabli porwali bez spowiedzi — jeśli cokolwiek z tego rozumiem!“

— „Słuchajno“ — rzekł ksiądz — „muszę ci zwrócić uwagę, że już minęły czasy twoich podjazdów nocnych przy blasku miesiąca, a ty mimo tego ciągle jeszcze klniesz jak dragon — moja Mościa Panno sestro!“

— „Czasy wojen domowych wywierają wpływ na epoki spokojne!“ — odcięła mu się żwawo i śmiać się poczęła, jak stary żołnierz, śmiejący się pod sumiastym wąsem... „Ty księżę, surowszy jesteś, niż proboszcz z Aleaume! Biłam się przecie tak długo za chwałę bożą i Jego Kościola, że Bóg wybaczy mi chyba te złe nawyczki, których nabrałam w Jego służbie i za złe mi ich nie poczyta...“

— „Waszmość Panna przypominasz mi“ — rzekła na to baron Fierdrap — „owo słynne powiedzenie Ludwika XIV po bitwie pod Malplaquet: Tyle usług Bogu oddałem, iż chyba miałem prawo ufać, że się ze mną grzeczniej obejdziesz!“

— „Wierzaj mi“ — wtrącił żywo ksiądz — „iż Ludwik XIV nie był nigdy lepszym chrześcianinem, niż wówczas, gdy to powiedział. Wierzaj Fierdrap, ręczę ci za to, ja który przed laty dostałem stopień doktorski w Sorbonnie! Gorąca wiara pozwala sobie czasem na niejaką poufalość z Bogiem: głupcy uważają to za śmieszny brak uszanowania, a płytkie umysły albo przemądrzali filozofowie biorą to za dowód pychy. Niechaj sobie gadają. Lecz w nas, w szlachcie, która przy całym uszanowaniu dla Króla umiała zawsze wobec Majestatu zachować swobodę obejścia...“

— „Widzisz, teraz ty przerywasz“ — odezwał się Imci Pan de Fierdrap, rad, że może księdzu dać nauczkę, i że mu *przetnie* jego wywody. — „Nie wyjeżdżajże z teologią i Sorbonną; a Waszmość Panny słucham, nastawiwszy uszy“ — do-

dał pochwalnym i ugrzecznionym tonem — „bo dla mnie to właściwie opowiadasz Waszmość Panna. Żałuję tylko, że nie mam dwóch par uszu do słuchania. Racz Waszmość Panna mówić dalej!”

Pochlebiali jej to. Nożyczki przez chwilę bębniły pobudkę, uderzając o stół ze starej laki. Zarazem ją mówi dalej:

„Amata niebawem powlokła się błądząca serdecznego smutku. Musiała ona istotnie przecierpieć więcej, niż my w ciągu trzech dni następnych, po wyjściu Dwunastu. My żywiłyśmy dla Dwunastu, a nawet i dla Kawalera Des Touches życzliwość i współczucie, jakie się ma, gdy się jest kobietą i to młodą, dla ludzi młodych i szlachetnych, którzy walczą w imię jakiejś sprawy, zwłaszcza jeśli to jest sprawa honoru, religii, królewskiego majestatu. Toć oni o te trzy najwyższe dobra Francji walczyli codziennie z narażeniem życia! Nas obchodzili ci Dwunastu bardzo żywo, wszak to byli ludzie z tego samego, co my stronnictwa i z pod tego samego sztandaru. Z tem wszystkim jednak serca nasze nie były zajęte, jak serce Amaty i kula ze strzelby pierwszego lepszego z Niebieskich, choćby trafiła w które z owych serc rycerskich, nie przesyłaby zarazem serc naszych...”

Wprawdzie do najwyższego stopnia zajmowało nas to, co miało stać się w Avranches i z zapartym tchem czekałyśmy, jak się to skończy — a już ja najbardziej niepokoiłam się, w żyłach moich bowiem zawsze grała krew, gdy ktoś miał zada-

wać, ktoś odnosić rany. Ale nie takie niepokoje, o nie takie! — szarpać musiały duszę Amaty. Nie przyznawała się do nich. Dusiła je w tem sercu, w którym zdusiło się wszystko. Ale ja odgadywałam, co się w niej dzieje po rozpalonych jej rękach, po suchym blasku jej oczu. Tak żyłyśmy dni całe w niepokoju, miotane niepewnością i trwogą o los naszych przyjaciół; raz w ciągu dni owych musiałam wyrwać jej z ręki robotę, bo chcąc odciąć szlak haftowany, krajała sobie palce do żywego ciała, aż krew ciekła jej na kolana, ona zasię nie czuła w głuchej zadumie, iż sobie kaleczy te śliczne ręce! Odtąd już jej na krok nie odstępowałam. Nie mówiłyśmy do siebie, siadywałyśmy tylko dłoń w dłoni i oko w oku. I jedna drugiej czytała w źrenicach to samo wieczne zapytanie, pełne obawy: Co się teraz dzieje z nimi? Żadna z nas nie odpowiadała na to pytanie, bo gdyby się odpowiedź miało, pytanie byłoby zbyteczne, zaczem nie czułoby się i obawy. Ten lęk, jak świder wierzący ustawicznie, przenikał nam serca. Chcąc się uchronić przed tem ciągłym udręczeniem, przed tem świdrowaniem na jednym miejscu — wychodziłyśmy razem na drogę po pod zamek Touffedelys: człowiekowi zdaje się żeruchem zdoła uśmierzyć niepokój. Spodziewałyśmy się, że spotkamy jakiego woźnicę targowego lub straganiarza, czy wreszcie jakiego podróznego który zacznie nam opowiadać o tym jarmarku w Avranches, kędy rozgrywać się

musiał dramat co dla nas mógł stać się tragedją. Całe jednak to chodzenie nasze nie zdało się na nic.

Wszyscy ze wsi sąsiednich, którzy mieli sprawunki na jarmarku, przeszli już od dawna, a nikt jeszcze nie wracał. Drogi były puste; ciągnęły się jak białe wstęgi, a jak daleko wzrok sięgał, nigdzie na nich nie było widno nikogo. Żywej duszy nie można się było dopatrzeć na tej długiej, prostej smudze, co w dal uchodziła niema i nie nadchodził nikt, ktoby powiedział, co się dzieje tam, za widnokresem, w owem mieście, z którego tylko dymy widać było w dalekościach. A myśmy tak wysilały uwagę, takeśmy nateżały słuch na najłżejsze drgnienie fal powietrznych, płynące przestworzem, że nam się czasem wydawało, iż słyszymy, jak stamtąd dźwięczy i rozbrzmiewa niewyraźny odgłos dalekich dzwonów. — Ale było to jedynie złudzenie zmysłów nazbyt wytężonych! W owym czasie dzwonów nie było nawet. Zdjęto wszystkie z dzwonnicy i przetopiono na republikańskie armaty. Zatem nie było to dzwonienie, nie było bicie na trwogę. Zwidywało nam się jeno i dzwoniło nam.... w uszach. I choćby na alarm uderzano, choćby na trwogę bębny warczały, to i wtedy jeszcze nie mógłby nas dolecieć odgłos bębnów na taką odległość i nie byłybyśmy go zdołały rozeznąć wśród brzęku owadów i tysięcznych szelestów i szmerów ziemi, która zda się szeptać w dni upalne, a właśnie wtedy były dni takie.

Och, coś nas tak trawiło i żarło — mnie ciekawość, ja lęk śmiertelny. Aż do znużenia nadsluchiwałyśmy z uchem przytkniętem do ziemi i patrzyłyśmy na tę drogę pustą i niemą, co się włókła, płaska i kurzem nieruchomym pokryta. Niekiedy znowu przychodziła nam ochota nasłuchiwać z wyższej wyniosłości i dalej sięgać oczyma, i wtedy wychodziliśmy na płaski dach najwyższej wieży i patrzyłyśmy stamtąd, o, patrzyłyśmy co wzroku starczyło! Ale napróżno zrywałyśmy oczy, napróżno starałyśmy się przebić spojrzeniem smugę lasów, ciągnącą się bez końca od strony Avranches. Nie dostrzegaliśmy nic, oprócz bezmiaru liści, oprócz oceanu zieleni, w którym tonął wzrok nasz znużony...

Z przeciwnej strony, pomiędzy dwoma urwiskami, widniało morze błękitne, co się powoli toczyło na milczące wybrzeża, jak ciężka oliwa; nigdzie żagla, któryby ożywiał toń bezkresną i odbijał białym płatem od jednostajnego lazuru. Ta cisza, nad wszystkim rozpostarta, kiedyśmy drżały z niepokoju, powiększała jeszcze nasze niepokoje i drażniła nerwy nasze obojętnością świata zewnętrznego a chwilami wprawiała nas w chorobliwe przeczulenie, które prowadzi do obłądu!

Nawet w nocy siadywałyśmy na wieżycy naszej, na tem obserwatoryum, z kądem nie było widać, okrom nieba, a myśmy przecie nie na niebo patrzyły! Był to rodzaj katuszy; zadawałyśmy ją sobie, bo nam się wydawało, że to lada chwila skończyć się musi.

Wieczorem drugiego dnia w czasie onego jarmarku — który, o ile pomnę, zwał się jarmarkiem na świętego Paterna, powinienby zaś od owej pory zwać się ognistym jarmarkiem — drgnęliśmy, ujrawszy, iż na widokręgu wznosi się wysoki, czerwony płomień, a kłęby gęstego dymu, niesione wiatrem, wydymają się i rozwlekają ponad pasmem lasów oświetlonych cichym blaskiem księżyca.

— „Amato“ — rzekłem do niej — „to pożar! Czyżby podpálili Avranches, by odbić Des Touches'a? Wart on całego Avranches! Toby było ładnie!“

Nadśłuchiwałyśmy... i tym razem zdawało nam się, że słyszemy niewyraźną wrzawę i gwar zmieszany, wychodzący jakby z olbrzymiego ulla. Nie wiedzieć, czy to nie było złudzenie, bo głowę miałyśmy tak nabitą! Jako partyzantka, której wojna nie była już wtedy nowiną, miałam ucho wprawne i znałam się na muzyce strzałów: próbowałam rozeznąć palbę z flint na tle basowej przygrywki owych gwarów, co zdały się huczeć nieustannie, przytłumione oddaleniem. Ale niech wemnie strzeli grom z jasnego nieba, jeśli co słyszałam... Nie mogłam nic rozróżnić. Wychyliłam się przez poręcz, z głowy zsunęłam granvilską kapuzę, którą wdziałam, by się uchronić od noconego chłodu na takiej wysokości i stałam tak, wyęzając uszy na wiatr, a wzrok na płomień, od których purprowa luna biła na chmury. Obliczyłam, że jeśli to Avranches płonie, w takim razie za dwie go-

dziny wróca, ni mniej, ni więcej, co do minuty, bo tyle czasu potrzeba, by stanąć w Touffedlys. Zatem czy zwyciężeni, czy zwycięzcy, ale przyjść muszą. I powiedziałam to Amacie.

Obliczyłam rzeczywiście z wojskową dokładnością. Stałyśmy ciągle jeszcze na naszej strażnicy, wpatrzona w daleki, dogasający ogień; nie mógł to być pożar Avranches, bo Avranches byłoby się paliło dłużej... Nagle, w sam raz o dwie godziny później, usłyszałyśmy w dole pod sobą u stóp wieży miarowe hukanie pubacza. I co za czarodziejska władza miłości! Amata poznała natychmiast z czyich to rąk, złożonych w kulak przy ustach, wyszło to hukanie; a było tak żałosne, że mnie smutkiem przejęło. Jej wydało się ono głosem radości i tryumfu, bo zwiastowało jej człowieka, który był jej życiem — i życie przynosił jej s^{wo}oje.

— „To on!“ — krzyknęła — i jęłyśmy schodzić z wieży, wartko jako jaskółki zlatujące pędem z dachu na ziemię.

Istotnie był to *Imci Pan Jakub!* Z twarzą uczernioną, z włosami osmalonymi, wyglądał na szatana, lub raczej na potępieńca zbiegłego z piekieł, bo szatany z piekła przecie nie wychodzą.

— „A! poszedłeś Waszmość ubielony jak worek mąki, a wracasz czarny jak worek z węglem!“ — rzekłam doń żartobliwie, bo wesoleść moja niepoprawna pobudzała mnie do śmiechu zawsze, choćby nawet i w nieszczęściu.

— „Tak“ — odparł, zagryzając wargi — „po-

wracam czarny, okryty żalobą — przegranej! Nie udało się Mościa Panno... Musimy jutro rozpoczynać na nowo!“

„Nie udało się!“ — prawila dalej stara partyzantka, ożywiając się coraz bardziej. Ogarniał ją taki zapal, że aż ksiądz, brat jej, wziął się do zażywania tabaki — „nie udało się! A jednak przedsięwzięcie prowadzone było jak najlepiej, o czem sam Waszmość będziesz mógł się przekonać, Panie de Fierdrap...“

„W samo południe, podczas największego jarmarcznego rozgwaru weszło Dwunastu do Avranches. Zmierzali zrazu ku targowisku; wlekli się pojedynczo, leniwym krokiem i beczynn timerozglądali się po worach mąki, które stały rzędami, odwiązane i otwarte, aby kupujący mogli obejrzeć towar. Tak odgrywali rolę handlarzy, rodowitych Normandów, co to nie śpieszą się z kupnem, ale czekają, aż ceny opadną. Ale po wielkich kapeluszach, których skrzydła opadały im na ramiona — poznawali się w tłumie nawzajem, nie dając poznać po sobie, iż się poznają, wiedzieli ciągle o sobie, ocierali się o siebie łokciami i każdy czuł, że swoich ma pod bokiem. Były na jarmarku w onym roku nieprzeliczone tłumy, co im nie mało dodawało otuchy. Miasteczko przepełnione roilo się od ludzi, bydła i wozów kształtu i wielkości wszelakiej. Zajazdy i szynkownie zapchane były chłopstwem augerońskiem, handlarzami wołów, nierogacizny; przygnali oni na jarmark trzody swoje, które tłoczyły na ulicach, tamowały

przejsie, zalegały przed bramami domów, pchały się pod oknami, tak, iż w niejednym domostwie pozamykano okiennice, aby szyb nie powybijał rogami jaki wół lub nie wytłoczył zadem jaki cofający się koń spłoszony.

Liczne owe stada wołów i koni zwalniały chwilami i zbijały się w kupę na rogach ulic, w ciasnocie przecznie i przy kołowrotach, ustawionych na skrzyżowaniu dróg i niebawem ruszały znowu powolnym chodem, a poganiacze popędzali je *kołami jasionowymi*. I posuwał się natłok zwierząt ławą zbitą, rzekłbyś, iż płynie ich rzesza cała. Nawała ta zmierzała głównie w jednym kierunku, w stronę targowicy, na plac jarmarczny. A właśnie na rogu tego placu wznosiło się więzienie, gdzie zamknięty był Des Touches.

Zdawaćby się mogło, że zamysłem Dwunastu na zawadzie staną owe tłumy gęste, otaczające ze wszech stron więzienie; przystęp do niego i wyjście zeń tem samem utrudnione były niepomniernie. W ich mniemaniu jednak — jako iż mieli dzielne serca i pełne ufności — był to przeciwnie pomyślny skład rzeczy. Zaprawieni do wojaczki w małych a odważnych oddziałach, wiedzieli oni z doświadczenia, że w takich okazyach zawsze liczyć można na zamęt w wielkich tłumach, wśród których nie trudno przecie wywołać zamieszanie.

Zresztą położenie to gmachu więziennego przy targowicy, również korzystne dla nich było choćby już przez to samo, iż ów batalion Niebieskich Mundurów, który odstawił Des Touches'a,

potem sklecił sobie był na poczekaniu kordegardę z desek, przypierającą do więzienia, lecz dzięki jarmarkowi, musiał kordegardę ową przenieść na drugi koniec placu. W temże miejscu bowiem bywała zawsze osobna targowica na konie, które ustawiano rzędem wzdłuż muru więzienia, na całej przestrzeni i przywiązywano do żelaznych kółek, wprawionych silnie pomiędzy więzienne głązy. Zrazu Niebiescy — jak Waszmość Pan łatwo się domyślisz — krzywili na to nosem, kiedy im przyszło kordegardę przenieść na inne miejsce. Dręczyła ich bowiem ciągle jedna tylko myśl, by Des Touches nie umknął.

Ale spokojni Normandowie — którzy przy każdej innej okoliczności nie stawiliby oporu, byle uniknąć *wymysłów i kłopotów* — nie dadzą się ugłaskać i nie pożałują trudów, kiedy w grę wchodzi najmniejszy nawet zysk. Wtedy zmieniają się oni natychmiast w swarliwych szczekaczy i w dokuczliwych prawowników, którzy znają tylko zasadę: *Drzej tylko!*

Stajnia pod gołem niebem przynosiła zysk miastu, a co więcej przemawiał za nią nie sam dochód, lecz i dawny zwyczaj. *Zysk i zwyczaj*, te dwa słowa, toć to cała Normandia! Niebiescy wiedzieli, że w razie czego, byliby stroną słabszą, więc wynieśli się z pod więziennego muru. Waszmość pojmujesz, Panie de Fierdrap, iż dwunastu naszych handlarzy zboża miało chyba dość czasu do obejrzenia onego więzienia. Jako prawdziwi wojaacy, opatrzyli oni sobie gmach i targowicę, na

której się wznosił. Plac zajmowały budy ustawione rzędami, jak domy, a w utworzonych tym kształtem uliczkach, płynął i kłębił się potok jarmarczego gminu. Słońce skwarne prażyło z góry — co również było dogodną okolicznością, bo pod jego promieniami wrzało w tysiącach mózgów, i tak już podnieconych targowaniem się o ceny i jablecznikiem, który tak łatwo zapala głowy normandzkie, a tego dnia właśnie należało te głowy doprowadzić do wybuchu, jak podpalone jaszczyki prochu — jeśli miało się powieść wyzwolenie Des Touches'a. W tem tkwiła cała sztuka, to był jedyny środek do odbicia go z niewoli: podburzyć cały ten tłum jakimbyś sposobem, tak, aby jedni rzucili się na drugich wśród gruchotu przewracających się straganów i wśród popłochu rozszalałego bydła! A podczas tej ogromnej bijatyki, która mogłaby przybrać rozmiary walnej bitwy, toczonej na oślep i zmienić się w rzeź zupełną, można dopiero było po trzech lub czterech wśliznąć się nieznacznie do więzienia, odbić Kawalera i szybkim odwrotem cofnąć się w lasy. Taki to plan prosty, a zarazem zuchwały ułożono w Touffedelys. Ale widok tego więzienia, mógł rzeczywiście odebrać ochotę do wykonania tego planu“.

— „Do stu par skrzeli łososich! bardzo wierzę“! — krzyknął baron de Fierdrap. — „Znam ja, znam wybornie ono więzienie, Mościa Panno. Miałem swego czasu w Avranches starego towarzysza broni z armii Konduszowskiej. Wróciwszy

na swoje śmieci, — podobnie, jak ja — i zawieszony broń na kolku, rozgorzał zapalem do starych ruder, jak ja rozmiłowałem się w rybach. Jemu to zawdzięczam, iż znam więzienie w Avranches. Dość mnie ze sobą nawłóczył ten sfiksowany znawca starożytności. Tak mnie wodził po zakamarkach i schodach tej twierdzy, że chcąc nie chcąc, muszę ją doskonale pamiętać; a w nogach dotąd mnie strzyka na samo wspomnienie onych dwu wysokich baszt, które, dali-bóg — mogłyby wytrzymać bicie z armat“.

— „Tak jest“ — podjęła Jejmość Panna de Percy — „obie te baszty były strasznie potężne. Łączyły się one ze sobą budowlą starej daty i krążankiem ze strzelnicami; z obu zaś boków przypierały do tych baszt budynki nowsze, które nie wytrzymałyby zapewne walnego szturm. Ale baszty!... te dwie grube baszty, rozpierające się szerokimi barami!... Daj go кату! Przyjrawszy się basztom, Dwunastu zrozumieli, że do wnętrza dostać się mogą tylko fortelem... Nie było innej rady!

Vinel-Royal-Annis podjął się załatwić z dozorczynią więzienia, bo dozorey nie było. Dwunastka poczytywała to sobie również za okoliczność pomyślną. Ale wierzaj mi Waszmość, Panie de Fierdrap, że na wojnie ślepy traf bywa czasem najgorszym zdrajcą. Zobaczysz Waszmość niebawem, iż dozorczyńni więzienia w Avranches mogła śmiało obstać za mężczyznę, a nawet więcej, niż za mężczyznę. Zwała się Hocsonowa. Była

to kobieta w wieku między czterdziestoma pięcioma a pięćdziesięcioma latami, a swego czasu chodziły o niej wieści, niestwierdzone wprawdzie, ale okropne. Mówiono o niej półgłosem, że była niegdyś przekupką w Caen na przedmieściu Bourgel'Abbé i że należała do tych przekupek z Bourgel'Abbé i z Vaucelles, które młodemu oficerowi, Imci Panu de Belzunce, gdy zamordowany został podczas rozruchów — serce z piersi wydarły i pożerały je ciepłą krwią jeszcze dymiące... Czy to było prawdą? Powątpiewano o tem, ale widocznie twarz Hocsonowej wyrazem swym nie stała w sprzeczności z owemi straszlivemi wieściami. Jej mąż, zaciekły Jakobin umarł na stanowisku więziennego dozorczy w Avranches, ona zaś po nim objęła posadę. Z ohydnej wilezycy stała się łańcuchową suką w służbie Rzeczypospolitej. A teraz Vinel-Aunis miał ją obłaskawić... Nie musiało mu to pójść łatwo. Ale co Vinel-Aunis, to Vinel-Aunis! Daliśmy mu przecie między sobą przydomek *Zawsze Zucha!* on zaś to miano dumnie nosił, niby kitę u szyszaka. Był to, jak się mówi w wojsku, *wesoły kamrat*, chłopiec dorodny, z pysznem oficerskiem zacięciem. To też doskonale teraz grał rolę barczystego i zamożnego kupca na zboże, a liczył niezachwianie na trzy rzeczy, z których każdą zosobna uważał za nielada potęgę: naprzód na swe, dalibóg, niezwykle zalety fizyczne; powtóre na język tak wygadany, że lepszego nie widziałam u nikogo w życiu; a po trzecie na kieszeń asygnatami napchaną. Na wszystko i

zawsze gotów, na wszystko też miał jedno ulubione zdanie: „Na wojnie — jak na wojnie!“

Zadanie, które mu do spełnienia powierzono, nie bardzo musiało mu być do smaku, ale on prędko w sobie przeparł wstręt i wesoło brał się do dzieła.

Więc nie zważając na to, że owa dozorczyńca więzienia w Avranches miała równie odrażającą powierzchowność jak i opinię, stanął przed nią odważnie z tą czupurnością — która we Francyi cechuje oficerów, a czasem i handlarzy zboża — i z nieopłaconem usposobieniem do żartów, które było wrodzone Rayal-Aunisowi. Przemógł w sobie wstręt zupełnie zresztą zrozumiały, jakim przejmować go musiała ta jędza, co na wargach mogła jeszcze mieć krew Imci Pana de Belzunce — i zaczął od tego, że przyskoczywszy do niej... cmok! cmok! cmok! ucałował ją trzykrotnie w oba policzki, obyczajem normandzkim.

— „Hej ciotko! jak się macie!“ — mówił do niej, ona zaś zdamiona i ośnupiała, nawet się nie bronila przed jego czułościami. — „Jakże mi się niewiecie poczciwa, droga ciotko? Cóż to — nie poznajecie mnie...? Toć-em ja wasz krewniak Dynar z Carquebu; miałem być na jarmarku w Avranches, a nie zajrzeć do was z dobrem słowem i z ucałowaniem?!“

Strzeliło mu na prędce do głowy nazwać się Dynarem, bo widział, że stoi przed nią dynarek*), na którym ona szorowała wiechemi kociołek.

*) Dynarek = trójnożek. Patrz Lindé. (Przyp. tłóm.).

— „Co zaś? Nie znalazłam nigdy żadnego Dynara, chyba ten, *haw-tu*“ — odparła z gniewem, wskazując mu na trójnożek pod kotłem. „Wart-eś ty, żebym cię nim przez łeb dzieliła za twoje głupie *gzy*, drwiarzu jakiś!“

Kto inny uląkłby się może dynarka w rękę takiej baby, ale nie Vinel-Aunis. Dowiedział on, iż miał słuszność, polegając na swojej swadzie, wpięrał bowiem Hocsonowej w *żywe oczy*, że istnieją jej krewni, Dynarowie w Carquebu, a on jest właśnie z tych, a nie innych Dynarów. Poczem ją jej prawie długą historję o Dynarach z Carquebu, jako iż mu wielokroć wspominali o krewniaczce w Avranches, gdy się z domu wybierał, do wojska stawać jeszcze za czasów pierwszego poboru; jako on powrócił do Carquebu, objął bicz handlarski, którym rodzic jego trząsał przez całe życie i jako postanowił skorzystać z pierwszego jarmarku w Avranches, by ciotkę odwiedzić, zapoznać się i poprzyjaźnić.

I dalibóg, tyle jej nagadał, a przytem tak umiał powierzchnością i wzięciem się swoim wzbudzić zaufanie, tak dokładne podawał szczegóły, zalał ją takim potokiem słów, że Hocsonowa zapomniła języka w gębie, skuliła się we czworo powodzią wymowy ogłuszona i słuchając krewniaka swego Dynara, zapomniła o tym dynarku, który trzymała w rękę, zostawiła kociołek i na ławkę bezwładnie opadła, przekonana, pokonana, oszołomiona. Tak ją to odurzyło, że w końcu krewniaka swego z Carquebu zaprosiła na kubek

i poczęstowała *kukielką* jarmarcznią, a Vinel-Annis rozsiadł się za stołem. Zdawało mu się, że jest panem położenia. Myślał, że już ma w ręku Des Touchesa! Ale... mylił się grubo!

A tymczasem ustawicznie mełł niezmordowanym językiem. Wypił kubek, potem dzbanek jeden i drugi, a Hocsonowa dotrzymywała mu placu przy picciu i tylko pochmurniała coraz bardziej, im więcej łykała, a zresztą nie rozgrzewał jej trunek ani z nóg nie ścinał.

Widząc to uprzejmy handlarz zboża, chciał go rzalką uraczyć ciotkę, więc posłał do pobliskiego szynku dziewczynkę, którą Hocsonowa nazywała „dziewuszką po swoim synu“. Ale — jak sam później opowiadał w Touffedelys — trudniej było sprawić, iżby się tej babie zakurzyło z głowy, niżli dokazać, by się zakurzyło z dachu więzienia w Avranches, co zresztą istotnie stało się w trzy godziny później. Ta kobieta miała w sercu coś, czego nie można było spoić, bo bijaństwo to zapomnienie, to złuda, to nowe życie w tok życia wtrącone. Ona zaś w sercu nosiła nad wszelki trunek silniejsze wspomnienie, które w niej mroziło gorące napoje i zalać się nie dawało. A nie było to bynajmniej wspomnienie krwi Pana de Belzunce, jeśli ją istotnie chleptała, jak ją o to pomawiano. Nie, wspomnienie to zagładzić mogło zaiste w jej pamięci krew ona, mogło zagłuszyć wszelką myśl o zbrodni i znicestwić wyrzuty sumienia. Jednem słowem, w sercu miała tak głęboką ranę, że choćby jej kto wlał do gardła całe mo-

rze gorzałki — przeciekłoby jak przez sito, nie wypaliwszy, ani znieczuliwszy owej serdecznej rany, cała bowiem dusza tej kobiety była jedną raną“.

Jejmość Pannę de Percy aż dławilo to opowiadanie, jako iż była krwistej natury. Zatrzymała się przeto na mgnienie oka dla nabrania oddechu. Lecz i ksiądz i baron przejęci tem, co słyszeli, zachowali milezenie i nie zbierała ich ochota do żartów.

— „A jeśli mówię o tej babie, Mości Panie de Fierdrap“ — ciągnęła dalej Jejmość Panna de Percy — „jeśli przez chwilę rozwodzę się nad tą wiedźmą, która może była zbrodniarką, to dlatego, iż w onym dniu bohaterką była taką, jak Dwunastu, i z jej przyczyny nie powiodła się pierwsza ich wyprawa. Gdyby nie ona, nie ona *jedna* — niech Waszmość zapamięta sobie, co mówię — byliby Des Touches'a bez najmniejszego wątpienia odbili, przewróciwszy całe Avranches do góry nogami. Jestem pewna, że byłoby im się udało. Ale ona stawiała im czoło, wolę okazując niezachwianą, jak one mury więzienne, wzniezione z granitowych ciosów. Vinel-Aunis napróżno kuśił się, by ją spoić, potem próbował ją przekupić. Zaczął z nią tak, jak się zaczyna z wszystkimi dozorcami więzień, jacy kiedykolwiek byli na świecie.

Wszelako znalazł w niej duszę nieprzedajną: dostępu do niej strzegła nienawiść, najzacieklejsza, najniezlomniejsza nienawiść, co się z miłości wylęła!

Syn Hocsonowej zginął był z rąku Partyzantów, nie w bitwie, lecz po bitwie zabity; niejednokrotnie tak zabijano w czasie wojen domowych, zadając jeszcze w dodatku wyszukane męczarnie, bądź dla wywarcia zemsty, bądź też dla rzucenia postrachu. Po zagorzalej walce, w której Niebiescy z pomocą jednego działa położyli trupem wielu partyzantów, młody ten chłopak wpadł w zasadzkę wraz z dwudziestoma trzema innym. Partyzanci zakopali żywcem owych dwudziestu czterech jeńców po szyję, aż do tego miejsca, które w owej epoce zwano gilotynowym naszyjnikiem. Ujrzawszy one dwa tuziny głów, co wystawały z ziemi, stercząc na karkach na podobieństwo żywych kręgli—Partyzanci wpadli na myśl ohydną, by zagrać, przed cofnięciem się z pola, bitwy partytyę owych kręgli, a do gry użyć kul armatnich! Zapalczywemi rękoma ciskane kule, za każdym rzutem tłukły o te twarze, wołające pardonu, obijały je po kawałku... i ubroczone powracały, by za następnym rzutem znowu krwią się zarumienić. Tak zginął syn Hocsonowej. Matka jego, dowiedziawszy się o tej okropnej śmierci, płakać prawie nie mogła... Lecz przed oczyma jej stał ciągle ów krwawy kręgiel... i przeciw Partyzantom ziała nienawiścią, której sprostać nie nie zdołało. Vinel-Aunis także jej nie sprostał.

— „Ha“! — rzekła mu — „więceś mnie ty oćmił! Tyś Partyzant i o więźnia ci chodzi! Nie boję się, choćbyś mnie zabił“. — Vinel wyciągnął bowiem pistolet z pod opończy — „Dawno już

pragnę śmierci!.. Dziewuszko“ — krzyknęła — „biegaj do kordegardy po Niebieskich“!

— „Byłbym ją zabił“ — mówił nam później Vinel-Aunis“—ale nie miałem nawet pojęcia, w której wieży siedzi Des Touches. Strzał byłby narobił huk, a ja byłbym stracił na czasie“.

Podnóżkiem, który mu się nawinał, cisnął tedy dziewczynie pod nogi, iż upadła, chciał bowiem przewrócić ją, by wyjść od razu nie mogła.

Hocsonowa jednak przez ten czas zdołała mu się wymknąć i wpadła w korytarz czarny, jak atrament, gdzie Vinel-Aunis pobłądził i tylko słyszał, jak baba, pędząc po cztery schody na raz, drapie się na jedną z baszt, otwiera drzwi do kaźni i zamyka się na klucz razem z więźniem“.

— „Do diabła“! — mruknął Imci Pan de Fierdrap.

— „Tam do licha“! — ożezwał się ksiądz.

Stara amazonka, nie zważając na te dwa wykrzykniki, mówiła dalej:

— „Otóż, kiedy to działo się w więzieniu, wskazówka zegaru na szczycie Ratusza po drugiej stronie Placu Targowego dochodziła tymczasem do tej godzinowej cyfry, którą Dwunastu oznaczyli sobie byli naprzód, jako godzinę rozpoczęcia dzieła. Cokolwiekbądź zdarzyć się mogło, ani minuty nie zawahali się oni w wykonaniu zamierzonego przedsięwzięcia.

— „Pora nam teraz pójść w taniec“! — rzekł wesolo Just le Breton do la Veresnerie.

I obaj weszli do jakiejś budy jarmarcznej, gdzie najwięcej było ludzi i gdzie odchodziła pijatyka. Weszli niby z partesu, ale w garści trzymali hartowne swe pałki. Nikt dokoła nie miał najmniejszego podejrzenia. Jedni siedzieli, drudzy stali, gdy wtem Just le Breton podszedł do wielkiego stołu pomiędzy pijących — lekko położył pałkę na całym rzędzie szklanek, nalanych aż po brzegi i powiedział głosem dobitnym i czystym, jak to zwykle u niego:

— „Nikt tu nie śmie pić, póki my nie wypijemy“!

Wszyscy obrócili się na ten głos przenikliwy i obaj handlarze zboża w jednej chwili stali się celem tysiąca spojrzeń, z których wyczytać było można zdumienie, zwiastujące bliski wybuch giewu.

— „Czyś oszalał kucpeze“! — rzekł jakiś chłop — „A pójdziesz ty precz z tą pałą? — Weź *se* ją, przyda ci się, oganiaj się nią, żebyś nie oberwał po uszach“!

I wziął za koniec kija, leżącego na szklankach, i podczas gdy Just trzymał jeszcze ciągle za drugi koniec, chłop na bok pałkę odtrącił.

To była zniewaga, wystarczająca Justowi za powód do zaczepki. Nie pisał ani słowa i nieruchomy, jak lalka w jasełkach, podniósł tylko nagle kij ramieniem równie zwinnym, jak silnym, wywinął nim nad głową, spuścił go na ten rząd napełnionych szklanek i potłukł je, tak, że szczerby rozprysnęły się na wsze strony po budzie. Jakby na dany znak, wszczął się powszechny

rozruch. Co żyło, zerwało się z krzykiem i wygrażaniem, a w ścisku i zamęcie chlupotały pod nogami — na razie jeszcze — kałuże jableczniku, lecz niebawem polać miała się i krew. Kobiety wydawały przeraźliwe piski, które podniecają wściekłość mężczyzn i rozdrażniają ich, jak dźwięk piszczałki. Chciały uciekać, a nie mogły przebić się w gęstym tłumie, który rzucił się na obu handlarzy zboża i chciał ich zdusić.

— „Zrobiłeś Waszmość Pan pierwsze pociągnięcie smyczkiem“ — rzekł do Justa le Breton de la Veresnerie z wrodzoną sobie uprzejmością — „ale jeśli mamy wygrać cały kawałek do samego końca, starajmyż się wyjść z tej budy, bo tu nie ma miejsca nawet na wykręcenie pałką porządnego młyńca“.

I usiłowali barkami, głowami, piersiami swemi przełamać natłok tak zbity, że pod jego nawalą mało nie pękały płócienne ściany budy, do której zbiegały się zewsząd nowe tłumy zwabione tem, co zaszło. Ale powódź ludzka wzmagała się z każdą chwilą. Aby tedy mieć zewnątrz posiłki, krzyknęli na towarzyszy, czekających dookoła namiotu, ci zaś, jak na komendę, porwali się, słysząc okrzyk :

— „Sam tu! Handlarze zboża!“

Musiałoby to być widowisko ciekawe! Tamci bowiem zawtórowali temu wołaniu trzaskiem okrutnych swych biczów i siec poczęli tłum, a harapy zupełnie jak ostrza z damasceńskiej stali, przecinały twarze. Był to istny atak, istna też wywiązała

się zeń bitwa. Cały las *jasionowych kołów* na ogromnej przestrzeni podniósł się w powietrze, jarmarku zaniechano całkiem, i nigdy przy młócece bijaki cepów nie padały tak gęsto na kłosy, jak w tym dniu kije tłukły po głowach. W owych czasach polityka siedziała ludziom tuż pod skórą; krew lała się strugą za byle uderzeniem, a barwę krwi rozpoznawano snadnie po pierwszej kropli przelanej. „To Partyzanci!“ — rozległy się na raz krzyki z dwudziestu stron. A na ten głos poczęto bić w bębny na larum. Owo bębnienie na alarm, któregośmy z wieży nie dosłyszały, rozległo się po całym Avranches, i miasteczko porwało się na nogi. Batalion Niebieskich Mundurów chciał z bagnetem w rękę przedrzeć się przez tłum falujący na targowicy, ale na próżno! Byliby musieli przebojem rozerwać ów natłok mężczyzn, kobiet i dzieci, mrowiący się wszędzie; ścisł ten samym swoim naporem zmiażdżyć mógł garstkę Partyzantów. Dwunastka, lub raczej Jedenastka, bo Vinel-Annis był w gmachu więziennym — kręciła się nakształt powietrznej trąby wirującej wpośród onego morza ludzi, którego odmęty były wprost na nich. Lecz oni siekli batogami i wywijali młyńce pałkami, zebrawszy się w sobie, i nie przerachowali się z siłami swemi. Kto tylko naciskał na nich, kto na ich razy odpowiadał razami, padał na miejscu pokotem.

Zresztą na całej targowicy powstał chaos nie do opisania: napór i falowanie olbrzymie tłumów, a wśród owej czerni, spłoszone zgiełkiem i bi-

ciem w bębny konie, stawały gdzie-niegdzie dęba i ogarniał je powiew bitwy, która jeła się toczyła na tym straszliwym placu; ponad głowami wspinały się tedy konie, ukazując przednie podkowy, a tu i owdzie stada wołów zbijaly się w kupę, stawały z rykiem jedne na drugich, wyprężaly się w grzbietach, wierzgały zadem, prostowały sztywnie ogony zupełnie jakby pod ukąszeniem bąków. Ale tam, gdzie Jedenastka młóciła, tam już nawet falowania tłumów nie było. Tam wylom się robił. Krew bryzgała i kurzyła się tumanem, jak woda pod młyńskim kołem! Tam nie można już było kroku zrobić, nie potykając się na ciałach, leżących jak skoszona trawa. To zaś, iż deptali po trupach musiało im widocznie przywieść jedną myśl do głowy, bo wszyscy Jedena-stu, siękąc, poczeli na raz wyśpiewywać wesolą starą śpiewkę normandzką:

Kośmy trawę, kośmy trawę,
Skoszona trawa odrasta.

Ale trawa nie odrosła. Gdybyś Waszmość chciał, pokazanoby ci nawet i teraz jeszcze to miejsce, gdzie owi straszni kosiarze zawodzili tę piosnkę. Trawa na tem miejscu nigdy nie porosła, bo wrząca krew, która tam ziemię oblała, musiała ją na wskrós przepalić.

Dotrzymywali pola mniej więcej przez dwie godziny... Lecz Cantilly miał złamane ramię, La Veresnerie głowę rozbitą, Beaumont obojczyk strza-

skany, a niemal wszyscy inni odnieśli cięższe lub lżejsze rany. Żaden z nich jednak nie padł. Stali wszyscy w opończach, tylko nie białych, jak były rano, bo je krew zabarwiła miast mąki. Nagle padł *Imci Pan Jakub* wśród radosnych okrzyków rozbastwionego chłopstwa, które sądziło, że nakoniec przecie udało się powalić jednego z tych wściekłych handlarzy zboża; boć dotąd wszyscy oni stali jak te kolumny, które dadzą się tłuc, lecz nie obalić.

Imci Pan Jakub nie był nawet rauny. Walecząc bezustannie, pomiarkował on jednak po słońcu — które się zniżać poczęło i z ukosa plac oświetlało — że już najwyższy czas zabrać się do Des Touches'a i dotrzeć do Vinel-Aunisa. To też ze zwinnością żbika przeslizgiwał się chyłkiem po przez nogi tłumu, bo cała ta tłuszcza miała uwagę skupioną wyłącznie na machaniu rąk. Jak nurerek, co w jednym miejscu znika pod wodą, aby wypłynąć na innym, tak on wyhynał się w znacznej odległości od głównego miejsca bijatyki i znalazł się wśród kupy ludzi, nie tyle zacierzwionych, jak wystraszonych.

Jakim sposobem zdołał się tam przedostać? Zrzucił kapelusz, ową *pokrywę od garnka*, któraby mu zawadzała; ale jak się stało, iż go nikt nie poznał po zbroczonej opończy i że go nie zabito, nie rozdarto na sztuki? On sam nie umiał nigdy tego wyjaśnić. Nie wiedział sam, jak się to stało, rzecz to bowiem zakrawająca wprost na nieprawdopodobieństwo. Ale Waszmość Panu wojna

ne nowina, na wojnie zaś rzeczy nieprawdopodobne dzieją się codziennie. Poprostu osłupieli z przestraszu.

Gdy się podniósł na nogi, wówczas z tego tłumu, przez który on przedarł się był chyłkiem, wielu rzucało się do ucieczki przed nim, przed człowiekiem, co sam wyglądał na to, że ucieka. Tak, w zamęcie panującym na targowisku, zdołał przedostać się do więzienia, gdzie Vinel-Royal-Aunis powinien był już przygotować ucieczkę Des Touches'owi. Lecz w więzieniu, a raczej po za murami gmachu więziennego, zastał... Niebieskich.

W samej rzeczy — były to Niebieskie Mundury! Widzieli oni, iż ani naprzód postępować nie mogą, ani się rozwinąć na targowisku szczelnie zapchanem, a zresztą byli tam zbyt liczni, bo w ich zastępstwie chłopstwo z pod Avranches biło się niezgorzej. Więc na pierwszy krzyk: „To Partyzanci!“ — ruszyli przyspieszonym marszem u więziennemu budynkowi. Oficerowie bowiem i żołnierze nie wątpili już teraz, iż bitwa, która się wywiązała na placu, wywołana była na to, by ułatwić odbicie Des Touches'a.

Jeśli Waszmość pamięta, Panie de Fierdrap, ów budynek więzienny — to właśnie wielką bramę w części jego środkowej, datującej z nowszych czasów, zastali Niebiescy zaryglowaną na cztery spusty; tam to wówczas mieszkała Hocsonowa. Wnuczka jej, którą Vinel-Aunis przewrócił był, rzucając jej stołeczek pod nogi, struchlała,

i pod groźbą pistoletu Vinela ust otworzyć nie śmiała, więc z zewnątrz wyglądało wszystko cicho i spokojnie. Przypuszczali też Niebiescy, że poprostu sama Hocsonowa, znana z odważnego umysłu, zatrzasnęła bramę dla wszelkiego bezpieczeństwa, na pierwszy odgłos onego rozgruch, jaki się wszczął między gminem a partyzantami. Pewni, iż baba pilnuje swego więźnia, stanęli w pogotowiu, by odeprzeć wszelki napad, a w danym razie nie wypuścić z gmachu żywej duszy, na wypadek, jeśliby kilku zuchwałych partyzantów poważyło się prześliznąć do więzienia, któreby wówczas było istną pułapką. Rozwięły się tedy na całej linii wzdłuż muru, gdzie konie przywiedzione na jarmark, stały rzędem uwiązane u żelaznych kółek, jak to już Waszmości mówiłam.

Musieli jednak rozstawić się dość daleko od koni, które huraganowi krzyków i wrzasków z targowiska wtórowały gniewnem rżeniem i szalonym wierzganiem.

Stanęli przeto w szyku, lecz na odległość dostateczną od straszliwej linii podkutych kopyt, które bez ustanku były w powietrze jak pociski, a mogłyby im pogruchotać kości.

Imci Pan Jakub patrzył na to wszystko. Z tego melankolika był bądź co bądź mąż nieustraszony! Wieczór zapadał. Czekał tedy, kryjąc się w tłumie, aż mrok nadejdzie... W pośrodku placu trzaskały jeszcze ciągle batogi. Upatrzył dogodnej pory, i z najzimniejszą krwią zdobył się na

take zuchwałstwo, iż pod brzuchami spłoszonych i zdziecziałych koni dokonał tego samego, co zrobił był wprzód pomiędzy nogami ludzkimi w tłumie. I przemknął się pomiędzy murem a Niebieskimi Mundurami.

Dla niego bowiem nie ulegało wątpliwości, iż Vinel-Aunis musi być w gmachu więziennym. Świadczyła mu o tem zaryglowana brama. Niezawodnie Vinel-Aunis zatrzasnął ją na wszelki przypadek...

Z nadejściem nocy tłuszcza na oślep dusząca się na placu targowym, zrozumiała w końcu, że trzeba rozproszyć się w ulice. Ale rozchodzące się tłumy spotykały się z nowymi ciżbami, płynącemi w przeciwnym kierunku. Zbijali się tedy z sobą i zderzali. Słychać było po nocy bębnienie na alarm we wszystkich dzielnicach Avranches i rozlegał się krótki, ucięty krzyk: „Do broni!“ Gwardya Narodowa i żandarmerya chciały tak samo, jak wprzód Niebiescy — dotrzeć aż do miejsca, gdzie trwała jeszcze ciągle mordownia. Lecz tak samo, jak Niebieskim Mundurom, stawiała im zaporę nieprzełamaną, bezmierna tłuszcza, nazbyt gęsta, by można było utorować sobie przez nią przejście, chyba na pałaszach roznieśćby ją było trzeba.

Okoliczność ta, przewidziana z góry i obrachowana w zamiarach Dwunastki, ochroniła ich przed atakiem na bagnety i przed ogniem karabinowym, ale w końcu nie wyszła im na korzyść. Otoczeni ze wszech stron gęstą nawałą czerni,

robili w niej wprawdzie biczami i pałkami szcerby i zwolna rozszerzali zamykające ich koło, ale przelamać tłuszczę nie mogli: podobnie cebrzyka nie zdoła rozsadzić, kto tylko nadwergęza jego klepki. Tak tedy ani cofnąć się, ani rozprószyć nie mogli. I tego właśnie obawiał się *Imci Pan Jakub*. Przyczółgał się do bocznej furtki, wspiął się po rozrośniętych bluszczach, co pokrywały ścianę więzienia i przez małe zakratowane okienko puścił przyciszonym głosem hukanie puszczyka, chcąc tym sposobem dać znak Vinel-Aunisowi. Ten zaś, usłyszawszy go, po cichu odemknął bramę.

— „Gdzie Des Touches“? — spytał go *Imci Pan Jakub*.

Ale Vinel-Royal-Aunis oblał go wnet zimną wodą, opowiedziawszy, jak dozorczyńni zbiegła mu i śmiała zamknąć się na klucz razem z więźniem w turmie.

— „Des Touches, gdyby nie kajdany, strzaskałby ją na kolanie, jak trzeinę“ — dodał Royal-Aunis — „ale jest zakuty w łańcuchy, a przez drzwi z kaźni nic nie słyhać. Hocsonowa zaś, Bóg widzi — zdolna zażgać go nożem“.

— „Jutro się o tem dowiemy“! — rzekł *Imci Pan Jakub*. — Umiał bowiem szybko powziąć postanowienie, jak na prawdziwego wojownika przystało. „Dziś wieczór myślny tylko o ratowaniu u tych, którzy się tam biją. Trzeba ich oswobodzić i zmusić ten tłum, aby się odwrócił, a na

to jest jeden tylko sposób... Podpalimy więzienie“!

— Ślicznie! — rzekł Imci Pan de Fierdrap z zapalem znawcy. — „Jako środek wojenny, był to wyborny sposób. Ale do stu karpiów! — rzecz niełatwa podłożyć ogień pod więzienie w Avranches, bo to gmach z wilgotnego granitu i niezapalny, jak cembrowina studni“.

— „Bo też to, co w ogniu stanęło“ — mówiła dalej Jejmość Panna de Percy — „to ów świeższej daty budynek, łączący wieże, w którym dozorczeni mieszkała. Nad budynkiem tym był olbrzymi strych, zapchany sianem dla żandarmeryi miejskiej. Tam wzniecił pożar *Imci Pan Jakub* z Vinel-Aunisem, dając dwukrotnie ognia z pistoletów. Sucho było i skwarno, więc w mgnieniu oka buchnął płomień z tych składów siana i z przerażającą szybkością wzbil się na dach. Pożar był tak gwałtowny, że łupkowe pokrycie dachu poczęło zaraz pękać i wylatywać w powietrze. Ogień ogarnął w jednej chwili sploty odwiecznych bluszczów, które pięły się po wieżach tak, iż obie stanęły jakby w ognistej szacie. Wieże te nagle zmieniły się w dwie olbrzymie pochodnie i oświetliły całą targowicę od końca do końca i — jak zapowiedział *Imci Pan Jakub*, zmusiły tłuszcę, by odwróciła głowy. Na widok niespodziewanego blasku, deszcz trwogi przeleciał ponad tysiącem głów, jakby mignięcie błyskawicy, i wszyscy wzdrzgnęli się wśród zacieklej bójki. Bo teraz już nie szło o zgładzenie garstki Partyzantów,

ale o Avranches! o Avranches, które mogło spłonać do szczętu. Więzienie bowiem stykało się z pierwszymi domami śródmieścia, a te przecie nie były z granitu i zajęłyby się, jak hubka. W gęstym tłoku ogromnego zbiegowiska porobiły się nagle rysy, jak w murze, który ma runąć. A co najstraszniejsze, że woły, nagromadzone setkami, a do tej pory ciżbą ludzką unieruchomione, rozjuszyły się na widok buchającej czerwieni pożaru, która je w oczy razila i jęły uciekać przez owe szczeliny, otwierające się w tłumie, rozpychały go, miażdżąc ralicami i rogami wszystko, co stało na drodze. Zaczęła się nowa mordownia, gorsza, niż ta, którą sprawili Jedynastu. Ci, niczem nie poruszeni, dalszą rzeź czynili na drugim końcu targowiska. W sam raz przysła im ta odsiecz, bo ręce już im opadały... Bicie trzaskały ciągle jeszcze, ale coraz to ciszej. Trzaskanie onych batogów słabło za każdym zamachem. Kupy zbuczonych ciał leżały wokół, a krwawe błoto za każdym chłaśnięciem biczów bryzgało prosto w twarz przeciwnikom.

— „Reboszu“ — rzekł Saint-Germain do Campiona, zowiąc go jego żołnierskim przydomkiem „na dzisiaj dość tej siekaniny“!

A potem dodał, zawsze wesół, jak szczygieł:

— „Byłoby nam ciepło, gdyby nie... ten pożar, ale to nam odwrót umożliwi. Nie minie i pięć minut, a wszystko poleci do ognia“.

— „Zepryjmy się plecami, Mości panowie“! — zawołał la Veresnerie — „i zejźmy z placu. By-

leśmy się dostali w ulice, zaczniemy wojnę podjazdową. Ulice w Avranches, dzisiejszej nocy obstoją za zarośla“.

Zrobili tedy zwrot plecyma do siebie pod osłoną batogów i kijów, którymi po mistrzowsku władali I posuwali się miarowym krokiem wśród przeredzającej się ciżby, co rozsypywała się przerażona pożarem, a woły, rozhulane, uganiały tam i sam, jak wichry, obalając i tarasząc gawieź. Tak zdołali bez straty w ludziach cofnąć się narazie z onego placu, gdzie od trzech godzin broczyli we krwi do kostek i gdzie — jak w kilka dni później mówił Le Planquet, „nie na żarty odchodziła młocka, że lepiej nie młócono nigdy w całym Cotentinie“!

— „Wiesz ty, mój Fierdrap, że to impreza równie świetna, jak bitwa pod Fontenoy?... — rzekł ksiądz, zadumawszy się głęboko, gdy siostra jego sapiała zaperzona tak, że o mało nie kurzyło jej się z głowy z pod zielonego i pomarańczowego czepca.

— „To bodaj nawet świetniejsze!“ — odparł baron.

„Ten mały oddziałek Jedenastu nie dał się rozbić, lecz owszem, oni rozbili hordę chłopstwa, która ich oskrzydliła i zamknęła z frontu i z tyłu. A zamiast dział mieli tylko zwykłe biece. Niech mnie licho porwie, jeśli to nie świetniejsza batalia“!

Bohaterka partyzantów tak dalece brała sobie do serca czyny swych towarzyszków broni, że choć

sama w tej walce nie była, jednak uśmiechnęła się mile do dawnego ułana, chcąc mu podziękować za pochlebny sąd; zaczęła dalej rzecz prowadzić:

— „Przedarli się na ulice, i tu kilka kulek świsnęło im nad uszama. Ale księżyc nie wszedł jeszcze, a choćby i był wszedł, to i tak dymy pożaru gęste i rude rozścielały się nad miastem ciemną oponą i nie byłyby przepuściły miesięcznego światła. Ciemno było w tych ulicach wąskich, nie było jeszcze bowiem latarni, jak dzisiaj. Dochodziło ich nie z rzadka bzykanie kulek, obijających się o zręby fasad, ale się też i na tem skończyło. Mogli więc, nie wszczynając nowej bitwy, minąć przedmieścia i zgromadzić się, stosownie do poprzedniej umowy, pod nawpół zburzonym łukiem starego mostu, z którego nie więcej nad ów jeden łuk nie pozostało. Zwał on się *Księżym Mostem*, może z przyczyny czarnej barwy kamienia. Pod tym opustoszałym łukiem sączyła się cienka, nakształt nitki, rzeczulka o brzegach głęboko podebranych. Tam przeliczyli swe siły. A że nie wiedzieli zgoła, co się dzieje z *Des Touchem*, i że im wielce na sercu ciążyła nieobecność dwóch towarzyszków, którzy się do apelu nie stawili — przeto postanowili do *Avranches* powrócić — i powrócili. Pod łukiem *Księżego Mostu* poniechali skrwawionych opończy, bo tem byliby się jawnie zdradzili. Poszli — rzekłbyś, robotnicy z przedmieścia spieszą co tchu do ognia, nie narzuciwszy na się

w pośpiechu wierzchniego odzienia. Poniechali także i wielkich owych kapeluszków i głowy obwiązali tylko chustkami umoczonemi w rzeczułce. Ci zaś, którzy rany odnieśli, omyli je tam w wodzie. Sam jeno Cantilly został, oczekując towarzyszy; położył się na stosie zbuczonych opończy, bo złamane ramię sprawiało mu ból dotkliwy. Lecz niedługo na nich czekał. Wrócili niebawem. Weszli na plac, kędy tłum toczył się w przeciwnym kierunku i zajęty był gaszeniem pożaru — zrozumieli to odrazu, że wszystko stracone. Hocsonowa, która stała była w zakratowanym okienku kaźni i pożerała wzrokiem wszystko, co się działo na placu — teraz właśnie otwarła Niebieskim drzwi owej celi, gdzie zamknięta siedziała wraz z więźniem.

— „Macie go!“ — rzekła im, wskazując skrępowanego łańcuchami i porzuconego na podłodze. — „Tu jest łotr! — Słyszałam doskonale, jak się *łomotali* do drzwi i chcieli je podpalać. Lecz choćby w tem więzieniu nakładli ognia, jak w chlebowym piecu, to jużbym się prędzej dała wspólnie z nim żywcem uskwirzyć, niżbym go miała wydać w czyje ręce, chyba w ręce rakażca, boć on się katu patrzy!“

Imci Pan Jakób i *Vinel-Aunis* rzeczywiście usiłowali zapalić owe drzwi, ale zbyt mięzsze były i nie dały się podpalić, ani wyważyć. I nie przestawali wysiłków, aż tłumy, poskromiwszy pożar, wpadły na korytarze i na schody więzienne. Wówczas dopiero rzucili się w całym pędzie głową

naprzód, z pistoletem i pochodnią w rękę i przedarli się szczęśliwie, ku czemu dopomógł im ogień, dym i zamęt, wywołany wtargnięciem Niebieskich Mundurów do więzienia; ci bowiem jak opętani lecieli na łeb i szyję do kaźni Des Touches'a.

Z *Imci Panem Jakubem* zobaczyłyśmy się właśnie wtedy, gdy prosto stamtąd był wyszedł. Zapewne myśl o Amacie przygnała go do Touffedelys przed przybyciem reszty towarzyszków. Ale w dwanaście godzin po nim powrócili wszyscy, krom Vinnel-Aunisa. *Imci Pan Jakub* nie wiedział, co się z nim stało. Myśleliśmy, że zginął. Ale nie; dostał w brzuch okropne pchnięcie bagnietem od jednego z Niebieskich i zdobył się na tyle siły, że uszedł lasami blisko ćwierć mili, przytrzymując rękoma uciekające wnętrzości, i tak dotarł do lepianki, gdzie mieszkał stronnik partyzantów, chłop trudniący się wyrobem drewnianek. Lecz myśmy się dopiero później dowiedzieli tych wszystkich szczegółów.

Cóż się jednak działo z Des Touches'em? Aby *jutro zacząć na nowo* jak się wyraził *Imci Pan Jakub*, trzeba było mieć wieści o Des Touches'u. A wieść o nim żadna do Touffedelys nie nadechodziła.

Kobieta mniej budzi podejrzania od mężczyzny. Ofiarowałam się przeto tym Ichmościom, że pójdę do Avranches zasięgnąć języka.

Zgodzili się — więc poszłam, Mości Panie de Fierdrap. Nie była mi to nowina, jak Wasz-

mości mówiłam. Niejednokrotnie chadzałam już ze sztafetami do wodzów po rozmaitych kwadrach i nieraz już przywdziewałam wszelakie przebrania. Chcąc wmieszać się niepostrzeżenie pomiędzy ludzi w mieście, i dla uniknięcia możliwych podejrzeń przebrałam się za kobietę z gminu. Wdziałam spodnicę cycową. Włosy moje, od kąd wojna wybuchła, nie widziały pudru, krom tego, którym się pudruje wroga; przykryłam je rodzajem kefu granvillskiego, co wygląda jak serweta we czworo złożona i przypięta do głowy. Na stadną klacz nałożono z obu boków dwie opalki i terlicę obciągniętą sierciastą skórą wołową. Dosiadłam kobyły bokiem, jedną nogę w drewniance trzymałam w opalce, a drugą zwiesiłam wzdłuż szyi końskiej i pojechałam do Avranches dobrym truchtem. Miałam pełne opalki wybornych oselek masła owiniętych liśćmi winogrodu. Mówiłeś przed chwilą, mój bracie, o tych spodniach aksamitnych w paski i o moich wysokich butach, dochodzących do pół uda? — (dodała z tym jedynym rodzajem zalotności, na jaką ją stać było, niby z przechwałką, iż w takich swego czasu chadzała) — „ale tego dnia, Mości braciszku, siostra twoja a krewniczka Northumberlandów była poprostu przekupką z przedmieść granvillskich. Tak, przekupką była chwilowo Barbara Petronela de Percy-Percy!“

— „Raczej Barbaryusz-Petronel“ — ozwał się ksiądz z uśmiechem — „bo zaiste godna byłaś mężem się urodzić!„

— „Ha, trudno“ — odrzekła, śmiejąc się także — „stało się inaczej, a bardzo tego żałuję, zwłaszcza teraz, gdy już raz na zawsze musiałam przywdziać te nudne kiecki babskie, w których mi tak do twarzy, jak grenadyerowi. Ale wtedy nie miałam jeszcze tak męskiej miny, ani takich wąsów, jak teraz na starość, lubo już i wtedy sypał mi się pod nosem czarny meszek, nadający mi kaducznie rezolutny wyraz twarzy przy tej serwecie złożonej we czworo. Określił to najlepiej jakiś drapichrust w Avranches, który obcesowe umizgi stroił do wszystkich kobiet na targowisku, a mnie poważył się oburącz objąć w pól i ścisnąć kibić moją klocowatą. Trzepnęłam go za to co siły po palcach rączką noża od masła.

— „Nie wydziwiaj-no takich ceregieli“ — rzekł mi oburzony — „bo nie ma o co, gdyż prawdę mówiąc, dzieweczko, nie jesteś ty tak świeża, jak twoje masło!“

— „Alem więcej słona“ — odstrzeliłam się, podpierając się kulakiem w bok, jak prawdziwa śledziarka z Bréhat — „poważ się tylko spróbować nieponiu, a zobaczysz!“

To było jedyne niebezpieczeństwo, mój bracie, na jakie naraziła się w Avranches siostra twoja. Targ wypadł mi wybornie, co się zowie. Sprzedając oseeki masła, uzbierałam całą oseekę nowin. Wywiedziałam się wszystkich wieści i wszelkich plotek w mieście. Nie ochłonęło ono jeszcze z trwogi, jaką rzuciła Dwunastka. Wszędzie mó-

wiono tylko o Partyzantach, przebranych za handlarzy zboża i o podłożeniu ognia w gmachu więziennym. Powtarzano, zapewne nie bez przesady, liczbę osób, zabitych w owej bijatyce. Pokazywano sobie jeszcze na targowicy kałuże krwi. „Ale przynajmniej uwolniliśmy się od Des Touchesa!“ — wołali tchórze. Partyzanci nie mieli już po co wracać; następnej nocy po tym dniu straszliwym i po tych wypadkach, które tak głęboko wstrząsnęły całym Avranches, przewieziono potajemnie więźnia. Rzucono go w kajdanach na wózek, pokryto deskami i cały batalion Niebieskich mundurów odstawił go do Coutances, po cichu, bez bicia w bębny ni trąbienia. Tam, nad nim miał się odbyć sąd i niezawodnie spotka go wyrok śmierci.

Co tchu powróciłam do Touffedelys, aby powiadomić towarzyszy o tej zmianie więzienia Des Touches'a. Skutkiem tego przewiezienia oddalał on się nam znacznie z pod boku, a zarazem dostawał się do więzienia nierównie ostrzejszego, niżeli wprzód, a tem samem zadanie nasze było teraz niepomiernie utrudnione. Na wojnie wszelkie działanie nieudane, staje się do wykonania powtórnego już przez to samo trudniejsze, że się raz nie udało: nieprzyjaciel zna zamiary i ma się więcej na baczności.

Jmci Pan Jakub wyraził myśli wszystkich swych towarzyszków, mówiąc, że trzeba rzecz całą rozpocząć znowu nazajutrz.

— „Mości Panowie“ dodał — „skorzystajcie z dnia dzisiejszego, by rany opatrzyć. Jutro oddamy je wrogom. Musimy za dwa dni stanąć pod Coutances, aby odegrać partycję przegraną. Coutances jest warownią silniejszą od Avranches, my zaś obecnie słabsi jesteśmy, niż wprzód: jest nas teraz tylko jedenastu“...

— „Jest was ciągle jeszcze dwunastu, Mościpanowie“ — odparłam na to — „jedenastka, to liczba nieokrągła, mogłaby przynieść nieszczęście. Skoro Jmci Pan Vinel-Aunis nie powrócił, ofiaruję się na jego miejsce. Nie jestem-ci ja wprawdzie najpiękniejszą dziewczyną na świecie, ale i najpiękniejsza nie zrobi z siebie więcej, niżli zrobić może“.

Takim to sposobem, baronie, wzięłam udział w drugiej wyprawie Dwunastu, i na własne oczy widziałam rzeczy takie, że jako żywo podobnych czynów nie zobaczę nigdy. O nich teraz opowiadac mi wypadnie.

VI.

Przerwa pomiędzy dwiema wyprawami.

Jejmość Panna de Percy zatrzymała się jeszcze przez chwilę. Pozłacany Bachus wybił godzinę głosem dźwięcznym i srebrzystym. Wskazówka zwolna zbliżyła się ku północy, czyli jak mówią, ku godzinie upiorów. A czyż nie podobni byli do upiorów ci ludzie z przeszłości, zgromadzeni w tym niewielkim saloniku, co tak po staroświecku wyglądał? — i rozpowiadający sobie o swej młodości przebrzmiałej i o tylu wielkich rzeczach, co niegdyś przed ich oczyma w nicosć się rozwiały? Zwłaszcza Urszula i Sankta de Touffedelys mogły uchodzić za dwa widma; biedne, ciche mary! Błede i zasuszone, z wyblakłemi włosami na czole, trzymały ciągle jeszcze w długich, cienkich palcach swe krosienka, obciążone zielonem przezroczystym sitkiem, które im służyły do zasłaniania się od ognia na kominku. Poprzez tę gazę płomień gasnący rzucał na bezkrwiste ich twarze odbłask, niby ementarnej miesięcznej poświaty.

Baron de Fierdrap, książdz i jego siostra, o gorętszej cerze i bardziej błyszczącym wzroku, mieli w sobie więcej życia i ożywienia. Ale nie były w istocie te wspomnienia, które ich ożywiały czemś równie znikomem, jak nocne widziadła, co się w nicość rozplywają o brzasku?... A najmłodsza z nich, Amata, której piękność wymownie świadczyła, iż mniej od tamtych wiek na niej zacieżył — Amata, zajęta haftem, który w niej zajęcia nie budził, ta samotna i na milczenie, skutkiem głuchoty skazana — Amata, co duszą wyrwała się ku drugiej duszy w krainę śmierci — nie byłaż ona z pośród nich wszystkich najbardziej umarłą i niby wracającą ze świata snów istotą?

— „Był to uroczysty dzień w Touffedelys“ — podjęła na nowo Jejmość Panna de Percy — „dzień przed naszą wyprawą do Coutances. Ja przynajmniej, choćbym sto lat żyła, zawsze pamiętać będę z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, począwszy od tej wojennej wieczornicy. Zaczęło się oczywiście od opatrywania rannych; a ranni z ran swoich się śmiali: to sposób najlepszy, by się odniesionymi ciosami poszczycić. Najciężej ranny, a co za tem idzie, najskorszy do żartów i najświegotliwszy był Imci Pan de Cantilly. A ty moja droga Sankto — mówiąc nawiasem — dałaś mu z takim wdziękiem swą chustkę, jak wówczas noszono, na modłę Maryi Antoniny. Pamiętasz? Nie prawda? Dość mu było poprosić o nią uprzejmie: „Jeśli Waszmość Panna chce, by

mnie ramię nie bolało, daj mi Waszmość Panna swą chustkę z szyi... na temblak. Za to drugą ręką będę jeszcze tem dzielniej dokazywał. Ty nie dałaś się dłużej prosić, zdjęłaś chustkę z karku — moje kochanie — i dałaś mu ją natychmiast; mógł czuć jeszcze na niej ciepło twojej szyi.

Po rannych przysła kolej na broń. Udało nam się przechować trochę broni w zamku, który na pozór zbabiał był już zupełnie — obecnie doprowadziłyśmy ją do ładu. Jakie dziesięć par ślicznych rączek zasmoliło się przy robieniu nabożów, a między niemi także i te ręce, które tam pod lampą haftują, Mości Panie de Fierdrap. Nas, kobiet było wtedy z piętnaście w Touffedelys. I lubo nie powiódł się zamiar Dwunastu względem Des Touches'a, mimo tego zaraz odzyskałyśmy wesołość, skoro tylko po niepokoju o ich los nastąpiła pewność tego, co się stało. Tak odzyskiwałyśmy zwykle po klęskach tę wesołość, płynącą z niezłomnej nadziei! Wszystkie, co do jednej, wierzyłyśmy w naszych bohaterów. „Nie udało im się wczoraj, to nie — uda się im jutro“! mówiłyśmy sobie my — i każda z was, Moście Panny, w których kobiecości więcej było, niż we mnie, odnajdywała w sobie zasoby uśmiechów i żartów młodocianych wśród wojennych naszych zatrudnień. Nawet Amata, zawsze poważna, jak królowna, widząc, że jej narzeczonemu z pierwszej wyprawy cało powrócił, mimo wstydlivosti wrodzonej rozkwitła pełnią uczucia, które było czemś

więcej, niż miłością, bo dumą i szczęściem! Była zawsze, jak wspaniała zamknięta róża i przez całe życie pączkiem tylko została różanym; jedno raz widziałam, jak się wychylała, ukazując wewnątrz kielicha — a było to właśnie w przeddzień wyprawy naszej na Coutances, w przeddzień onego ciosu, który spaść miał na nią.

Nie miała zgoła przeczucia o tem, co tak prędko już miało nastąpić. *Jmci Pan Jakub* smutniejszy tego dnia, niż kiedykolwiek w gronie rozbawionych druhów, gdy nam powiedział swoje przeczucie, iż zginąć mu przyjdzie w tej drugiej wyprawie...

—„Tak jest“ — przerwała Jejmość Panna Urszula — „do mnie to mówił i do Feby de Thiboutot — nas bowiem za sąsiadki miał przy stole, podczas wieczerzy, po której mieliście wyruszyć w nocy. Było to już przy wetach. Ichmoście wszyscy bardzo żywo rozprawiali o dniu jutrzejszym, jakby o jakiej uroczystości. Pili za zdrowie Króla Jegomości i za pomyślne wyzwolenie Des Touches'a. Sam tylko *Jmci Pan Jakub* siedział ponury i nie tknął kieliszka. Feba de Thiboutot, która niedawno bawiła w Touffedelys, i która zresztą była nieco trzpiotowata, odezwała się doń dziecinnie, bo też, co prawda, dzieckiem niemal była: — „Czemu tak smutny jesteś Waszmość? Czy nie wierzysz, by się powiodło uwolnienie Kawalera“... On zaś odrzekł, patrząc na Amatę, jak gdyby tem spojrzeniem wszystko się tłumaczyło: — „Za pozwoleniem, Mościa Panno;

wierzę najmocniej w uwolnienie Des Touches'a, lecz pewien jestem, że przy tem zginę!" — „Więc dlaczegoż Waszmość tam idziesz?“ — zapytałam go. Boć po tem wszystkim, czego dokazał i po tem, co w okolicach Main'u o nim opowiadano, niesłychana jego odwaga nie ulegała chyba wątpliwości. Odezwał się takim głosem, że mnie aż w sercu zakłuło i nie zapomnę nigdy jego wyrazu twarzy, gdy mi odpowiedział: — „Mościa Panno, iść powinienem tembardziej!“

— „Otóż“ — mówiła dalej Jejmość Panna de Percy — „to przecucie *Jmci Pana Jakuba* ostrzegło go przed jego przeznaczeniem. Ja na takie przecucie byłabym wzruszyła ramionami, aczkolwiek później zastanawiało mnie ono głęboko. Amata owych jego przecuć nie podzielała. Zdawało jej się zapewne, że zdoła mu je wypłoszyć z serca, doprowadzając do skutku swój zamiśl, co też, uczyniła tego wieczora. A zamiśl ten musiał do najwyższego stopnia upoić radością człowieka tak rozmiłowanego; wszelką myśl o przyszłych niebezpieczeństwach miała mu zatrzcć w pamięci chwila obecna, zalewająca go bezmiarzem szczęścia!

Z prostotą, jaka cechuje miłość tak szczerą i głęboką w duszach tak wstydlivych jak jej dusza — powiedziała nam już była przecie, że z *Jmci Panem Jakubem* związana jest słowem. Odtąd pomiędzy nią a nami nie było już mowy o tem: ona bowiem zbyt zamknięta była i nazbyt powściągliwa, my zaś nazbyt ufne w szlachetność

jej serca, by ją wypytywać o *Jmci Pana Jakuba*. Kimkolwiek był — miał zaszczyt być narzeczonym Jejmość Panny Amaty de Spens, i to nam wystarczało. Lecz tego dnia Amata zapragnęła, iżby się dla niej stał czemś więcej: chciała, by mężem jej został w obliczu wszystkich. A że naówczas nie było już w Touffedelys kaplicy a księdza można by ze świecą szukać na dziesięć mil wokoło, więc ślubu wziąć nie było można. Ona jednak pragnęła małżeństwa przynajmniej przez ślubowanie wzajemne i przez obopólną przysięgę wobec dziesięciu ludzi, jego braci po szabli, z którymi nazajutrz miał ruszyć na walkę może śmiertelną“.

— „Ba, ba! Zaczyna mnie na dobre zaciekawiać ta wasza Jejmość Panna Amata!“ — odezwał się baron de Fierdrap w prostocie ducha.

— „Ciesz się to niewymownie!“ — rzekł ksiądz drwiąco — „czy i dotąd jeszcze gotówes przed nią dać prym swemu delfinowi, który, — prawdę mówiąc — nie otarł się nawet o prawdziwego delfina? O ty rybitwo — mądrości pelen“!

— „Zaciekawia Waszmość Pana?...“ ozwała się skwapliwie Jejmość Panna de Percy. Poprzez nawiasowe zdania słuchaczy i poprzez wszelakie przerwy umiała ona równie dzielnie przewlec nie swego opowiadania, jak przewlekała igłą włóczkę poprzez kanwę haftu. — „Nie dziwi mnie to bynajmniej, Mości Panie de Fierdrap! Raz tylko w życiu widziałyśmy Amatę w działaniu na wła-

sną rękę — było to onego wieczora — i przy sięgam Waszmości, że nie przyniosła wstydu swemu rodowi... Ten wieczór okupił całe jej życie. Bo życie jej całe było nieszczęściem, wdowieństwem, głuchotą, było strzępem całunu, który przesłania marzenia, było, jak życie fiołka, co na mogile rośnie. Ale tego wieczora, gdy postanowiła odprawić publiczne zręgowiny z *Imci Panem Jakubem*, — jako iż była z nim już po cichu zaręczona, — wówczas dała nam, za jednym razem — miarę tego, czem być mogłaby, gdyby nie to, że okoliczności nie dorosły do wielkości jej ducha — jak się to częstokroć w życiu zdarza.

To, czego chciała, odbyło się tak, jak chciała i dodało jeszcze więcej uniesienia dniowi temu i tak już pełnemu szlachetnych uniesień i męskiej wesołości. Amata nie zwierzyła się przed nikim z tego, że ma zamiar zlać na człowieka, który ją kochał, tyle szczęścia, by w niem roztopiły się wszelkie smutki, i że chce włożyć mu na skroń tę koronę, która świeci blaskiem serdecznej uciechy. Może usłyszała to, co tobie Urszulo, *Imci Pan Jakub* odpowiedział, a może i nie potrzebowała słyszeć, by wiedzieć, ile smutku było w tem sercu, jej tylko oddanem... Dość, że w chwilę później wstała od stołu, a najlepsza jej przyjaciółka Jejmość Panna de Montevreux, wyszła z nią razem. Nikt na to nie zwrócił uwagi; rozmawiano o jutrzejszej wyprawie i o tym wyjeździe oczekiwany i upragniony, który miał nastąpić za kilka godzin... Nagle, po jakimś czasie — nikt nie

zdawał sobie sprawy, po jakim — wróciła z Joanna de Montevreux do sali zamkowej. Gdy weszła, na progu zaraz uczyniła nam wrażenie zjawiska. Nie była to już ta sama kobieta. Ubrana była cała w bieli... A ze sposobu samego, w jaki podeszła do stołu, gdzieśmy siedzieli, wszyscy poczuliśmy, a ja pierwej, niż inni — baronie — że stanie się coś nadzwyczajnego.

— „Mości Panowie“ — rzekła głosem zmienionym, w którym brzmiało wzruszenie, ale zarazem i stanowczość — „odjedziecie niebawem. Kiedyż wrócicie i ilu was wróci?... To wie jeden tylko Bóg! Jeden z was, z waszej Dwunastki, nie wrócił z Avranches. Może braknąć jednego... i kilku braknąć was może za najbliższym powrotem. Otóż chciałam, póki tu jeszcze wszyscy jesteście, prosić was na świadków małżeństwa mego z *Imci Panem Jakubem*... Czy przyjmujecie?“

Powiedziała to tak dobrze ta Amata! Mówiąc te proste słowa, tak była od stóp do głowy hrabianką Amatą-Izabellą de Spens, że nie mogłaby wyglądać bardziej na hrabiankę nawet pod magnackim stropem rodowej swej siedziby. To też wszyscy romantycznie nastroszeni, jak bohaterom przystało, wstali niemal bezwiednie od stołu i na cześć jej wzniesli okrzyk, lubo kilku z nich pobladło, bo — bo jak to Waszmości mówiłam już, Panie de Fierdrap — kochali się w niej wszyscy... Jedni, nadzieją się łudzili, drudzy beznaściejnie cierpieli — ale się w niej wszyscy ko-

chali. I o ile mi się zdaje, mówiłam Waszmości także, że krewna jej, Jejmość Pani de Portelance zapewniała mnie, iż ją wszyscy o rękę prosili.

Kiedy skończyła mówić, spojrzałam na *Jmci Pana Jakuba*. Wiesz Waszmość Pan, że nie był w moim guście. Ale w tej chwili rada z tego byłam; miał wyraz twarzy nie do opisania. Gdyby mu na głowę włożyła była królewską koronę, nie mógłby wyglądać dumniej!...

Zaskoczony tem nagle, bardziej jeszcze niż inni — wstał wespół z innymi i chwiejnym krokiem postąpił ku niej.

— „Oto ręka moja, Waszmości ją oddaję!“ — rzekła, wyciągając dłoń ku niemu.

Byłby jej może do nóg runął od nadmiaru szczęścia i dumy, ale się uchwycił tej ręki.

— „Bądźcie Waszmoście świadkami“ — mówiła, za każdym słowem coraz śliczniejsza i coraz wspanialsza — „że ja, Amata de Spens, hrabianka de Spens, margrabianka de Lathallan, tu obecna, biorę sobie za małżonka i władcę *Jmci Pana Jakuba*, na teraz żołnierza w służbie Jego Królewskiej Mości naszego Miłościwego Pana. Konieczność — w tych smutnych czasach, gdy ni kościoła niemasz, ni kapłana — zmusza mnie czekać dni lepszych, na potwierdzenie i uświęcenie tego uroczystego związku, który zawieram dzisiaj. Zaczem pragnęłam przynajmniej przed Waszmościami, jako przed chrześcianami i szlachtą (a chrześcianie w czasach takiego dopustu są nieomal kapłanami!) chciałam przed Waszmo-

ściami przysiądz dobrowolnie posłuszeństwo i wierność *Jmci Panu Jakubowi* i ślubować mu wiarę i życie moje“.

Stali oboje, jedno przy drugim: ona cała jaśniejąca, on jakby opromieniony jasnością.

— „I pomyśleć“ — dodała ze smutkiem i żalem — „że niema nawet krzyża, żebym na nim wykonać mogła przysięgę!“.

— „I owszem! Mościa Pani“ — rzekł z zapalem Beaumont, któremu przyszła iście rycerska myśl do głowy. — „Skrzyżuj szpadę z moją szpadą“ — powiedział do stojącego przed nim La Veresnerie.

Skrzyżowali je i był krzyż.

I na tych dwóch skrzyżowanych brzeszczotach, które za parę godzin mogły się krwią zaczerwienić, *Amata de Spens* i *Jmci Pan Jakub* wzajemnie sobie przysięgli to, co byliby przysięgli przed ołtarzem, gdyby w *Touffedelys* był ołtarz pod ten czas. Wszystko to było tak nagle i w onej swojej nagłości tak szczytne, Mości Panie de *Fierdrap*, że po trzydziestu latach chwilę tę mam jakoby ogniem wypisaną w pamięci, i widzę dotąd błyskawicę dwóch tych szpad, co rozświetliła czoła tej parze narzeczonych w przeddzień bitwy a nazajutrz „rozręczonych“ zgonem!

— „To mi zrękowiny, co się zowie!“ — ozwał się *La Bochonnière*, najmłodszy z *Dwunnastu*. — „Ale na zrękowinach tańczy się zwykle. — Gdybyśmy tak potańczyli“?

WŁASNOŚĆ NIE POZBYWA SIĘ
ŚWIETLI
KONTO NIE P. P. T. 1890

Jak iskra na prochy, tak myśl ta padła na te umysły zapalne od lada iskry. W mgnieniu oka wyniesiono stół i każdy z nich stanął na miejscu, trzymając za rękę swą tancerkę. Jeśli tam były serca złamane, to nóg złamanych z pewnością nie było, więc tańczyli... zupełnie tak, jak się bili na targowisku w Avranches; i tym razem na sumieniu mieli także cudze ręce poobijane, ale nie czyje, tylko moje własne“...

— „Jakto“? — zapytał baron de Fierdrap, który nie zrozumiał na razie, a nos jego haczykowato wygięty pod trójlistnym płatem odmrozi-
ziny, przybrał w tej chwili kształt okazałego wykrzyknika.

— „Nie inaczej, baronie“ — odpowiedziała — „bo ja im bez wytchnienia grałam tak, że tańczyli, jak opętani, do trzeciej rano. Ja byłam lutnistą na tych godach. Aczkolwiek, dzięki wojnie, nie byłam tak słoniowata, jak obecnie, jednak i wówczas nie bardzo się nadawałam z kibici na tanecznicę, więc mogłam się w sali balowej przydać jedynie na gęślarza. Grałam nieźle na skrzypcach, jak wiele kobiet za moich czasów. Pomniesz bowiem baronie, że w zeszłym wieku były takie lata, gdy paniom strzeliło do głowy grać na skrzypcach i że nawet wymyśliły sobie osobny sposób grania, który zwał się *grą ponad skrzypce*, polegał zaś na tem, iż się instrument opierało na kolanie i przytrzymywało lewą ręką, wygiąwszy ramię w półkole, a prawa ręka pociągała po mistrzowsku smyczkiem tym

ruchem, z jakim św. Cecylię malują. Było to nawet dość wdzięczne, o ile się samej ładną było. Ale domyślasz się Waszmość Pan z pewnością, że ja w ten sposób nie grałam. Byłaby ze mnie pocieszna św. Cecylia! Nie miałam tego zrozumienia by się popisywać klocowatym swoim ramieniem, bo i tak znać je było aż nadto, a podbródka mego także mi było szkoda. Trzymałam zatem skrzypce i grałam na nich w ten sam sposób, w jaki robiłam tyle innych rzeczy... po męsku. Tak też grałam i na tych godach Amaty. Miałam wtedy smyczek ostatni raz w rękę na tym świecie. Teraz nie tykam już nigdy owego *alto*, które twojem zdaniem, mój bracie, tak dobrze nadawało się do mojej twarzy poliszynela. Zawiesiłam je na kołku, za karę, iż na tem weselu Amaty tak szalenie wtórowało ostatnim chwilom jej szczęścia i żem tak wesoło przygrywało na śmierć“.

— „Bądź co bądź, moja Percy, dobra z ciebie dziewczyna, i nie nie szkodzi, że cię Pan Bóg wcielił w skórę porządnego mężczyzny“! — rzekł ksiądz, rozczulając się mimowolnie rozrzewnieniem siostry... Głos jej nie miał wtedy dźwięku wojennej fanfary i nożyczki w jej rękę nie bębniły do apelu.

— „Istotnie“ — mówiła dalej — „było to jakby powolne konanie; ale któż okrom *Jmci Pana Jakuba*, mógł śmierć nosić w myśli, w pośród wesołości tego dziwnego weseliska, w porywie serdecznych uniesień i w zapale ogromnego męstwa? A kto wie — może i *Jmci Panu Jakubowi* myśl o śmierci wywietrzała już głowy?...“

Wedle zwyczaju, Amata rozpoczęła tańce pierwsza, stając do kontredansa z tym, którego właśnie małżonkiem swym uczyniła; a mówić nie pozwałała sobie tej nocy inaczej, jak *Jejmość Pani Jakubowa*, zaczem nie zwaliśmy jej wszyscy innem imieniem. I została z nami do końca zabawy, a wyglądała czarująco w ślubnej sukni. Z tej samej sukni później zrobiła całun śmiertelny dla tego szczęśliwca, którego teraz w tańcu trzymała za rękę... Około trzeciej nad ranem trzeba się było zbierać do drogi na ową zamierzoną wyprawę. Z kontredansa, którego wygrywałam, przesłam nagle w inną nutę:

— „Mości Panowie! — Słyszycie? — Poranna pobudka!“ — rzekłam do nich, wpadając od razu w nutę żołnierską i regalistowską, którą śpiewywaliśmy częstokroć.

W trzy minuty wszyscy byli gotowi. — Poszłam wdziać ubranie partyzanckie; różnymi czasy niejeden w niem odprawowałam nocny podjazd. Ułożyliśmy tymczasowy plan działania, polegający na tem, że do białego dnia pospólnie mamy odbywać pochód, zaczem rozproszymy się i z osobna będziemy się posuwali, i dopiero pod samem Coutances zgromadzimy się znowu w miejscowości, którą nam oznaczył La Veresnerie, znający wybornie całą okolicę. Miało to być u jakichś wiejskich ludzi, zupełnie pewnych, którzy nawet przy sposobności partyzanckie podjazdy czynili; u nich mieliśmy broń zostawić w przechowaniu. Dwóch, lub co najwięcej trzech z pomiędzy nas

puści się do miasta, by zasięgnąć języka o więźniu i o więzieniu. Postanowiliśmy również, że dopiero kiedy noc zapadnie, wkroczymy zbrojnie do Coutances. W miasteczku bowiem tak spokojnem, gdzie najmniejsza rzecz zwraca na siebie uwagę powszechną, i gdzie w dodatku jeszcze stoi ku obronie załogą silny oddział piechoty, można było jedynie tylko niespodziewanym napadem w nocy odbić Des Touches'a“.

VII.

Druga wyprawa.

— „Nie osobliwszego nie zaszło, Mości Panie de Fierdrap, w ciągu przyspieszonego naszego marszu z Touffedelys pod Coutances“ — mówiła dalej stara kronikarka, nabrawszy nowej swady z tą zwłaszcza chwilą, gdy jej opowiadanie dochodziło do opisu wyprawy, w której czynny udział brała, a temsamem używać mogła wyrazu *my*. Słowo to wymawiała obecnie z rozkoszą, niemal namiętną. — „Drogi w owych czasach gorsze były, niż dzisiaj, a co za tem idzie, mniej rojne. Zresztą nie obraliśmy publicznego gościńca, zwanego traktem głównym. Głównym traktem chodził dwa razy dziennie dylizans, pod osłoną konnych żandarmów. Partyzanci bowiem wyznawali zasadę, która usprawiedliwiała taką zbrojną eskortę; według tej zasady, wojna sama kosztowała wojenne płaci, przeto pieniądze rządowe, które im się udało zagrabić, uważali za swoje. Pomimo owej zasady, unikaliśmy tego dnia starannie

spotkania z dyliżansem i opiekujących się nim żandarmów, a wzięliśmy się *na przelaj*, bo w tego rodzaju przechodach mieliśmy jako partyzanci niemalą wprawę, ile żeśmy je niejednokrotnie odbywali.

Stanęliśmy tedy dość wczesnie u chłopów, załeconych nam przez La Veresnerie. I radzi byliśmy, że się dało uniknąć wszelkiego niepotrzebnego spotkania i że zdołaliśmy iść tak szparkim krokiem, mimo, że szliśmy prosto z tańca; gdyż za przybyciem naszym chłopci owi, mieszkający o kwadrans drogi od przedmieść, powiedzieli nam, że na Des Touches'a zapadł poprzedniego wieczora wyrok śmierci w tamtejszym Trybunale Rewolucyjnym, a nazajutrz miano go *skrócić o głowę*. Zachowywał się on podobno wobec Trybunału Rewolucyjnego, jak gdyby chciał umyślnie rozjrznąć zacieklą nienawiść polityczną, której rozdrażniać i tak już nie było potrzeba. Zgodnie z nieokielzanym swym charakterem, któremu zawsze folgował, nie raczył nawet odpowiadać na pytania sędziów, zamknął się w sobie i upornie uniemożliwiał wszelkie śledztwo. Nie zmięczyły go prośby tych, którzy się wrzekomo litowali nad jego losem; odpowiadał im niezłomnem milczeniem, nie krzyknął, nie jęknął, ani razu, zaciekłszy się w znieczuleniu zupełnem, godnem dzikiego człowieka...

Te wiadomości potwierdziło jeszcze dwóch, czy trzech naszych, którzy wszedłszy do Coutances widzieli ustawioną już i przygotowaną gilotynę

na miejscu tracenia. Zmuszało nas to do działania z błyskawiczną szybkością. Przekonaliśmy się, że liczyć możemy *jedynie* na energię, która działać powinna wprost i doraźnie. Nie było czasu na podchodzenie do celu boczną drogą, należało uderzyć wręcz, z tą szybkością, z jaką pada ostrze miecza walące na odlew.

— „Niema co przebierać w sposobach“ — rzekł nam *Imci Pan Jakub*, a myśmy wszyscy byli jego zdania. — „Dziś w nocy, kiedy miasto będzie się do snu zabierało, musimy wszyscy na raz wpaść do więzienia i porwać, albo siłą odbić Des Touches'a. Będziemy mieli twardey orzech do zgryzienia, Mości Panowie! Gmach więzienny otaczają trzy wielkie współśrodkowe dziedzińce. W pierwszym z nich, zewnętrznym, stoi na straży placówka; jeden jej wystrzał starczy, byśmy na karku mieli całą kordegardę z pobliskiej ulicy. Dawszy do nas ognia przywabią na nas hukiem strzałów całą miejską załogę. Jeśli w dodatku mieszczanie wdadzą się w sprawę, to będą na nas mogli rzucać z okien kamieniami, lub czembądz, co się im nawinie pod rękę, a także przez uchylone bramy domów strzelać do nas będą na zakrętach ulic, a my tam nawet nie będziemy wiedzieli, gdzie się obrócić.“

— „Do kata!“ — krzyknął Desfontaines, to bowiem było jego ulubione zakłęcie. — „Cóż to za plan działania!“ — i w jego także oczach Vinel-Aunis był doskonałością, starał się go więc naśladować: był jego księżycem. — „Koledzy, tań-

czyliśmy wczoraj“ — dodał — „pójdźmyż w tany i dzisiejszej nocy.“

— „Waszmość układasz plan chyba nieprzyjacielowi“ — rzekł La Veresnerie do *Imci Pana Jakuba* — „jakiż dla nas obmyśliłeś?“

— „My plan działania winniśmy mieć taki sam, jaki mają kulki flint, granaty i kule armatnie“ — odparł *Imci Pan Jakub* — „One wpadają wszędzie i wszystko druzgocą, póki się same nie spłaszczą.“

Na to rzekł Just Le Breton, który nosił przydomek *Zuchwałego*: „Bądźmy zatem, jako te kule: wpadnijmy!“

— „Dotąd jeszcze w uszach mi brzmi głos Justa Le Breton, gdy mówił to słowo: *wpadnijmy!*“ — ciągnęła dalej Jejmość Panna de Percy. „Słowo to w czyn zamieniło się w kilka godzin później; wpadliśmy bowiem i szliśmy nawet, co jeszcze większą było sztuką. Nigdy otrębywane hasło nie dźwięczy tak radośnie, jak dźwięczało to słowo w ustach Le Bretona: on poprostu cieszył się z tego, co przed chwilą rzekł *Imci Pan Jakub*. My, reszta, jak nas było *dziesięciu*, nie ulękliśmy się i nie zadrżeli, ale Just był wręcz uszczęśliwiony. Miał on bezgraniczną pogardę dla wszelkich ostrożnych działań. Sama ta myśl, że w sprawie uwolnienia Des Touches'a zostało nam jedno tylko: iść na przebój; myśl, że na fortele i wszelkie względy przezorności brakło nam gruntu pod nogami, a jedyną radą jest skoczyć na osłep — ta myśl, groźna dla innych zuchów, jego w za-

chwyt wprawiała. Napatrzyłam się w życiu dość ludziom odważnym, ale tego rodzaju odwagi nie widziałam już u nikogo innego. *Imci Pan Jakub* obok nieustraszonego żołnierskiego męstwa, posiadał jednak przezorność właściwą dowódcy — sam nawet *Des Touches*, ów niesłychany okaz dzielności, może przez całe życie nie poczuł nigdy, żeby mu się serce zatłukło w marmurowej piersi — a przecie w niektórych okolicznościach uznawał potrzebę przezornego działania. Lecz *Just Le Breton* — nigdy! Zwali go „Zuchwałym“; równie dobrze mogli byli nazywać go „Wcielonym Djabłem“! Niech Waszmość sam osądzi, czy mam słuszość? Pewnego dnia, tu na Placu zamkowym, wjechał konno do jednego z przyjaciół, który mieszkał w domu pocztowym na czwartym piętrze. To nie — ale potem gwałtem zmusił konia do skoku przez okno. Koń spadając, złamał sobie trzy nogi i piersi sobie rozłupał, on jednak wbiwszy mu estrogi w boki aż po same buty, dosiedział na nim jak przyśrubowany i wyszedł cało, nawet nie draśnięty!“

— „Musiał mieć przez dwie sekundy wrażenie, że jedzie na hipogryfie“ — rzekł ksiądz — „tylko, że hipogryf miał skrzydła. więc *Rugier Ariostów* mniej budzi podziwu, niżli twój bohater, moja *Mościa Panno* siostrzo.“

— „Innym razem“ — mówiła dalej rozpromieniona tem, iż tyle zdumienia wywołał ten, kogo ksiądz nazwał *jej bohaterem* — „napadła go nuda w słotny dzień u któregoś z przyjaciół (bodaj czy

to nie było u tego zapalczywego rębajły de Fermanville). Powiedział mu tedy: „Gdybyśmy tak pobili się trochę dla zabicia czasu!“ bo to było jeszcze wtedy, kiedy w Valognes robiono szpada dla zabicia czasu. Fermanville nie miał nic przeciw tej rozrywce, krom tego, iż nie było drugiego pałasa. — „Weź go ty, a mnie daj pochwę“ — rzekł Just, i choć tantemu honor nie pozwalał przystać na taki podział, jednak Just Le Breton zmusił go do bronienia się pałasem, natarł bowiem na niego — i w mig potrzaskał mu ostrze razami pochwy.“

— „Żadnej uwagi już ci nie wtrączę, moja Percy“ — rzekła ksiądz, przekomarzając się z nią, jak zawsze — „bo wyjechałaś znowu z jaką anegdotą o twoim ulubionym Juście, a Fierdrap, który z niecierpliwości aż skubie swój zaręka-wek, długoby jeszcze musiał czekać na właściwe opowiadanie“.

— „Skończyłam“ — rzekła — „ale od wątku nie zbaczalem teraz bynajmniej, mój bracie. Tego nawet potrzeba było do mego opowiadania, abyście zrozumieli owego Justa Le Bretona, który kochał się w niebezpieczeństwie, i to nie tak, jak ludzie, co przepadają za kochanką, bo kochance swej nikt nie zarzuca, że nie jest dość piękna.“

— ...„I dość niebezpieczna“ — dodał żartowniś w sutannie.

— ...„Jemu zaś przeciwnie zdawało się zawsze“ — mówiła dalej — „że niebezpieczeństwo nie jest dość wielkie, jak tego zresztą dowiódł

ponownie w owej sprawie Des Touches'a. Wówczas powiększył on jeszcze niebezpieczeństwo, skutkiem swej nieostrożności, która spowodowała śmierć *Jmci Pana Jakuba*, a nas wszystkich śnadnie podać mogła na rzeź, co do nogi!⁴.

Powiedziała to z tą samą zapalczywością, z jaką wszystko mówiła. Lecz po tonie, jaki brzmiał w jej głosie, znać było, że nie czuje za to zbytniej urazy do bohaterskiego wartogłowa, Justa Le Bretona!

— „Było to między jedenastą u dwunastą w nocy“ — jęła mówić dalej — „gdyśmy wychodzili z zagrody Maugerów, owych chłopów *Jmci Pana de La Veresnerie*, którzy nam u siebie dali schronienie. Wyszliśmy z zamiarem niepowracania tam zupełnie: jeśliby nam się powiodło, nie moglibyśmy zatrzymywać się z Des Touches'em tak blisko miasta, a gdyby się nam w żaden sposób nie udało, w takim razie żaden z Dwunastu nie powinien był wrócić ani tam, ani nigdzie indziej. Każdy z nas miał króciutki karabinek, poddostatkim kul i prochu a za pasem wetknięty kordelas, jakiego się używa na dziki Jeden tylko Cantilly — z powodu ręki na temblaku, zrobionym z twojej chustki, Sankto — miał pistolety zamiast karabinka i szedł z pistoletem w rękę. Po wyjściu naszym z zagrody Maugerów, gdy zaświecił zdrajca księżyc, rzekł Desfontaines, jeden z naszych dwu drwinkarzy.

— „Febus, jak Febus! Dzisiejszej nocy wo-

lałbym ja tam oglądać Jejmość Pannę Febę de Thiboutot, niż tego Febusa“!

Ów nieszczęsny księżyc mógł nam istotnie wyplatać niejednego szpetnego figla. Ale gdyśmy dochodzili do miasta, uspokoiła nasze obawy lekka mgła, która zaczęła podnosić się z ziemi, jak dym z ogniska torfowego wlokący się po polach. Spodziewaliśmy się, że ta mgła zgęstnieje przynajmniej o tyle, że nie będzie można rozróżnić wyraźnie na ulicach w Coutances, węższych niżli w Avranches, a tem samem zacienionych przez domy. Weszliśmy do miasta, gdy trzy kwadransy na dwunastą były na katedrze, a inne zegary powtórzyły za tamtym, jak echa. Miasto spało, jak gdyby było siedliskiem samych sprawiedliwych, choć właściwie było gniazdem tych łotrów rewolucjonistów. Ulice zalegała głusza, kot nawet nie przemknął. Cóżby się było stało z nami wszystkimi, z Des Touches'em i z naszym zamiarem, gdybyśmy tak byli spotkali jaki patrol? Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z tego, co by się było stało; ale nie było żadnego wyboru; musieliśmy iść, narazić się na wszystko i wszystko na jedną kartę postawić. A nie — to Des Touches'a czekała nazajutrz gilotyna: innej zaś rady na to nie było. Na szczęście nie dostrzeżliśmy ani cienia żadnego patrolu w tem mieście, co spało, jak zabite. Nader rzadko i w znacznem oddaleniu jedna od drugiej migotały latarnie na rogach ulic. Wisiały one na wysokich czarnych palach, przeciętych poprzeczną żerdką, co wyglą-

dało jakby na niedokończone *T* i przypominało wielce szubienicę. Ponure było to wszystko razem niezawodnie, ale bynajmniej nie groźnie. Weszliśmy w jedną ulicę, potem w drugą. Ciągłe ta sama cisza i ta sama pustka. Księżyc przyćmiony coraz bardziej, przezierał się jeszcze trochę w szybach okien, z po za których nie migiała nawet gasnąca lampka nocna. Idąc, przyciszaliśmy stukanie naszych kroków.

Była to dla nas chwila tak uroczysta, Mości Panie de Fierdrap, iż w pamięci zachowałam najlepsze nawet wrażenia onego nocnego wejścia do Coutances i pochodu przez ulice! Posuwaliśmy się naprzód, jak gdyby po samotrzaskowej podłodze, na której trzeba się ciągle mieć na baczności, żeby się nie otwarła nagle i nie pożarła człowieka. Pamiętam doskonale jakąś staruszkę w nocnym czepcu, z czołem przewiązanem nałęczką: była to jedyna żywa istota w tem mieście, w którym wszystko zresztą leżało pogrzebane w domach, jak w grobach. Stała w oknie na górnem piętrze oświetlona księżycem i wylewała coś z miednicy, ale tak ostrożnie, i tak tajemniczo, i tak powoluteńku, że krople wylewanego płynu czasby miały być ściąć się w kryształowe sople, nimby na ziemię spadły, gdyby tak nieco zimniej było. W miarę, jak się lały, wtórowała im starowina, ostrzegając wołaniem: *Baczność, bo woda! Baczność, bo woda!* Czyniła to trzęsącym się głosikiem, którym zawodziła śpiewnie i łagodnie, aby nie obudzić nikogo.

Głos ten świadczył najwymowniej, jak dalece sumienność swą posuwała we wszystkim, co robiła, a zarazem jak bojaźliwej była natury. Czy kropla jaka ściekła, czy nie ściekła, kobiecina zawodziła w kółko tym tonem żalonym jednostajne swoje: *Baczność, bo woda!* Z obawy, żeby nas nie spostrzegła, przystanęliśmy rzędem pod ścianą... Lecz nazbyt była zajęta, by cobydź widzieć i dalej sączyła ową niteczkę, jakby z wiecznie płynącej krynicy i bez końca powtarzała swoje: *Baczność, bo woda!*

— „W moich stronach“ — szepnęła La Bochonnière — „o młynach wodnych mówią:

Choć wody niewiele,
Młynek i tak miele.

Ale do biesa! takiego młynka jeszcze w życiu mojem nie widział“.

— „Wzdrygnęłaby się trochę babina, gdyby jej miskę w rękę strzaskać kulka“ — odezwał się Cantilly, wysmienity strzelec, który potrafił, rzuciwszy w górę parę rękawiczek, przestrzelić je obie, nim spadły.

Rozśmialiśmy się i ruszyli dalej i wnet już nam w głowie nie była starowinka, bo na skrócie ulicy ujrzelśmy prosto nosa gilotynę. Wysoka, groźna wznosiła się ponad nami, na swą ofiarę czekając. Rzekłbyś, zaczajona śmierć w zasadzce... Było to miejsce tracenia. Do gmachu więziennego już niedaleko stamtąd. Jak ludzie

staczający się w przepaść, szliśmy tą ulicą, która od więzienia prowadziła do gilotyny. Całe miasto zowie ją ulicą *Żalospną*. Naszą rzeczą było sprawić koniecznie, by Des Touches nie musiał na-
zajutrz iść przez tę ulicę!

Była ona niby ciemna, długa nora, a gmach więzienny bielił się na drugim jej końcu w po-
środku innego jakiegoś placu. Zatrzymaliśmy się na chwilę... aby odetchnąć.“

Opowiadała, jak ten, kto sam przeżył to, co opowiada: przeżywając na nowo wszystko. Książd i baron, obaj ledwie już oddychali.

— „O, co to była zachwila“ — mówiła dalej — „chwila straszliwa: zupełnie jakby człowiek zabierał się do rozbicia okna, wiedząc, że będzie musiał zginać, jeśli choćby jedna tylko szybka narobi brzęku!.. Żołnierz na warcie, w niebieskiej kapocie, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, przechadzał się bezmyślnie przed bramą od jednego słupa do drugiego, jak zakrystyan w kościele podczas nieszpórów.

Księżyc, który w godzinę później wyglądał jak sagan zimnej zacierki, na razie oddał nam ostatnią przysługę: ostatnim, mdłym promieniem świecił prosto w twarz placówce, co przeszkadzało mu dostrzedz nasze ruchome cienie na tle nieruchomego cienia kamienic.

— „Placówkę ja biorę na siebie“ — rzekł po cichu Just Le Breton do *Imci Pana Jakuba*. — I jednym susem wpadł na żołnierza, porwał z sobą kapotę, flintę, człowieka, wszystko — jakby

jeden duży tlóмок i zniknął z nim w bramie więziennej, torując nam przejście. Jak on mógł dać temu radę, ów Just, ów czart wcielony?.. Dość, że placówka nie pisnęła nawet.

— „Zakłuł go pewnie kordelasem!” — rzekł *Imci Ian Jakub* — „chodźmy, teraz kolej na nas, Mości Panowie. — Możemy śmiało iść na przód!”

Razem z nim, zbici w kupę — gęsto jak winne jagody w gronie — pędem wpadliśmy do sieni, kędy Just otworzył nam był wolną drogę i wbiegliśmy na pierwszy dziedziniec więzienny.

Było to podwórze zupełnie okrągłe, na podobieństwo dziedzińców klasztornych, okolone wewnątrz krużgankiem o niskich łukach i krępych słupach. W podwórze ani żywej duszy. Gdzież się podział Just? Pod mrocznymi podcieniami pomiędzy białe słupy, biegły oczy nasze, lecz niktogo widać nie było. Tam on przecie najprawdopodobniej mógł zanieść zamordowaną placówkę. Ale cóż znowu! Toć on się sam znaleźć powinien. Przyspieszonym krokiem przebiegliśmy tedy drugie podwórze, równie bezludne jak pierwsze i jednym tchem wpadliśmy do więzienia, które stało na trzecim. Pędziliśmy co sił, gnał nas bodziec konieczności!

Ujrzeliśmy słabe światełko w przystawce, dobudowanej do więziennego gmachu. Była to mała baszta ze stożkowym dachem, w budownictwie wojskowym zwana *rochem*.

Dozorca nie spał jeszcze. Daleko mu było do dzielnej Hocsonowej z Avranches, co serce miała zbolale i nieustraszone; było to sobie poprostu czarnobrode bydlę, w czerwonej czapce rewolucyjnej, z zawodu szewc, latający buty mieszczanom w chwilach wolnych od zgrzytania kluczami w zamkach więziennych. Jako, iż tego dnia przypadał dzień Dekady i że nazajutrz miał sporo obuwia odstawić swoim odbiorcom w mieście — przeto nie mógł się wcześniej położyć. Żona jego i córka, dziewczątka trzynastoletnie, spały na „górcie“, wysoko pod samą powalą, dokąd się wchodziło po drabince. Wszystko to wypatrzyliśmy przez brudną szybę, przez którą wpadało z wewnątrz mętne, czerwone światło lampy, wiszącej na haku.

Nie wdawaliśmy się z dozorcą w żadne targi, nie wołaliśmy nań, ani do drzwi jego stukali; gnała nas ta konieczność działania, ten *pęd, który wypycha kulkę z lufy*, jak powiedział *Jmci Pan Jakub*: jedenastoma kolbami za jednym zamachem jeden potężny cios wymierzaliśmy we drzwi i wyrwali je z zawiasów. Jak piorun spadliśmy na tego człowieka. W mig powalony był o ziemię, podniesiony, postawiony na nogach; dwie żylaste pięści dźwżyły go za kark, i pod grozą noża skierowanego w samo serce, usłyszał, że ma wydać klucze i zaprowadzić nas do Des Touches'a. Wiesz dobrze Waszmość, Panie de Fierdrap, jak okropne, a często nie bezpodstawne, wieści chodziły o Partyzantach. Wyobraźnia ludzka

zawsze ich widziała niejako w oświeceniu tych strasznych ognisk, ponad któremi oni nogi Niebieskim Mundurom przypiekali, a przerażenie powszechne nadało im miano jednego z czartów: zwano ich *Pali-Nogami*. Wyzyskaliśmy te potworne wieści, krążące o Partyzantach, by strachu napędzić temu nędznikowi, co wpadł w nasze ręce: *Campion*, który brwi miał krzaczaste i groźne wejrzenie zapowiedział im, że go upieczek jak prosię, w razie najmniejszego oporu. On też oporu nie stawiał. Zaskoczony był zbyt niespodzianie i trwogą nazbyt przejęty, i to jeszcze błądą ogłupiającą trwogą. Wydał klucze; dwóch naszych wlokło go z sobą, on zaś wiódł nas do kaźni *Des Touches'a*.

Żona i córka jego, na pół żywe z przerażenia, „na górce“ zostały; aby jednak zejść nie mogły i nie zawiadomiły nikogo, — obaliliśmy drabinę. Lęk zatkał im gardła, zaczęły nie krzyczały, ale mało nam tem zależało, choćby i krzyk podniosły! To zupełnie co innego, jak placówka. Mury więzienne były grube, na wszystkich trzech dziedzińcach pusto — ich wrzasku niktby zatem nie usłyszał.

— „Niech żyje Król *Jegomość*!“ — zawołaliśmy u wejścia do kaźni *Des Touches'a*. Więziony przez tydzień w *Avranches*, więziony od kilku dni w *Coutances*, zaznał wszelakich udręczeń. Wrogowie złamać pragnęli jego hart głodem i katuszami, aby na rusztowaniu sam siebie pohabił upadającą słabością. U ściany siedział, na

podmurowaniu kamiennem, podobnem do dzierzy. Łańcuchami był skrępowany, lecz wcale spokojny.

Znał niestateczność wojennej fortuny i morskich wałów zmienność, on i żołnierz i żeglarz! Zżył się już z tą myślą, że można być pojmanym jednego dnia, oswobodzonym nazajutrz, a może i na nowo schwytanym!

— „Jak widzę“ — rzekł z jasnym uśmiechem — „to jutro jeszcze nie będzie po mnie!“ I dodał: „Rozkujcież mi tę jedną rękę, a ja już wam sam pomogę uporać się z resztą kajdan.“

I łańcuch, którym skrępowane miał ręce, skręcił z całej siły. Lecz okowy stalowe, wpijając mu się w ciało, naciskiem swym uniemożliwiły mu napięcie mięśni, tak, iż kajdan nie mógł po-
targać.

— „Nie, Kawalerze!“ — powiedział doń *Jmci Pan Jakub* — „przepełowanie tego wszystkiego zbyt wiele czasu by nam zabrało. Nam pilno, zabierzemy cię tedy razem z kajdanami!“

I stało się, jak mówił. Mości Baronie de Fierdrap! Trzech naszych wzięło go na plecy i poniosło go, jak na pewęży. Na podłogę więzienia, tam, gdzie siedział Des Touches, rzuciliśmy dozorcę, nie chcąc odbierać mu życia, lecz dla wszelkiej ostrożności zamknęliśmy go na dwa spusty w kaźni.

Na opowiedzenie Waszmości tego wszystkiego więcej nierównie czasu potrzebuję, niżeli go nam zajęło wykonanie. Błyskawica nie jest tak szybka! Przeszliśmy z powrotem trzy owe duże dziedzińce,

zawsze tak samo bezludne, lecz na ulicy... tam, na ulicy znowu czekało nas niebezpieczeństwo.

A przecie wszystko szło nam, jak z płatką! Des Touches był w naszych rękach! Księżyc wyglądał już tylko, jak oko w trupiej głowie: nie oświecał nieba, lecz raczej był na niem ciemną plamą. Mgła zaś poczyniała się rozsnuwać pomiędzy nami, a wszystkim, jak gdyby rodzaj jedwabnej przesłony... Kształty domów roztopiały się w tumanie.

I znowu szliśmy przez te same ulice, co pierwiej, równie puste, jak wprzód. Co za dziwny skład rzeczy! Sprawiało o wrażenie czarów. Miasto nieruchome, pogrążone we śnie, wyglądało jak zaklęte. Gdyśmy przechodzili przez ulicę pod domem owej staruszki, co wylewała z miednicy, zastaliśmy ją jeszcze na tem samym miejscu, wylewała ciągle jeszcze tym samym powolnym ruchem. Wprawdzie nie widzieliśmy jej tak wyraźnie, jak pierwiej, z powodu mgły, lecz słyszeliśmy, iż bez ustanku powtarza przytłumionym, żalnym głosem swoje: *Bacność! bo woda!* Istny posag mówiący. Czyliżby jej zawodzenia nie przerwało nawet i to, co nagle doleciało nam do uszu? W ogromnej ciszy, zalegającej miasto, huknął wystrzał...

— Broń w pogotowiu, Mości Panowie, i czuj duch! — rzekł *Imci Pan Jakub*.

— „Bacność, bo kulki!” — odezwał się Desfontaines — „to już nie *Bacność*, bo woda.”

W tej samej niemal chwili drugi huk, donioślejszy jeszcze przeszył powietrze i wstrząsnął przestworami.

— „To karabinek Justa Le Bretona“ — rzekł *Imci Pan Jakub*, który wprawnym uchem żołnierskiem rozpoznał broń po wystrzale.

Nie zdołał jeszcze tych słów dopowiedzieć, kiedy Just, pędząc na łeb na szyję — wpadł pomiędzy nas i dźwięcznym, jak zwykle, głosem powiedział nam:

— „Zdwoić krok, bo lecą Niebieskie Mundury!“

Musisz Waszmość wiedzieć, co się stało, Imci Panie de Fierdrap. Just „Zuchwały“, któremu nie na darmo dano ten przydomek, nie zakuł na śmierć placówki, jak mniemał *Imci Pan Jakub* instynktem wojennym wiedziony. Zaniósł sztyldwacha żywcem na rękach na krążgankowe podcień.

Ufny był w swą siłę i chciał się nią popisać, a wspaniałomyślnie brzydził się zabijaniem bezbronnego człowieka. Więc tylko krzyczeć mu nie dał, ścisnąwszy go potężną dłonią pod gardło. I póty go cisnął pod grdykę, pókiśmy Des Touches'a nie porwali! Z mrocznej głębi krążgankowego podcienia widział nas, gdyśmy przez dziedziniec powracali z więzienia, a chcąc, abyśmy mieli czas do wykonania odwrotu, przetrzymywał jeszcze dłużej placówkę w tem położeniu, straszliwym dla nich obu. Kiedy uważał, że musimy być już dość daleko od więzienia i że nam już nie może grozić, wypuścił go z rąk, a nawet wydawało mu się, iż go uduślił. Czy to bowiem

był podstęp, czy skutek bólu, jaki sprawiać musiała ta ręka żelazna, gniotąca na kształt obroży, dość, że żołnierz padł u stóp Justa. On zasię odszedł, ale zaledwie się oddalił, placówka wierna otrzymanemu rozkazowi podniosła strzelbę i dała ognia, by kordegardzie dać hasło do broni.

Just właśnie wtedy był na końcu ulicy Żalosej.

— „O, głupstwo popełniłem“ — pomyślał sobie — „żem temu łotrowi darował życie, ale on mi za to zapłaci!“

I zawrócił nazad w ulicę, i pomimo mgły strzałem na jakie sześćdziesiąt kroków, powalił placówkę na miejscu w chwili, gdy nabijała broń. Zaczem pędem jął podążać za nami, chcąc nas dopędzić i ostrzedz przed niebezpieczeństwem.

Ale iskra padła już była na prochy! Słychać było warczenie bębnow, dolatujące z tej właśnie dzielnicy miasta, którąśmy dopiero co minęli. Przyspieszyliśmy kroku.

Za nami, na samym końcu ulicy, przez którą przechodziliśmy wtedy, ujrzelśmy oddział ludzi, wyglądający na załogę z odwachu; i prawdopodobnie była to załoga odwachowa. Szli ostrożnie, bo nie wiedzieli ilu nas być może.

— „Kto idzie!“ — krzyknęli, podszedłszy ku nam. Lecz my wszyscy, krom tych, co niesli Des Touches'a, odpowiedzieliśmy im ogniem karabinowym, co powinno im było chyba wyjaśnić dostatecznie, że mają do czynienia z *Królewskimi Strzelcami!*

Oni także strzelili. Świsnęły nam nad uszami ich kulki, lecz obily się o mury, nie zabijając nikogo z naszych. Z nazbyt miękkiego ich natarcia odgadliśmy snadnie, że ci ludzie zmierzający naprzeciwko nam, czekają na posiłki z miejskiej załogi. Okoliczność ta sprawiła, żeśmy zyskali na czasie, a nawet ocaleniem naszym była prawdopodobnie. Posuwaliśmy się nieomal że pełnym biegiem, a każda latarnia napotkana na drodze szła w kawałki rozniesiona strzałem! Ciemność, choć oko wykół, zapadała tedy nad temi wąskimi ulicami, kędy nawet znaczniejszy oddział małą tylko linią frontu mógł się być rozwinać. Było to dla nas niezmiernie korzystne.

Ci, co nieśli Des Touches'a, postępowali pod osłoną tamtych dziewięciu innych, którzy raz wraz odwracali się wstecz i strzelali za każdym obrotem. Docieraliśmy już do bram przedmiejskich. A była ostateczna pora! W śródmieściu podniósł się tymczasem wielki tumult. Wyraźnie słyhać było krzyki: *Do broni!* Miasto całe porwało się na równe nogi. Pogoń tropiąca nas, paliła ze strzelb nieustannie i tylko broń na gwałt nabijała. Gdy już ostatni raz ognia do nas dali — co za nieszczęsny traf! — zatoczył się *Jmci Pan Jakub* dwa kroć w kółko, jak bąk puszczony ze sznurka, i runął. Stałam przy nim, gdy padał.

„Och, miał przecucie!“ — pomyślałam sobie. I na wspomnienie o Amacie, serce mi się ściśnęło.

— „Zabity?“ — spytałam Justa Le Bretona, który go podniósł z ziemi.

— „Czy żyw, czy zabity“ — odparł mi na to — „w każdym razie nie zostawimy go Niebieskim Mundurom. Przez zemstę na nas strzelaliby oni nawet jeszcze i do trupa!“

Uniósł go herkulesowemi ramiony i złożył na plecach tym, którzy nieśli Des Touches'a. Kawaler miał tedy towarzysza na pawęży!

W dwadzieścia minut później miasto zostało w tyle za nami, zalane tumanami mgły i gwarne hałasem. My zasię z onym dwoistym ciężarem znaleźliśmy się na otwartych polach. Wprawdzie nas nie doścignięto i nie oskrzydłono, ale nie bylibyśmy uniknęli pogoni, ani oskrzydlenia, gdyby tak ulica przedmiejska była nieco dłuższa. W szczerem polu mgła była jeszcze gęstsza, niż w mieście. Wyszedszy raz z ulic, Niebiescy, którzy nas gonili, nie mogli wiedzieć, w jaką stronę się skierujemy. Zresztą pola, błonia, zarosła, bezdroża były naszym żywiołem, bośmy przecie Partyzanci.

La Veresnerie znał okolicę na pamięć i kazał nam iść przez role. Potem otwarliśmy jeszcze jedną lub drugą lasę, zamykaną na witkę z wikliny i wyszliśmy na jakąś drogę, podobną zupełnie do parowu. Mniej więcej po dwóch godzinach marszu, wydostaliśmy się na nizinę, gdzie płynęła rzeka. U brzegu stał przywiązany wielki galar, przeznaczony do przewożenia tego nawozu, który się w owych stronach nazywa *splawian*-

kę, bo się go splawia, halując galar na *linewkach*, ku czemu porobione są drogi biegnące brzegiem wzdłuż całej rzeki.

Na owym wielkim galarze złożyli Des Touches'a ci, którzy nieśli jego i *Imci Pana Jakuba*. Tam czekaliśmy świtu uradowani, że nam się udało uwolnić jednego, lecz razem do głębi serca rozżaleni, żeśmy stracili drugiego. Dostał kulka w samo serce. Pogrzebaliśmy na brzegu tej rzeki nieznanego tego nieznanego człowieka, o którym nie wiedzieliśmy nic więcej ponad to, iż był bohaterem!

Zanim go spuszczone do dołu, któryśmy wykopali kordelasami, przecięłam bransoletę na jego rękę. Amata uplotła mu ją była z swych szczerolotych włosów; krew zakrzepnięta na tej bransolecie miała stać się dla niej świętą relikwią.

Bez księży, na odludziu, oddaliśmy mu ostatnie honory, jakie żołnierze oddać mogą żołnierzowi: pożegnaliśmy go salwą karabinową, by murawa, pod którą miał spać, przeszła zapachem prochu; wszak on całe życie tą wonią oddychał!

— „Można mu pozazdrościć“ — odezwał się Imci Pan de Fierdrap, jak gdyby wyrażając niedopowiedzianą myśl Jejmość Panny de Percy. — „Zginął śmiercią prawdziwego partyzanta i leży pochowany na pustkowiu w zaroślach, a to jest mogiła prawdziwego partyzanta. Gdy tymczasem Des Touches? — Spotkał go ksiądz na Placu Kapucyńskim! Tuła się obłąkany i nędzny! A Jan Cottereau, wielki Jan Cottereau, od którego par-

tyzantka, „Chouanerya“ wzięła swe miano, sam jeden pozostał z sześciorga rodzeństwa, co wygięło w bitwach i na gilotynie i dożył przed śmiercią tego, że mu zakrwawili serce ci sami władcy, którym się wysługiwał: nie mógł się doprosić, biedny marzyciel — takiej drobnostki, jak prawo noszenia broni, to prawo, które dziś poszło w poniewierkę! Książd ma słuszość: oni skończą jak Stuartry.“

Jejmość Panna de Percy nie miała już odwagi przeciwie się powtórnie zdaniu tych sług Majestatu, zranionych do głębi serca w swem uczuciu wierności: książd i baron wyrzekali na Bourbonów, jak człowiek wyrzekający na swą kochankę, wyrzekanie bowiem na kochankę jest może tylko odmienną formą miłości.

— „Oddawszy ostatnią posługę *Imci Panu Jakubowi*“ — mówiła dalej — „zajęliśmy się uwolnieniem od kajdan Kawalera Des Touches. Posadziliśmy go na galarze, oparliśmy go o maszt, u którego przywiązuje się linę. Siepacze omotali go niby w kaftan z łańcuchów, krzyżujących się na wszystkie strony, a zacisnęli te łańcuchy tak, że aż wywoływały bolesną ocierpłość członków — w ten sposób ubezwładniony był zupełnie ten człowiek wysmukły i gibki, o mięśniach, w których drzymała moc, budząca się od czasu do czasu jak lew. Z swymi popędami, z swoją namiętnością do walki, musiał on przeraźliwie się męczyć, gdy słyszał świstające do koła kulki, a leżeć musiał na barkach towarzyszków, nie mogąc dać ognia ni

raz jeden do nieprzyjaciół. Ale wybitną cechą męstwa Des Touches'a była cierpliwość taka, jaką ma zwierzę, albo dziki człowiek wobec okoliczności, które się nań zwalają. Istny Indyanin był z tego Granvilczyka. Aż do tej pory, podczas nocnego marszu, znosił w milczeniu kajdany, gdy jednak nastał dzień i gdyśmy już nie mieli nieprzyjaciela na karku, spieszo mu było, by się już w końcu z gniotących pęt żelaznych uwolnić. Niebawem wypadło nam ruszyć w dalszą drogę, a z niego byłby jeden więcej tęgi wojak — w razie, gdyby nam przypadkiem jaką napaść odpierać przyszło w powrotnym pochodzie do Touffedelys. Kusiliśmy się tedy, by rozbić na nim owo żelastwo. Mieliśmy jednak tylko same kordelasy i kurki karabinów; zaczęła się obawa, iż rozkuwanie to potrwa długo, a może nawet okaże się wręcz niemożliwym. Zdarzył się atoli taki zbieg rzeczy, jaki trafia się jedynie na wojnie. Przypadek ten wybawił nas z kłopotu, w jakim byliśmy wówczas“.

— „A to ta historia z Couyartem!“ — rzekła poruszając się na krześle Jejmość Panna Sankta de Touffedelys z taką lubością, jak gdyby jej kto pod samym nosem odetkał flakon z najprzyjemniejszymi wonnościami.

Owa „historia z Couyartem“ pozbawiona bohaterskiego żywiołu, nie nazbyt silnie działała na jej ptasi mózg i sprowadzała widocznie opowiadanie do tego poziomu, który Jejmość Pannie Sankcie odpowiadał i do smaku przypadał. Na

tym świecie wszystko jest względne. Czas sprawił, że ten biały łabędź z minionych lat — skrzążował się z biedną gęsią, która bynajmniej nie byłaby zdolną ocalić Kapitolu. Jejmość Panna de Touffedelys ożywiła się prawie: Couyart był jej zegarmistrzem...

— „Jeszcze dziś rano przypadł do nas nakręcić zegar“ — rzekła z namaszczaniem, wtrącając swą nieocenioną uwagę.

Z dawna i bardzo żywo zajmowała się owym Couyartem, który podobnie jak ona, wierzył w duchy, a ilekroć przyszedł nakręcić pozłacanego Bachusa, tylekroć zabawiał ją opowiadaniem o duchach: ukazywały mu się one na każdym kroku — taki to już był przywilej tego pocziwca. Nie mógł nawet na podwórze wyjść, w celu, którego się łatwo domyśleć — by zaraz nie ujrzeć ducha! Był to człowiek nieśmiały, drobniawy, o mowie przyciszonej i równie przyciszonym chodzie, obuty zawsze w trzewiki piłśniowe, ze względu na uszanowanie winne woskowym salonom, gdzie nakręcał zegary. Był słabowity i nerwowy, na twarzy blady jak stara kobieta. Lyse miał czoło i czaszkę, a jednak zaczęsywał pociesznie resztki włosów na ciemiu i na uszy i tytusową swą fryzurę pudrował, a to z tego jedynie powodu, że taki był zwyczaj u wszystkich przyzwoitych ludzi przed tą nieszczęsną rewolucyą... Mawiał, iż zawsze był arystokratą. Klientelę jego stanowiła cała szlachta w Valognes, wobec której zachowywał się pokornie. Po-

chlebia to zawsze możliwym, gdy wobec nich człowiek zapomina języka w gębie. Wszak to najwytworniejszy rodzaj pochlebstwa. A takie pochlebstwo wrodzone było właśnie u niego.

Zdania przerywał, postępując z zakłopotaniem: *hm! hm!* a zaczynał od wiekuistego: *Więc tedy.* Dowodziło to, że mechanika kólek i sprężyn nie koniecznie pobudza do potocznej swady. O ile nie był zajęty zegarami, to — czy siedział, czy stał, czy chodził — zacierał bezustannie jakby z zadowolenia tłuste i białe swe ręce zegarmistrzowskie, przywykłe do obchodzenia się z przedmiotami drobnymi a kruchymi. Dzieci wracające ze szkoły ulicą Siequeta i ulicą *Zakonną*, nie mogły się nim nacieszyć: stawały przed szybą jego sklepu i przypatrywały się, jak siedział u warsztatu, pokrytego białym papierem i zarzuconego szklami w rogowych oprawach. Pod te szklą wkładał werki zegarków i zatapiał się w nich przez lupę, szukając tego, co nazywał *nadwyrężeniem*.

Niebieski Wiatrak.

Jejmość Panna de Percy oczywiście przeszła do porządku nad uwagą naiwnej Jejmość Panny Sankty de Touffedelys i mówiła dalej:

— „Mordowaliśmy się zatem, baronie, by uwolnić Des Touches'a z kajdan, a wierzaj mi Waszmość, iż była chwila, gdy nam się zdawało, że to trudniejsza sztuka, niżli porwanie go z więzienia. Ujrzelśmy wówczas z daleka, że ktoś nadchodzi drogą wzdłuż wybrzeża. Saint-Germain, który miał wzrok bystry, jak żołnierskie oczy na pikiecie, spostrzegł go pierwszy: człowiek ten zbliżał się ku nam spokojnie. Jeśli użyłam wyrazu *spokojnie*, to powiedziałam nieco za dużo, bo w tej chwili spokojny już nie był. Ta gromadka ludzi, którąśmy stanowili, zebrana o tak wczesnej porze nad brzegiem rzeki, gdzie zazwyczaj tak mało ludzi bywało — ta gromadka zbrojna, której karabiny błyszczały we wschodzącem słońcu, które swym blaskiem rozpraszało nocne opory — ta gromadka zaniepokoiła owego człowieka zbliżającego się krokiem ostrożnym, prawie

lęklwym. Ty przeciesz wiesz, Sankto, jak on chodzi. On zawsze był taki sam, ten Couyart! Tam nad brzegiem rzeki, gdzie go widziała po raz pierwszy, był takuteński, jak tu, w waszym salonie, gdy przychodzi nakręcać zegary. Istotnie nasza gromadka, której z daleka nie mógł rozpoznać, zaniepokoiła go tak dalece, że zawrócił jak przezorny kot, co widzi niebezpieczeństwo i uchodzi przed niem. Puścił się tedy nazad nad-rzecznią drogą.

— „Nie ujdzie ci to na sucho, mój kochasiu, żeś miał przyjemność spotkać się przed śniadaniem ze *Strzelcami Jego Królewskiej Mości*. Zaręczam ci, że nikomu już dziś rano nie opowiesz, iż nas widziałeś!“ — rzekł Saint Germain, i nabivszy karabinek, zmierzył do niego.

Byłby mu niezawodnie wpakował kulę w sam środek pomiędzy łopatki, gdyby nie La Veresnerie. Był on właśnie zajęty pilowaniem śruby, spajającej kajdany Des Touches'a i pracował nad nią tylcem kordelasa. Tym kordelasem podbił w sam sam czas lufę karabinka.

— „Daj spokój temu bakasowi“ — rzekł doń. — „To nie szpieg. To Couyart, Couyart z Marchessieux. Wraca z Marchessieux do Coutances, gdzie jest czeladnikiem zegarmistrzowskim u Le Calus'a na placu katedralnym naprost *Hotelu pod Krzyżem*. Znam go, to regalista. Nakręcał mi często zegarek. Ten człowiek spada nam, jak z nieba! Może go nam Bóg zsyła. Bo czeladnik zegarmistrzowski musi mieć przy sobie niechybnie jakie

narzędzia. Pomoże on nam prawdopodobnie do rozbicia tego żelastwa.“

Widząc, że zbieg przeczuwa, co mu groziło i odwraca głowę, podbiegł doń i krzyknął podniesionym głosem:

— „Hej, Couyart! Hej! Hej! Couyart! To sami swoi!“

Zegarmistrz przystanął. A w dwie sekundy później ujrzeliśmy go z kapeluszem w ręku przed La Veresnerie, który przyprowadził go do nas. Couyart zbliżył się do nas z odkrytą głową. Nie czuł się jeszcze zupełnie bezpiecznym; w małych oczkach jego było to spojrzenie, jakim patrzy ptak, schwytyany w siatkę. Dopiero gdy wzrokiem potoczył dokoła po naszej gromadce, odezwał się przecie:

— „O mój Boże! Co ja widzę! Toć to Jegomość Pan de Beaumont i Jegomość Pan Lottin de La Bochonnière? (ten co prawda nazywał się tylko Lottin). I Jegomość Pan Desfontaines także!? Więc tedy... mam zaszczyt ofiarować Waszmość Panom najniższe moje służby i atencye. Raczcie Waszmoście wierzyć mi... więc tedy... że... hm!.. nie spodziewałem się zgoła... hm, hm! spotkać Waszmość Panów o tak rannej porze.“

— „Zapewne, dla nas jestto już pora trochę nazbyt dzienna, bośmy przecie rycerze „Gwiaździ-
stej Nocy“ — rzekł La Veresnerie. — „Ale służba Jego Królewskiej Mości przedewszystkiem! Na służbie Jego Królewskiej Mości spędziliśmy noc dzisiajszą w Coutances i dla tej przyczyny nie

poszliśmy dotąd spać, mimo że wschód słońca daje nam sygnał, iż nadeszła pora naszego noclegu. Jesteś acan szczerym regalistą, mój Couyarcie, z radością dowiesz się przeto, żeśmy się gracko spisali w Coutances dzisiejszej nocy, ale mój drogi, potrzeba mi Aściej pomocy dziś rano, by dokonać dzieła.“

— „Mojej pomocy Waszmość Panom?“ — zapytał zegarmistrz: istota łagodna i spokojna, stojąca pośród nas, wspartych na karabinkach. — „Nie rozumiem... hm! doprawdy nie rozumiem... hm! hm! w czembym... ja mógł.. Może chodzi o to, która godzina?“ — dodał, wpadając na domysł. — „Więc tedy... czas mam dokładny“ — i tu wyjechał z dowcipem, który wiekuje w zawodzie zegarmistrzowskim od czasu, gdy wyrobiono pierwszy zegar: „Według mojego zegarka słońce się obraca!“

— „Patrz! Couyart!“ — rzekł La Varesnerie; — „rozstąpcie się trochę Mości Panowie!“ Zastłaniałiśmy bowiem galar do spławiania wraz z Des Touches'em. I wskazał mu na Kawalera spowitego w łańcuchy: na ten widok oczy zdumionego zegarmistrza zaokrągliły się równie jak usta.

— „Patrz Acan, oto nasze dzieło dzisiejszej nocy — a tu twoje, do spełnienia. Pewnie Acan mieć musisz przy sobie narzędzia swego zawodu, jaki pilnik, albo jeszcze lepiej piłkę do przerywania sprężyn zegarowych. — Weźno się Acan do tego, mój synku i przepiłuj to przeklęte żelaztvo, a gdy Król Jegomość powróci, będziesz się mógł

poszczycić, żeś należał do wybawców Des Touches'a!"

Widzisz Waszmość, Panie Baronie, jak to ów Couyart na swój sposób wybawcą Kawalera został, jak my — na swój sposób! La Veresnerie nie mylił się. Couyart, jak nam to powiedział, miewał zawsze po kieszeniach pełno narzędzi.

— „Pracujże Waśc tedy nad tem, mój drogi“ — rzekł La Veresnerie — „i bądź spokojny; przysięgam Acanu na Boga i na wszystkich świętych, ilu ich jest w kalendarzu, że nikt Waści nie przeszkodzi przy robocie. Nie będziesz narażony na żadne niepokoje. Wierzaj Acan. Już w tem nasza głowa, by cię ustrzedz od wszelkich nartretów“.

I trzymaliśmy po trosze wartę, podczas gdy pracował. Bez niego mybyśmy sobie żadną miarą nie dali rady: robota owa zajęła całe pół dnia. Nigdy, ani z kieszonkowym zegarkiem, ani ze ściennym nie miał tyle zachodu i tyle *mordęgi* — jak mówił — co z tymi zatraconymi łańcuchami. Przyłożył się jednak do dzieła z cierpliwością właściwą ludziom cierpliwym, która mnie zawsze dziwi, a ponad to cierpliwością zegarmistrzowską, a ta jest dla mnie już zgola niepojęta! Trudno było, ale i tak dał radę. Wywiązał się chlubnie z zadania. Wszelako mozół, którego wówczas nie pożałował, tak utkwiał na całe życie w pamięci Couyartowi, że od tej pory, ilekroć mu przyszło mówić o jakiej bardzo żmudnej naprawie zegara, czy też o rzeczy wogóle bardzo uciążliwej —

zwykł był nieborak zawsze mawiać: — To nie lada sztuka! zupełnie *jakby człek piłował kajdany Des Touches'a*.

Wszystko to są stare dzieje, Mości Panie de Fierdrap. Czas naszą młodość zdmuchnął jak świecę i tak doszczętnie zgasił blask naszej świetności, tak stłumił rozgłos czynów naszych w onej dalekiej przeszłości, że to wyrażenie Couyarta: „Ciężko! *jakby człek piłował kajdany Des Touches'a* — uchodzi za jakieś cudaczne bajdurzenie biednego staruszka, i nikt już dzisiaj nie rozumie, co to znaczy. Ale my trzy, Urszula, Sankta i ja, my to jeszcze wiemy!“.

Nie pierwszy to raz melancholiczna nuta zadrgała w tem opowiadaniu zacnej starej panny, która zazwyczaj tak mało miała skłonności do melancholii. Była to jednak zawsze przejściowa tylko nuta i przebrzmiewała prędko, ustępując żwawej wesołości, co wrodzona była temu dzielnemu sercu.

— „Wracając do Des Touches'a“ — mówiła dalej po chwili, wystarczającej za ledwie na stłumione westchnienie — „skoro tylko poczuł się wolnym i silnym, natychmiast podziękował nam najuprzejmiej. Uścisnął dłoń każdemu z nas dookoła. Podając mi rękę, jak innym Dwunastu, poznał mnie zaraz w tem przebraniu męskim, które przywdziewałam już niejednokrotnie; on mnie jednak w niem nie widział nigdy przedtem. Nie zdziwił się bynajmniej. W tych czasach nikt się niczemu nie dziwił! Wiedział przecie, że wolę

strzelbę, niżli wrzecziono. A czyliż była lepsza sposobność do pofolgowania temu zamiłowaniu, nad owo zbrojne życie partyzanckie, którem myśmy żyli?!

— „Mości Panowie“ — rzekł — „Król Jego-mość winien Wam jest ocalenie sługi swego, który niebawem służby swoje pełnić zacznie dalej. Dziś wieczór jeszcze puszczam się na morze. Słońce już się zniża, lecz jest jeszcze nazbyt wysoko, byśmy się mogli pokazać na gościńcu razem i zbrojno. Trzeba się rozprószyć. Za dwie godziny atoli, możemy się zejść pod tym wiatrakiem, tam po prawej ręce na szczycie wzgórza. I tam-to wyznaczam Wam miejsce naszego spotkania“.

— „To *Niebieski Wiatrak* — rzekł La Varesnerie.“

— „Niebieski, w samej rzeczy“ — odparł ponuro Des Touches“. — „Toć to w tym wiatraku — Mości Panowie — Niebiescy wzięli mnie zdradą i przyczynili wam tyle trudu z mojem uwolnieniem. Poprzysiągłem sobie w duchu, że im gotówką zapłacę, za fatygę, którą sprawili Waszmościom. Przysiągłem“ — dodał grzmiącym jak spiż głosem — „iż pomszczę zgon *Imci Pana Jakuba!* Przekonacie się, że dotrzymam przysięgi! Nim słońce, wskazujące obecnie trzecią godzinę z południa — skryje się na widnokręgu, zanim ja zniknę w mgłach angielskiego wybrzeża — Niebieski Wiatrak zmieni się w Wiatrak Czerwony — na co Waszmościom daję słowo Par-

tyzancek! I ręczę, że na zawsze w pamięci okolicznych ludzi młyn ten owo miano zachowa!“

Patrzałam nań kiedy mówił: w obeściej kurtee marynarskiej, paskiem w stanie ściągnięty, wyglądał bardziej, niż kiedykolwiek na *Osg*, której nazwa była jego wojennym przydomkiem: osa wypuszczała żądło i ląknęła krwi! Przypominał mi także owe lwy herbowe, cienkie i sprężyste w krzyżach, jak pantera, i o pazurach drapieźnych, gotowych wszystko rozedrzeć! Jego twarz kobieca, aczkolwiek nigdy mi się nie podobała, przecież piękności jej nie mogłam zaprzeczyć. Teraz biła, buchała, zionęła okrutną mściwością, co przy niewieściej prawie urodzie, wydawało się stokroć groźniej, niż gdyby twarz tę cechowała najsurowsza nawet męskość.

Ilu nas było, cała Dwunastka — wzdrygnęliśmy się pod wrażeniem tego oblicza Meduzy. La Veresnerie zaś przeczuł, zda się, jakąś okropność, która pociągnie za sobą na wzajem ohydny odwet nieprzyjaciela i przyczerni jeszcze, i tak już dość czarną opinię partyzantów.

— „A gdybyśmy tak nie poszli na Waszmości-ną schadzkę?“ — zapytał La Veresnerie. — „Cóżby się stało?“

— „Nie, Mości Panie!“ — odrzekł hardo Des Touches, a nozdrza wydeły mu się, jak gdyby mu kto śmignął szpadą pod samym nosem. — „Chciałem Waszmościów mieć za świadków aktu sprawiedliwości, ale na to, by wykonać, co postanowiłem, nie potrzeba mi nikogo!“

La Veresnerie zastanowił się przez chwilę. Głowę dowódcy miał na karku La Veresnerie; był młody, niedawno przedtem Jegomość Pan de Frotté mianował ko komendantem.

— „Sam, na kilkunastu może“ — mruknął. — „Nie, Mości Panie, ocaliwszy Waszmość, winniśmy Królowi Jegomości zachować Waszmościne życie. Pójdziemy wszyscy — nie prawdaż Panowie?“

Przystaliśmy, baronie, i rozeszliśmy się różnemi ścieżkami. Ja poszłam z owym Justem Le Bretonem, którego ty bracie nazywasz moim ulubieńcem I masz słuszność: był moim ulubieńcem, a nie potrzebuję dodawać: *Honny soit qui mal y pense!* bo wdzięki mojej osoby dają rekompensatę dostateczną, by nikt źle nie myślał o mnie. Po drodze Just rzekł do mnie:

— „Co też zrobi Kawaler Des Touches? Zniewagi dwukrotnego uwięzienia ciężą mu na sercu, i to na tak hardem sercu!“

Just zupełnie, jak ja, z zajęciem patrzył na Des Touches'a, bo i on widział w nim to, co ja widziałam: wojownika obojętnego na wszystko, co nie było wojną i drażliwym poczuciem osobistej dumy!

— „Pojmali go zdradą“ — mówił Just dalej. — „Wydali go w ręce Niebieskich; ale kiedy? i jak? i jakich w okolicznościach? Boć Des Touches, to uosobiona czujność bezsenna!“

Byliśmy tak zajęci tem, co się stać miało, że nie spostrzegliśmy się, kiedyśmy przeszli całą

przestrzeń dość znaczną i wzniesli się po łagodnej pochyłości wzgórza, na którego szczycie stał *Niebieski Wiatrak* — jak go zwano w całej okolicy.

Ogarnęła nas gorączka ciekawości, popychała nas nieprzeparta siła, pociągało nas to miejsce, któregośmy nie znali, a zobaczyć pragnęli; jak dziecko, co wpadło do wody u brzegu, idzie z tonią, porwane morskim prądem, tak nas porwało coś i niosło. — Przybyliśmy pierwsi na miejsce schadzki i zatrzymaliśmy się opodal od młyna, oczekując na towarzyszków, a spodziewając się przed innymi Des Touches'a.

Miejsce było spokojne. Wzgórze miało stoki o spadku niezmiernie łagodnym i zupełnie jednostajnym, zaczem wyniosłość ta nie dawała się zgoła czuć nogom, gdy się na nią wychodziło; za to dla wzroku była bardzo widoczna, gdy obróciwszy się wstecz, ujrzało się za sobą drogę przebytą. Po wierzchu wzgórek porośnięty był trawą krótką, lecz wcale zieloną. Pasło się na niej licho kilka jagniąt. Nie było tam ni drzewa, ni zarośli, ni płotu, ni wądolu żadnego, ni garbu, jednym słowem niczego, coby mogło tamować podmuchy wiatru, który tam królował, hulając sobie swobodnie i obracając wiatrak ruchem powolnym a cichym. Nie tyrkotało nic, ani skrzypiało w tym młynie o szerokich śmigach, obciążniętych płótnem wyprężonem, które wzdymało się czasem za silniejszym powiewem wiatru, jak żagle na statku.

To był tedy ów *Niebieski Wiatrak*. Dlaczego taką dano mu nazwę?.. Może dlatego, że i drzwi i okiennice i śruba, na której obracało się wiązanie dachowe, a nawet chorągiewka na dachu — wszystko było tej barwy niebieskiej, która zdawna zowie się *blekitem perukarskim*, a to z tego powodu, iż perukarze już od czasów króla Ludwika świętego malowali nią podobno sklepy swoje.

Wszystko w tym wiatraku, prócz murów i śmig, miało ten kolor niebieski, jaskrawy i wesoły, który wydawał się jeszcze jaśniejszy na tle ciemniejszego błękitu niebios i w gorącym świetle słońca, które jeszcze nie ozłacało wiatraka, jako że była dopiero piąta godzina po południu. Skąd owa barwa niebieska? Wiatraki normandzkie zazwyczaj nie były nią malowane. Może umyślnie dla gry słów w której lubuje się zwykle gmin: Wiatrak *Niebieski*, więc nie *Biały*, czyli *Wiatrak Patryotyczny*.

W drzwiach wycięty był otwór, tak, że służyły zarazem jako drzwi i jako okno. Część górna, która stanowiła okno, była otwarta. Zresztą nie widać było nikogo: ani młynarza, ani młynarki. I tylko młyn kręcił się szerokim rozmachem, a zdawało się, jak gdyby ten jego obrót odbywał się w worku pełnym waty, tak cicho wirowały śmigie. Leciwały one jedne za drugimi, naksztalt godzin, równo i miarowo kołując, bez najmniejszego wstrząśnienia!

Cisza ta nie długo trwała... Rozległo się wnet *pizzicato* wygrywane na skrzypcach i płynęło

przez drzwi uchylone. Piosneczka dźwięcząca sucho i przenikliwie, budziła się pod ręką młynarza; a młynarz miał widocznie uszy zaproszone mąką i sam nie słyszał dobrze, co wygrywał.

— „Jak poczciwie wygląda ten zdradziecki wiatrak“! — zauważył Just. — „Nie dziwię się, że nawet Des Touches na nim się nie poznał!“.

Tymczasem *pizzicato* brzmiało ciągle, niepewne, głuche, senne, dla ucha uchwytnie jedynie skutkiem głębokiej ciszy tego popołudnia letniego i tego młyna, co zdał się obracać w próżni! Mogło się istotnie człowiekowi udzielić to wrażenie ospałości, w której widocznie pogrążony był młynarz ów niewidzialny: śniło mu się raczej, że gra, niżli grał rzeczywiście.

Było to wrażenie jedyne w swoim rodzaju, Mości Panie de Fierdrap, zwłaszcza gdy pomyślę o tem, co się później stało. W takiej to chwili ukazał się Des Touches na mizernej murawie, okrywającej wzgórze. Stawił się pierwej, niż reszta Dwunastki, lecz widział, że oboje tam już jesteśmy: Just Le Breton i ja. Dał nam znak, żebyśmy byli cicho. Szedł bez broni, z rękoma próżnemi. Po rozstaniu się z nami, nie wyrwał nawet kółka z płotu na kostur.

Otworzył skublowe drzwi wiatraka i wszedł do wnętrza... *Pizzicato* ustało... Było to zupełnie jak z zegarkiem, co jeszcze przed chwilą odzywał się *tyk-tak* a nagle stanął“.

— „I z tobą jest tak samo — rzekł do niej ksiądz, kiedy się zatrzymała, napawając się wra-

żeniem, jakie wywołała. Widziała bowiem, że jej opowieść wrazenie wywierała na Imci Pana de Fierdrapi na brata. — „Mówno dalej, Mościa Panno Siostró; nie stawaj! Nie pal nas na wolnym ogniu!“.

— „To nasi!“ — rzekł Just Le Breton, widząc, że nadchodzą — (mówiła dalej). — Zdążali w sam czas na ową chwilę, którą ja teraz mogę nazwać ostatnią; wówczas była to jednak tylko chwila nieokreślonego niepokoju.

Wyszli na wzgórze i spostrzegli nas.

— „Przychodzimy na miejsce umówione“ — rzekł La Varesnerie. — „Gdzie Kawaler?“

— „Tam jest!“ — odrzekłam. A tymczasem odkąd wszedł do młyna, miałam oczy bez ustanku wlepione w te drzwi, co za nim zostały otworem.

Wyszedł z nich. Da się-li jednak powiedzieć, że z nim był ktoś drugi? Za kark trzymał oburącz młynarza, tak, iż obie te ręce otoczyły zatemu szyję nakształt obojczyka. Młynarz z Niebieskiego Wiatraka był ogromny i brzuchaty, on zaśię włókł go za sobą po ziemi.

— „Do licha!“ — ozwał się Desfontaines (stając się ciągle naśladować Vinel-Aunisa) — „jak widzę, to nietylko młyn jest niebieski, bo już i młynarz niebiesko wygląda!“

Gdy na progu cichego młyna stanął Des Touches, nie wyszedł z nim nikt, oprócz młynarza, który zdawało się, iż bynajmniej nie ciąży onym rękóm, co mu się w szyję wpily. Pomyśleliśmy

sobie wówczas, że wszystko już skończone... że go zabił... i to samo przez się było dość tragiczne — nie prawdaż, Baronie? Ale gdzie tam! Niebawem przed oczyma naszymi rozegrać się miała nie taka tragedia!

Młynarz zemdlął był w kleszczach des Touches'a. Krew go zalała; apoplektyczny bowiem ten człowiek krwi w sobie miał pełno, jak beczka nalana po same brzegi; żył jednak a czkolwiek nieprzytomny. A Kawaler Des Touches natęzał się swą w stosunku do siły przeciwnika, wiedział przeto, że ten człowiek nieruchomy żyje.

— „Mości Panowie“ — „oto zdrajca, oto Judasz, który mnie wydał Niebieskim Mundurom! Za wszystkich, co polegli w Avranches, za Vinel-Aunisa, który prawdopodobnie zginął, za *Jmci Pana Jakuba*, zabitego dzisiejszej nocy i pogrzebanego dziś rano, za całe dwa tygodnie, w ciągu których poili mnie obelgami, jak wodą i karmili najohydniejszymi katuszami, jak chlebem, za wszystko to zda obecnie rachunek ten człowiek. Ukaranie go biorę na siebie...“

Słuchaliśmy w przekonaniu, że odwoła się do naszych karabinków, ale on dzierzył ciągle w zaciśniętych rękach szyję tego człowieka, którego ciało zwisało bezwładnie na ziemi; głę węż zaś jego olbrzymią Kawaler wsparł na swem udzie, jak dobosz bęben opiera.

— „Mości Panowie!“ — jął mówić dalej, nie stracił bowiem podczas tego wszystkiego zimnej krwi, dzięki czemu, z bystrością sobie właściwą,

spozstrzegł, iż kilku z nas ścisnęło lufę karabinów. — „Mości Panowie! zachowajcie proch przeciwko żołnierzom. Przypomnij sobie Mości La Veresnerie, żem Dwunastu Wybawców moich powołał jedynie na świadków przy wymiarze sprawiedliwości! Karę ja sam osobiście mu wymierzę... Piotr Wielki, który, o ile wiem, nie gorszy był odemnie, za żywota swego bywał częstokroć sędzią, a zarazem i katem.“

Nikt z pomiędzy nas, słuchających go, patrzących nań wtedy, nie domyślał się, co Des Touches zamierza uczynić. Lecz na to, by nietylko wykonać, ale choćby tylko zamierzać to, co on postanowił uczynić, trzeba było mieć nadludzką siłę... i być tem, czem on był!

Stał, trzymając w jednym ręku bawoli łeb młynarza. Wtem siadł mu na karku bezlitośnie okrzykiem, jak na koniu, a głowę jego ścisnął oboma kolanami. Myśleliśmy, że mu kark skręci. Ale to było jeszcze co innego, Mości Panie de Fierdrap!

Młynarz miał na sobie pas. Pasy takie noszą dotąd chłopci normandzcy z tkaniny giętkiej a tęgiej, która ujmuje w biodrach stany roboczego ludu tamtejszego. — „Udusi go!“ — mówiliśmy sobie w duchu, widząc, iż mu wolną swoją ręką pas ów odwiązuje. Każdy jednak ruch jego tłomaczyliśmy sobie fałszywie!

Nie! Rzecz stała się zgola niespodziewana i wręcz zdumiewająca. Gniotąc młynarza pomiędzy kolanami, chwycił za śmigę wiatraka, która prze-

latywała właśnie i osadził ją na miejscu odrazu! Był to tak wspaniały objaw siły, żeśmy aż krzyknęli z podziwu...

Dzierzył teraz oburącz śmigę i tak mówił:

— „Liczą wszyscy Waszą Mość, Panie Juście Le Breton, do ludzi najsilniejszej garści w całym Cotentinie. Możebyś tedy Waszmość dał radę przytrzymać mi przez chwilę tę śmigę, którą zasta nowilem w obrocie?“

Just nie zawahał się Des Touches przemówił do jego miłości własnej; trafił w tę cześć bałwochwalcza, jaką Le Breton żywił dla swojej mocy; trafił w one poczucie siły, którem się Just upajał, aż mu przyszło w końcu drogo za to zapłacić, gdyż później zginął od nieznaczonej rany...

Zaczem Just z dumą śmigę wiatraka wzięł z ręki Kawalera i zagrzany współzawdnicstwem, które w dziesięćkroć pomnaża siły ludzkie — utrzymał skrzydło młyńskie.

A gdy on je przytrzymał, Des Touches przez ten czas pasem przywiązał młynarza, rozciągnąwszy go na wznak wzdłuż śmigę, która — skoro ją tylko popuszczono — jęła na nowo kółować obrotem cichym i miarowym.

O! pręgiarz to był dziwny — nie prawdaż, Baronie? I widok dotąd nigdy nie widziany: ten człowiek przykrępowany do śmigę wiatraka, która się z nim kręciła bez końca!

Zakreślając ogromne swe koło w przestworzu, śmigę wraz z młynarzem przecinała powietrze; wносиła go w górę na to, by za chwilę zlecieć

z nim na dół i zlatywała z nim, by go na nowo wynieść w górę. Ruch i przewiew ocuciły go nibawem. Otwarł oczy. Krew o mało, że naporem swym nie rozsadzała mu twarzy — jak wino zbyt burzące rozsadza gąsiorek — poczem zbiegła mu wzdłuż ciała, więc poblądł. Des Touches'owi przyszedł do głowy koncept iście żeglarski:

— „Oho, zaczyna go brać morska choroba!“ — rzekł z wyrazem okrucieństwa.

Młynarz, który w pierwszej chwili otworzył był oczy, zamknął je zaraz, jak gdyby chcąc uchronić się przed tem okropnem wrażeniem, jakie nań wywierała ta otechłań powietrzna, w którą zapadał się na śmidze. I wciąż wznosił się w górę na tem nieubłaganem skrzydle młyńskim, by znowu zapaść się w dół i zapadał się, by znowu wzbić się w górę. Słońce świeciło mu prosto w twarz i olśniewając go, musiało pewnie pomnażać jeszcze srogość katuszy w onych męczarniach jego napowietrznych.

Nieszczęśnik — zrazu, odzyskawszy przytomność, krzyżeć począł, jak zarzynany albatros. Wkrótce jednak przestał krzyżeć... Nawet krzyżeć nie miał już odwagi, a przecie i tchórz ma jeszcze odwagę krzyżeć!

Bezwładnie leżał na białem płótnie śmigi, niby na śmiertelnej pościeli. Jestem szczerze przekonana, że to, co on wycierpiał, wręcz nie da się wyrazić. Były nań poty kropliste: z dołu widać było zlane potem jego skronie połyskujące na słońcu... Ichmoście nasi patrzyli na to suchemi

oczyma, nieporuszeni, z wargami zaciętymi. Lecz ja, Mości Panie de Fierdrap, c ulam, że nie jestem do tego stopnia mężczyzną, jak mi się zdawało. (Na żywy Bóg, poczułam to wówczas po raz pierwszy w życiu!). Ta odrobina kobiecości, która się we mnie tała, wzdrygała się na to i nie mogłam wystrzymać, by nie powiedzieć do straszliwego onego mściciela, do Kawalera Des Touches:

— „Na rany Boskie! Kawalerze, skróć mi Waszmość mękę“.

I podałam mu swój karabinek, on bowien nie miał broni.

— „Niechaj będzie — dla Boga na niebie, a dla Waszmość Panny na ziemi!“ — odparł. — „Tyle Waszmość Panna zdziałałaś dzisiejszej nocy, że niezego ci odmówić nie mogę!“.

Staął naprost śmigi, w odległości jakich trzydziestu kroków. Strzelcem tak był celnym, że w locie jaskółki morskie trafiał, stojąc w łódce rozkołysanej jak huśtawka. Wypalił; — a strzał wymierzony był tak, że gdy przed nim przechodziła owa śmiga, — człowiek rozciągnięty na niej, jako na celu ruchomym, w samą pierś dostał kulą, która go na wskrós przeszyła.

Biała śmiga zacierwieniła się strugą krwi, która z tego krwistego ciała tak silnym wytryskiem bluznęła, jak woda buchająca z sikawki; — a wielka plama czerwona zboczyła ścianę wiatraka.

Dotrzywał słowa Kawaler Des Touches! — W tej oto chwili, zmienił on ten spokojny, we-

solę *Niebieski Wiatrak* w straszliwy ów młyn czerwony, gdzie wykonała się pomsta nad zdrajcą. W jakich okolicznościach dopuścił on się zdrady, — tego nie dowiedzieliśmy się nigdy; musiały to być jednak okoliczności straszne, skoro mogły doprowadzić człowieka do tak nieubłaganej srogości. Jeśli dotąd stoi tam ów młyn, to z pewnością zowie się on po dziś dzień *Krwawym Wiatrakiem*... Może już obecnie ludzie nie wiedzą, czyja ręka i za co przelała tę krew, która zakrzepła czarną plamą na tej ścianie; ale widzieć musi ona tam dotychczas — owa krew i długo jeszcze świadczyć będzie tajemnym głosem, że się na tem miejscu stała rzecz jakaś przerażająca. A świadczyć o tem nie przestanie nawet i wtedy, gdy w pośród żywych nie będzie już nikogo, kto by umiał opowiedzieć owe krwawe dzieje!

— „A toż-to srogi mąż był z waszej *Pięknej Heleny!*“ — rzekł, zadumawszy się ksiądz.

— „Mój bracie, srogi mąż nie nasycił ani tą pomstą, ani tą męczarnią“ — mówiła dalej Jejmóść Panna de Percy. — „Myśleliśmy wprawdzie, że to mu wystarczy... ale niebawem wywiódł nas z błędu.“

Zeszliśmy razem ze wzgóрка: jedni wracać mieli do Touffedelys, drudzy tam, gdzie będą mieli ochotę, boć przecie druga nasza wyprawa skutek pożądaný odniosła. Kawalek tylko drogi mieliśmy jeszcze iść razem, gromadą. Słońce jeszcze nie zapadło na widnokręgu, jak to był zapowiedział

z całą ściślością Kawaler Des Touches. Uszliśmy już sporo ścieżką, wiodącą na dół. Idąc obok Justa Le Bretona, odwróciłem się wstecz i ostatnie spojrzenie rzuciłem na odludny pagórek... Słońce czerwienilo się jak gdyby zawstydzone, że musi zniżyć się ku ziemi, i krwawym spojrzeniem obrzucało młyn ów krwawy... Wiatr dał od morza, od tego morza, na które puścić się miał wkrótce Des Touches. Z powiewem wiatru śmigi obracały się szybciej, a z nimi kołował ciągle jeszcze trup w zapadającym zwolna mroku.

Nagle zdało mi się, że z kończystego dachu wznoszą się niewielkie słupki dymu. Rozpowiedzialem to w naszych szeregach.

— „Ogień tylko sam oczyszcza!“ — rzekł Des Touches.

I powiedział nam, że to on we wnętrzu wiatraka ogień podłożył. A jako nie opuszczała go ani na chwilę natura partyzancka, przeto dodał wnet wesolym żołnierskim tonem:

— „Ubędzie trochę mąki na obiad dla *Patryotów!*“

Ogień tlił się przez ten czas, gdyśmy odchodzili. Z kłębow dymu, które buchały ponad wzgórzem i zasłoniły je sobą, strzelił nagle płomień.

— „Świece zapala się za dusze zmarłych!“ — rzekł Des Touches. — „To moja świeca za duszę *Jmci Pana Jakuba*. Chciałbym światło jej widzieć zdaleka jeszcze dziś w nocy — poprzez mgły kanału La Manche.“

X.

Dzieje Rumieńca.

— „Szliliśmy jeszcze jakiś czas, potem“ — ciągnęła dalej Jejmość Panna de Percy — „ażeszmy stanęli na rozdrożu, z którego, jak promienie z gwiazdy, rozbiegało się w różne strony kilka dróg wiodących do miasteczek i wsi okolicznych. Tam-to mieliśmy się rozejść, uściskawszy sobie na wzajem dłoń po raz ostatni. Jedni ruszyli gościńcem do Granville i do Avranches, inni skierowali się ku Vire i ku Mortain. Umówiliśmy się, że się zbierzemy w Touffedelys w razie, gdyby miało przyjść do nowej wyprawy orężnej.

Des Touches puścił się drogą wiodącą wprost ku wybrzeżom; z całej Dwunastki tylko Just Le Breton ze mną, dotrzyśmy do ostatniej chwili towarzystwa. Człowiekowi temu, który przemawiał nas tragiczną grozą, a zarazem budził w nas nigdy nienasyconą ciekawość. Do Touffedelys mieliśmy wracać Odsypiskami — bo tak zowią się tamtejsze wybrzeża — zatem czekała nas długa droga wijąca się wzdłuż morskich zatok. Noc już zapadła i księżyc się wytoczył, za-

nimeśmy zeszli z pól uprawnych i dostali się na piaski. Kawaler przewodniczył nam, jak człowiek, co wie, dokąd idzie. Dzięki swemu doświadczeniu żeglarskiemu, co do minuty wiedział, kiedy jest odpływ morza, który go miał zanieść do Anglii. Lubośmy o tem nie mówili z sobą, jednak przypuszczaliśmy, że Kawaler ma chyba na tem odludnem wybrzeżu wiernego jakiego rybaka na swoje usługi. Dopieroż nas ogarnęło zdumienie, kiedyśmy, za jego przewodnictwem, wyszli na ostatnie odsypisko: wprost już stamtąd otwierał się widok na morze, rozciągające się w całej pełni, na morze błyszczące i ciche, rozlane w dal bezmierną, a zupełnie pustą. Ani żywej duszy, któraby tam czekała na Des Touches'a, ni łodzi leżącej na piaskach, którąby można zepchnąć na wodę, by go w drogę uniosła.“

— „Hej!“ — rzekł prawie radośnie — „dziś, dalibóg, jestem pewny, że niema szpiegów na brzegach. Od czasu, jak się dostałem do niewoli, mogli spać spokojnie, a na to nie było jeszcze dość czasu, by się już mogli dowiedzieć o mojem uwolnieniu. Będą się mieli z pyszna za swoje lenistwo. Są przekonani, że dziś rano dał kark pod gilotynę, więc wczasują się, Ichmście czatownicy!“

— „A to cielęta morskie!“ — przerwał Imci Pan de Fierdrap, który jako wielki rybołowca, oburzał się na wszelką straż nadmorską, jakiegobądź rodzaju. — „Oni zawsze tacy sami, bez względu na to, pod jakim rządem — te wojsko-

we amfobie! Przed Rewolucją, na to, by krzyż świętego Ludwika otrzymać, trzeba było dwudziesto-pięcioletniej służby oficerskiej, o ile kto nie odznaczył się niepospolitym czynem; ale w straży nadmorskiej potrzeba było mieć pięćdziesiąt lat służby. To najlepiej o nich świadczy, ile są warcii!“

— „Tak“ — rzekła Jejmość Panna Urszula. — Mało ją na razie obchodziła wartość i honor armii nadmorskiej, powiedziała też to swoje *tak*, równie dobrze jakby mogła powiedzieć *nie*; — „Ale jakie oni mieli śliczne uniformy, te mundury białe z wypustkami, zielonego morskiego koloru“ — dodała rozmarzona. Snać w jej pamięci przemknęła postać jakaś w takim właśnie uniformie, która się jej za młodu podobała i wszystko to razem, naksztalt mewy szybującej poprzez mgłę, przemknęło w szarym тумanie jej mdłych i małoszkowych wspomnień.

Jejmość Panna de Percy mało jednak dbała o marzenia Jejmość Panny Urszuli, równie jak o pogardliwe i niechęcią tehuące wynurzenia Imci Barona de Fierdrap. Nie zważając tedy na nich, mówiła dalej:

— „Ale na czem-że to Waszmość puścisz się w podróż morską, Kawalerze? — rzekłam doń — „na tem wybrzeżu nie widać nigdzie ani jednej deski. A Waszmość nie masz chyba przecie zamiaru z francuskiej strony na angielską puszczać się wplaw?“

— „Możnaby przepłynąć“ — odrzekł z głębokim przekonaniem; zapewne czuł się na siłach

po temu! — „Ale Mościa Panno, acz na piasku nie ma desek, wszelako są pod piaskiem“.

Wtedy dopiero poznaliśmy w całej pełni przeczność i zmysł praktyczny tego człowieka, który z urodzenia już przeznaczony był do wojny partyzanckiej. Posiadał on pamięć do miejsc, cechującą żeglarzy, a posiadał ją nietylko na morzu. Rozejrzał się po wybrzeżu, na któremesmy stali, wyjął z za pasa nóż ogrodniczy, z młyna prawdopodobnie zabrany, bo Niebieskie Mundury nie śmiałyby takiemu człowiekowi zostawić w rękę ani kawałka złamanego kozika. Tym zakrzywionym nożem ogrodowym jał kopać piasek, jak rybacy, szukający skorupiaków ziemnych“.

— „Właściwie należałoby powiedzieć: *jak łowcy*“... — przerwał Imci Pan de Fierdrap z całą powagą, jak gdyby szło o zasadniczą prawdę wiary — „nie pojmuję bowiem rybołostwa bez wody“.

— „Po chwili“ — mówiła dalej Jejmość Panna de Percy — „Des Touches wygrzebał motykę, a w kwadrans później motyką tą dokopał się do słynnej swej łódki. On sam zasypał ją był piaskiem w tem miejscu, gdy ostatnim razem wylądował we Francyi. Taki miał zwyczaj — jak nam to sam powiedział. Nie polegał na nikim. Gdy musiał wysiąść na ląd, by tam a tam doręczyć depesze, które mu powierzono — nie mógł tej łódki zrobionej własnoręcznie zostawić w byle pierwszej lepszej przystani, bo tam byłaby wpadła w ręce straży nadmorskiej.“

Wykopawszy łódkę, zaniósł ją sam na wodę co nie wymagało żadnego wysiłku. Łódeczka ta była istnem piórkiem. Skończył na owo piórko, które lekko tańczyć z nią zaczęło po falach. Niedawno temu na nowo stał się *Osq*, teraz miał się niebawem stać dawnym *Błędym Ognikiem!*

Utkwiwszy wiosło w ziemi, przytrzymał u brzegu łódkę, która się rzucała po falach, niby koń zrywający się do biegu.

— „Żegnaj mi Waszmość Panna, i ty Mości Juście Le Breton!“ — rzekł do nas stojąc na przodzie łodzi i skinieniem ręki nas pozdrowił. — „Kiedyż się zobaczymy? Chłopi już są zmęczeni walką, — wojna nie tego idzie. Kto wie, czy tam już nie mówią o zawarciu pokoju?... Konieczniemy trzeba, żeby który z Królewiczów przybył tu i wojnę podniecił na nowo... ale z nich żaden nie przybędzie!“ — dodał z pogardliwym uśmiechem, który mnie aż zabolął. Taki uśmiech nieraz ja widywałam na ustach u najwierniejszych nawet sług Domu Królewskiego — (tu z wtrzątem spojrzała na brata). — Wiem, że do tego nie przyjdzie“ — mówił dalej — „bym którego z nich przewoził do Francji na tej łódce, na której przyjechał był ze mną *Imci Pan Jakub*, Jeśli się ta wojna skończy, cóż się wtedy z nami stanie? przynajmniej ze mną? bom ja przecie do niczego, krom wojny, nie zdatny. Pójdę w świat i zginę gdzie w walce, i na tem wybrzeżu nie będą już ludzie mówili o Des Touches'u!“

Pożegnaliśmy go także nawzajem.

— „Czas mi w drogę“ — rzekł. — „Ot, już się i odpływ zaczyna!“

Zaczem przestał przytrzymywać łódź, tańczącą na spienionych wałach przybrzeżnych, i jednym sprężystym uderzeniem wiosła — jak to on umiał — pchnął ją na morze. Dobrze nawzajem znali się oboje: on i to morze!

Znikał w czeluściach wodnych między dwoma bałwanami i znów się nazywał jak morski ptak, co w lot nurkuje i wzbija się, otrzepując skrzydła. Można było zadawać sobie pytanie, czy on zdaje się na łaskę morza, czy morze na jego łaskę!

Ścigaliśmy go wzrokiem w świetle miesięcznym, co grało blaskami na wzdymających się nurtach. W końcu, gdy na pełne morze wypłynął, zasłoniły nam rozkołysane odmęty ową łupinę z kilku deszczulek skleconą, która go na sobie niosła — tę łódkę tak wątlą, iż niemal fantastycznym cieniem łodzi się wydawała!

Błądny Ognik zniknął nam z przed oczu...

Skierowaliśmy się ku Touffedelys, idąc piaskowemi ławicami. Pogoda była cudna. Jako Partyzantce, nie dziwna mi była noc pod gołem niebem, ale w życiu mojem niewiele równie pięknych nocy widziałam. Coraz to słabiej i słabiej dochodził do nas szum morza, które w tyle za nami zostało. W miarę odpływu, najbliższe brzegu skały podwodne wylaniały się z topieli. Od strony ładu schodziła wielka cisza. Drzewa stały nieru-

chomo. Na wzgórzu, w błękitnej dali, dopalał się spokojnie ów samotny wiatrak. Nikt go nie ratował. Pożar dobrze mu się dał we znaki; młyn miał już tylko trzy śmigły, które ciągle się jeszcze kręciły. Umieszczone musiały być widocznie tak, że nie odrazu mógł je płomień ogarnąć, ale w końcu przecie się zajęły. Jedno z nich zgożalo pierwszej, niż tamte trzy, które teraz dopiero w ogniu stały. Jarzyły się tedy i obracały ciągle, a krąg ten ognisty, jaki sobą zataczały, sypał deszczem iskier podobnie jak deszczem krwi rosił był po południu.

Straszliwy podpalacz onego wiatraka, choć już o tej porze daleko musiał być na morzu, jednak mógł widzieć tę pożogę i ten płomień wzbijający się w nieruchomem powietrzu, naksztalt płomienia pochodni. Noc bowiem była czysta, bez cienia mgły, co rzadko zdarza się na La Manche: to morze, zielone jest jak łąka, oparami zaś na tej łące bywają mgliste tumany

Nie wiem, skąd mi się to wzięło, lecz ogarnął mnie smutek — mnie, com zawsze gotowa śmiać się na całe gardło. Kobieta poczułam się, patrząc wówczas na okrucieństwo Des Touches'a, i teraz, w tem partyzanckiem ubraniu, znowu się czułam kobietą...

Przepelniała mi serec litość nad Amata: miałam ją wkrótce zawiadomić o zgonie *Imci Pana Jakuba*. Śmierć tę pomścił wprawdzie Des Touches, ale dla niej to nie żadna pociecha!“.

Jejmość Panna de Percy zamilkła tym razem, jak ten, co skończył opowiadanie. Rzuciła nożyczki; dotąd uderzała nimi po swym hafeie, który leżał na stoliku wraz z kłębami włóczki.

— „Masz tedy, Mości Baronie“ — rzekła do Imci Pana de Fierdrap — „owe dzieje porwania Des Touches'a, które ci brat mój zapowiadał“.

— „Ty zasię wybornie o nich *gadałaś*, — droga mo a Percy“ — rzekła Jejmość Panna Sankta. — Chciała być nader uprzejmą, lecz naiwnemi usty okropną jej oddała pochwałę, używając tego wzdurliwego słowa.

Imci Baron de Fierdrap zrazu żalobę Amaty lekce sobie ważył: on, przeciwnik wszelakich tkliwych uczuć, rybak łowiący okonie, co sam okoniem stawał przeciw zapędom Amora — jak mawiał ksiądz w przystępie kalemburycznej weny — Imci Baron de Fierdrap obecnie się rozrzewnił. Zmartwychwstał w nim dawny baron Hylas; zapragnął tedy, by mógł jeszcze usłyszeć coś o Amacie.

— „Ja sama zawiadomiłam ją o śmierci narzeczonego“ — mowiła doń Jejmość Panna de Percy. — „Pobladła, jak gdyby miała paść trupem na miejscu i zamknęła się u siebie, by ukryć lzy. U Amaty — jak to zauważyć mogłes Mości Baronie — wszystko rozgrywa się wewnątrz, na zewnątrz nie traci ona nigdy równowagi. Bolesć swą zawarła na dnie serca, jak świętość, którą się przechowuje w relikwiarzu. Jedynym widowym jej żaloby objawem było to, iż kazała

rozkopać ową mogiłę wśród zarośli, gdzieś pogrzebali człowieka, którego mężem swym nazywała. Po wyjęciu z grobu, zawinęła zwłoki w tę ślubną suknię, którą miała na sobie owego wieczora. Z niej ona dlań całun śmiertelny zrobiła.

A jako iż jest wielce pobożna, nie mogła znieść tej myśli, że kiedyś przy nim na wieki nie legnie. Przeto później, gdy duchowieństwo do kraju powróciło, a kościoły pootwierano na nowo, kazała go przenieść do poświęcanej ziemi. Wszystko to jednak, Mości Baronie, odbyło się bez pompy, bez rozgłosu, li tylko dla zadośćuczynienia sercu. Żal, który jej serce ściska, pokrywa ona takimi uśmiechami, co ludziom nieszczęśliwym rozwierają niebo — nieszczęśliwym, ale zawsze jeszcze od niej szczęśliwszym.

Wśród całej onej rozpaczki, bladeść nie zesza już nigdy z jej twarzy, i nigdy nie odkwitły jej lica tym szkarlatem, co płonie w na pół rozwitym kielichu róż mehowych. Ta krasa niegdyś czyniła z niej królową wszystkich róż walońskich w krainie, gdzie najprostsza dziewczyna olśniewa oczy świeżością twarzyczki. Ale gdy się dowiedziała o wyzwoleniu Des Touches'a, wówczas dziwna jakaś oblała ją zorza; i nagle Amata podobną się stała do koralowego posągu.

Dotąd jeszcze nie wyjaśniła się, Mości Panie de Fierdrap, tajemnica tego niesłychanego rumieńca! Lata przeszły, czas mija, życie dla niej stało się jedną wielką ciszą, jedną głęboką zadumą i głuchotą; owa bezecna głuchota murem oddzieliła

ją od reszty ludzi, iż zamknięta jest w onej wieży, jak sama powiada. Ale niech tylko nazwisko Des Touches'a (o którym teraz tak rzadko się wspomina) wymówi kto przypadkiem w jej obecności, a niech się to zdarzy takiego dnia, gdy ona trochę słyzy — natychmiast ognisty rumieniec ukaże się na jej skroniach dziewiczych i przezczystych. tam, gdzie siwe włosy jużby się snuły srebrnymi nitkami, gdyby nie to, że jest taka jasno-płowa. To jest nie do wiary, Mości Baronie — a jednak to prawda szczerą. Słuchaj Waszmość! — Jabym najmniejszej nawet umyślnej przykrości wyrządzić jej nie chciała i to mnie jedynie wstrzymuje. Ale gdybym teraz wstała i podeszła ku niej tam, pod lampę, gdzie ona nad robotą siedzi od trzech godzin i ani słowa nie słyzy z tego, cośmy tu mówili — gdybym teraz krzyknęła jej do ucha:

— „Amato, Kawaler Des Touches nie zginął! Książd niedawno spotkał się z nim na placu“...

— Założmy się, Mości Baronie, że rumieniec, ów zagadkowy rumieniec, oblałby twarz narzeczonej *Imci Pana Jakuba*; a przecie ona tylko jego jedyne w swoim życiu kochała“...

— „Nie przeczę“ — ozwał się książd poważnie. — „To rzecz pewna, że kochała *Imci Pana Jakuba*. Lecz kto wie...“ — dodał, zniżając głos; była to zbyt uczona wobec niej ostrożność, a mimo to szeptał, jakby sam własnych słów się obawiał: — „Kto wie... gdyby tak jednak... aczkol-

wiek to niemożliwe... gdyby jednak ona tak czystą nie była..!“

I urwał, nie śmiał dokończyć. Ten ksiądz, wielki pan z urodzenia, nie słów już samych, lecz własnej uląkł się myśli.

— „A! Mój bracie!“— krzyknęła Jejmość Panna de Percy; w głosie jej drgała zgroza i głęboka pewność, że to nie mogło być prawdą. Równocześnie tupnęła nogą, co rozmiarami swemi przypominała stopę królowej Berty *).

Nawet obie Touffedelys nagle stały się bardzo drażliwe, bo i ograniczone umysły miewają czasem chwile, w których podlegają silnym uczuciom. Zaczem w świętem oburzeniu cofnęły się gwałtownie razem z krzesłami, co miało wyrażać, do jakiego stopnia gorszyło je przypuszczenie księdza.

Ksiądz nie dokończył... I tak aż nadto powiedział. Kapłan bywa najlepszym znawcą dusz... Wzrok jego bystry, zaprawiony przy spowiedziach, sięga zawsze głębiej, niżli wzrok innych ludzi. Podobno Zahuri widzi trupa poprzez murawę, która na grobie rośnie. Ksiądz bywa Zahurim naszych sere.

Spojrzał na Jmci Barona de Fierdrap, który mrugał wprawdzie okiem, ale i on ani słowa nie pisał.

*) „Berthe au Grand Pied“, bohaterka Chansons de geste, matka Karola Wielkiego, według podań francuskich, miała mieć stopę jedną większą od drugiej.

Wtem zabrzmiało coś dziwnie, jakby organy: to beczka Bachusa wydzwaniała drugą godzinę. Psy pana Mesnilhoussean nie wyły wcale. Cisza, której nie mącił szum de-ze-za, zapanowała na dworze i zalegała salonik. Usnął nawet świerszcz, owa cykada domowa, którą Jejmość Panna Sankta nazywała *ksykaczem*.

— „To dopiero“ — ozwał się Jmci Pan de Fierdrap — „nie wypilem herbaty, tak mi zawróciła głowę cała ta historia!“

Otwarł herbatnicę i nos w nią wetknął. Woda wrząc ustawicznie, wygotowała się całkiem.

— „Tak się dzieje ze wszystkim“ — rzekł ksiądz bardzo poważnie. — „Zabierajmy się, Fierdrap! Bo Ichmość Panny spać pójdą. Dzisiejszego wieczora byliśmy niewstrzemięźliwi w nadmiarze... pogadanki“

— „Nie o dzień można sobie tak pozwalać“ — rzekł Jmci Pan Baron — „Mimo to mam djabelną ochotę zajrzeć tu znowu jutro. Skoro jesteś pewny, żeś go spotkał na Placu Kapucyńskim, to może do jutra dowiemy się czego o Des Touches'u.“

Poszli. Jejmość Panna de Percy okazała swe kształty razem z kwefem wschodnim pograżyla była w otchłanach tyftykowego kaptura. Ksiądz, bardziej niż kiedykolwiek, miał prawo nazywać ją w tym kapturze „swoim dragonem“. Z powagą podał jej ramię i szłapał po bruku drewniankami, przysiępi wując jej półgłosem pierwszą zwrotkę piosenki, którą niegdyś dla niej ułożył:

Broń na ramię, marsz, parada!
Pewien wojak, zuch nielada
Maszeruje z gęstą miną,
Lecz ten wojak jest dziewczyną...
Panna w wojsku — koniec świata!
Broń na ramię! Bum! Tratatata!

Baron i ksiądz nieśli zaświecone latarki i wszystko troje odprowadzili tryumfalnie Jejmość Pannę Amatę. Przez uszanow nie dla tak dostojnej mieszkanki, Panny Bernardynki pozwały jej wracać późno, bez względu na klauzurę.

Ksiądz, jego si stra i baron, jedno mniej, drugie więcej — byli wszyscy pod wrażeniem bohaterkiej historii, która się odegrała za ich młodych lat. Ale więcej od nich przejęty był nią *ktoś*, który tam również był obecny, aczkolwiek o nim dotąd wcale jeszcze nie wspomniałem. To, co sami pomiędzy sobą mówili, tak pochłaniało całą ich uwagę, że zupełnie o nim zapomnieli. I ja zapomniałem.

Owym *kimś* było dziecko. Zajęci opowiadaniem nie zwracali na nie uwagi. A chłopiec, siedząc na krzeselku, o marmurowy kominek opierał głowę, przedwczesnie myślami obciążoną.

Miał lat około trzynastu. W tym wieku jeśli się jest *grzecznym*, można nie być posłanym do łóżka, zwłaszcza u tych, którzy lubią dzieci. On zaś tego dnia był przypadkiem greczny, został więc w owym staroświeckim salonie. Patrzył i w młodą jego pamięć wrażały się te postaci, jakich teraz już się prawie nie spotyka. Zajmowały

go te typy, w których obok prostoty, śmieszności cudaczności tyle było szlachetnego charakteru i tyle uczuć wzniosłych i wielkich!

Jeśli tedy opowiadanie to zaciekaśniało was, to szczęśliwie się złożyło, że tam był ów chłopiec, bo gdyby nie on, dzieje te byłyby raz na zawsze pogrzebane w popiołach ogniska, które wygasło na kominku u Jejmość Panien de Touffedelys. Rodzina ich wymarła już do tego czasu, a dom ich przy ulicy Karmelickiej przeszedł w ręce krewnych, de Tourville'ów; mieszkają w nim teraz przejezdne Angielki podczas pobytu swego w Valognes. Niema już więc na świecie całym nikogo, ktoby historję tę mógł wam opowiedzieć i dokończyć jej, boć to przecie widoczne, że na tem ona się skończyła.

Jejmość Panna de Percy nie doprowadziła opowiadania tego do końca ani tym, ani innym razem. Zatrzymała się na owym rumieńcu, na który jednym powiedzeniem swoim, ksiądz rzucił tak dziwne światło, ku niemałemu oburzeniu swej siostry. Jejmość Panna de Percy pokładała wiarę niezłomną w Amacie i wiary tej nie w jej dzielnem sercu nie zachwiało. Amata de Spens zachowała swą tajemnicę, a Jejmość Panna de Percy zachowała dla niej cały swój szacunek. I zmarła wierząc, że Amata była tą Dziewicą-Wdową — jak ją nazywała sama — i że godna wejść do nieba z dwiema palmami w rękach, z dwiema palmami, za dwa spełnione poświęcenia!

Ksiądz, który miał takt właściwy niepospolitym umysłem, nigdy najmniejszej wzmianki nie zrobił o Des Touches'u, w obecności Jejmość Panny de Spens. Ta zaś straciwszy z kolei obie Touffedelys po Jejmość Pannie de Percy, zamknęła się w klasztorze na dobre i choć nie złożyła ślubów, jednak za furtę nigdy już nie wyszła.

Ale chłopiec, o którym wspomniałem, dorósł, a życie aczkolwiek namiętne, pełne szlacheckich uciech i wstrętnych przesytów — nie zdołało mu zatrząść w pamięci tego wspomnienia z lat dziecinnych i owej historii, na którą składały się jak na tyrsos, dwa przewijające się wzajem opowiadania: jedno rycerskie, a drugie smutne.

Jak wszystko, co piękne na ziemi ginie, nie wypowiedziałwszy się ostatecznie — tak oba te opowiadania urwały się — nie dokończone!

Co się stało z Kawalerem des Touches?... Pan Baron de Fierdrap liczył, iż dzień następny przyniesie o nim jakie nowiny, ale się zawiódł. Nikt w Valognes nie wiedział nic o Kawalerze Des Touches. A przecie to nie było przywidzenie księdza, bo ksiądz de Percy nie miał takich widzeń, jak Jejmość Panny de Touffedelys lub jak zegarmistrz Couyart. Widział on Des Touches'a na prawdę i rzeczywiście. Zatem Des Touches musiał być w Valognes, choćby przelotnie. Ale nie został w mieście.

Z drugiej strony — jaką rolę w życiu tej pięknej i czystej Amaty de Spens odegrał ów Des Touches? To było drugą tajemnicą.

Nad dwoma pytaniami wisiały ciągle dwa znaki zapytania i to przez lat dwadzieścia z górą. Aż nareszcie okoliczności złożyły się na rozwikłanie dręczącej zagadki, związanej z temi wspomnieniami. Kto wie — czy przez myślenie o czemś ustawicznie, nie można pokierować trafem?

Ponieważ nigdy myśleć o tym człowieku nie przestałem, przeto istotnie trafem dowiedziałem się o nim, że jeszcze żyje i że mój zacny ksiądz de Percy nie mylił się, mówiąc, że go widział i że go ma za waryata.

Powracając z Anglii, uciekł on tym, którzy mieli nad nim pieczę i odstawiali go w rodzinne jego strony: uciekwszy, przemknął przez Valognes, jak król Lear, po nocy, wśród zawieruchy, i wpadł do jakiejś rodziny, którą przeraził szalem swego oblędu. Zawiedziona duma, nieocenione zasługi, okrucieństwo losu, który używa czasem ukochanej ręki do ciosów, jakie zadaje — wszystko to razem sprawiło, iż on, chłodny i niewzruszony niegdyś jak Claverhouse, stał się zupełnym furyatem, a siła jego niespożyta — spuszczeniem groziła, nakształt żywiołowej kłęski.

Zamknięto go cichaczem w domu waryatów, gdzie żył od lat dwudziestu. Wszystkie te szczegóły dochodziły mnie zwolna, potrosze, jak gdyby je kto przedemną z umysłu starał się zataić. Dowiedziawszy się nakoniec o wszystkim, poprzyśiągłem sobie, że muszę ujrzeć tego człowieka. Wszak w mej pamięci stał on odmalowany przez kobietę, która go znała, że lepiej nie umiałby go

odmalować zaden poeta. I to mnie pociągnęło, że bohatera tego zobaczę w tak oplakanyim stanie, że moim oczom ukaże on się umarły i gnijący z najstraszniejszej mogile: w domu obłąkanych! O, bo dobrze jest hartować sobie serce wzgardą wielkości ludzkiej, a nadewszystko wzgardą sławy: toć ona gruszki na wierzbie obiecuje tym, co jej zautali, i wierzą, iż ona jedna nie myli!

Nadszedł nareszcie dzień, gdy mogłem Des Touches'a widzieć i w myśli porównać jego postać młodą, wysmukłą i groźną, podobną Perseuszowi, ucinającemu głowę Gorgony — z tym zgrzybiałym starcem o twarzy zeszepeconej obłędem i spoliczkowanej wszelkiemi ciosami przeznaczenia.

Zbyteczna podawać tutaj, co czynić musiałem, by go zobaczyć; dość, że go ujrzałem. Oddawna już opuściła go furja, więc zastałem go, jak siedział na kamieniu wpośród wielkiego czworobocznego dziedzińca. Podwórze to było bardzo czyste i białe, okolone podcieniami. Odkąd *nie furjował*, wypuszczono go z za kraty i pozwalano mu błądzić po tym dziedzińcu, gdzie pawie przechadzały się dokoła sadzawki, otoczonej rabatami, na których rosło mnóstwo czerwonych kwiatów. On patrzył na te czerwone kwiaty oczyma o barwie błękitnej, morskiej, ale w jego wzroku nie było znać nic, krom płomyka, który palił się bezmyślnie, jak opuszczone ognisko: nikt się przy niem nie ogrzewa.

Uroda *Pięknej Heleny*, uroda tego człowieka, co niebiańską pięknnością przewyższał nawet śli-

czną Amatę — jak mówiła Jejmość Panna de Percy — owa uroda znikła do szczętu i nie zostało po niej ani śladu. Ale siła po niej została jeszcze. Był jeszcze widocznie mocny, pomimo że go wyczerpało dwudziestoletnie szaleństwo, które mniej tęgiego człowieka byłoby zdolne strawić zupełnie. Ubrany był w kurtkę niebieską, zapiętą na kościane guziki, a na szyi miał chustkę z jedwabnego jerseyu, jak majtek. I dobrze mu w tem było: wyglądał istotnie na starego majtka, który na łądzie czeka i nudzi się, nim statek odpłynie.

Lekarz powiedział mi, że z wiekiem, po furiach nastąpiło u niego przytępienie i że najzupełniejszą, nieuleczalną chaos panuje między jego władzami umysłowemi: wydaje mu się, że jest gubernatorem miasta, że ma dwa tysiące lat. Prawdopodobnie zatem nie zdołam wykrzesać zeń ani jednego przebłysku przytomnej myśli.

Wszelako ja nie zachodziłem go bynajmniej z boku, lecz prosto z mostu rzekłem doń odrazu:

— „Więc to Waszmość jesteś Kawaler Des Touches!“

Wstał natychmiast jakby na zawołanie i zdejmując kaszkiet skórzany, ukazał czaszkę łysą i połyskującą nakształt kuli bilardowej.

— „To dziwne“ — ozwał się lekarz. — „Nigdybym nie przypuszczał, że nań podziła jego nazwisko, bo pamięć utracił już zgoła.“

Mnie to jeszcze bardziej zachęciło, rzekłem tedy niezwłocznie:

— „Pamiętasz Waszmość swoje wyzwolenie z Coutances, Mości Panie des Touches?...“

Patrzył przed siebie w próżnię, rzekłbyś, że w niej coś dostrzega.

— „Tak“ — odparł, niby szukając w pamięci — „Coutances!“ — i dodał zaraz, już bez namysłu: — „Ha, ten sędzia, co mnie na śmierć skazał, to ten łotr...“

Tu wymienił jego nazwisko. Rodzina tego nazwiska żyje dotąd w owych stronach. Czy jego błękitne miotały fosforyczne blaski, ziejąc nieubłaganą nienawiścią.

— „A pamiętasz Waszmość Amate de Spens?“ — pytałem, kując żelazo, póki gorące, bo lękałem się, że za chwilę będę znowu miał przed sobą szaleńca. Wywierałem tedy nacisk na jego pamięć użytą, chcąc ją tym sposobem obudzić.

Wzdrygnął się.

— „Tak, pamiętam również...!“ — odrzekł prędko, a w oczach jego znać było jakby napływ myśli. — „Amata de Spens... uratowała mi życie... piękna Amata!“

Może byłem na tropie tej historii, której Jejmość Panna de Percy nie dopowiedziała do końca... Ta myśl wzbudziła we mnie wolę magnetyczną, która na chwilę zdolna jest waryata ujarzmić i zmusić go do posłuszeństwa.

— „A jakże ona tego dokazała, Mości Panie Des Touches? Powiedz-no Waszmość!...“

Wysiłkiem udało mi się tchnąć w jego piersi duszę moją własną. Nareszcie!

— „Powiem“ — rzekł mi. — „Byliśmy sami w Bois Frelon — wiesz Acan? tam, pod Avran-chés!... W domu nie było, prócz nas, nikogo — wyszli... Niebieskie Mundury zakradły się tymczasem pod dom... Nieraz się tak zakradali chyłkiem... Otoczyli dom... Było to wieczorem. Byłbym walczył do upadłego, nie żalując życia, byłbym strzelał przez okna, jak wtedy pod Kosą — ale miałem depesze przy sobie. Depesze te paliły mnie jak ogień... Frotté czekał na nie... — Wszak oni zabili Frottégo? Nieprawdaż?“ — Złakłem się, by za myślą o Frotté'm nie zapędził się zbyt daleko od tego, co ja zeń wydobyć chciałem.

— „Zabili, rozstrzelali“ — rzekłem. — „Ale Amata, cóż z Amata?“

I gwałtownie potrząsałem go za ramię.

— „A tak“ — mówił dalej — „pomodliła się... odsunęła franki, aby ją mogli dobrze widzieć... Była to pora, by pójść spać... Rozebrała się. Do naga się rozebrała. Nie mogło im nawet przez myśl przejść, że tam przy niej może być mężczyzna. Widzieli ją. Ja także ją widziałem... Piękna była!... A czerwona. cała jak te kwiatki..“ — wskazał na kwiatki rosnące na rabatach.

Oczy jego stały się napowrót próżne myśli i mdle i jał bredzić od rzeczy...

Nie potrzebowałem już obawiać się jego obłądu. Miałem w ręku tę upragnioną historję! Tych kilka słów mi wystarczyło. Wszystko sobie w myśli odtworzyłem. Byłem jak ów Cuvier! Więc istotnie ksiądz nie miał słuszności. Słuszność miała

jego siostra. Wdowa po *Imci Panu Jakubie* była istotnie *Wdową-Dziewicą!* Amata czysta była jak lilia! Ocaliła jeno życie Des Touches'owi, jak nigdy nikomu żadna kobieta nie ocaliła życia. Ocaliła mu je, wstyd swój własny dobrowolnie bezczeszcząc. Niebiescy z zasadzki swej ujrzawszy przez okno, iż nieskalana ta kobieta zabiera się do spania i suknie wszystkie z siebie zwałczy, jak gdyby sama jedna była w obliczu Boga — nie mieli najmniejszego podejrzenia: tam nie mogło być nikogo! Więc odeszli — Des Touches był uratowany.

Des Touches widział ją tak samo, jak ją Niebiescy widzieli... młody był i nie zdobył się może na to, by zamknąć oczy i nie patrzeć na urodę tej cudnej dziewczyny, która dla ocalenia go poświęciła w tej chwili nieskażony pyłek kwietny swej duszy i swój srom anielski. Mając do wyboru między tą drażliwą i hardą wstydlivością a tą litością, która nakazuje życie ludzkie ratować — nie zawahała się... O, zawahała się z pewnością, lecz ostatecznie wzięła kielich wstydu i wychyliła go duszkiem. Jejmość Panna De Sombreuil wypila tylko szklanekę krwi, by ojen życie uratować! Od tej pory Amata musiała cierpieć tyle, co i tamta... Te rumieńce, którymi płonila się w obecności Des Touches'a, rumieńce które ją oblewały od stóp do głów, na samą wzmiankę o nim, buchnęły na nią purpurową falą w on dzień, gdy Jejmość Panna De Percy rzekła do niej: *Des Touches będzie twoim*

družbą — a mówiąc to, nie przypuszczała, że tem słowem dotyka najboleśniejszej struny jej serca. Gotowe zawsze wytrysnąć, rumieńce te były oznaką męczarni, która trawiła bezustannie jej duszę. A ilekroć krew jej wzburzona wspomnieniem sromotnem, czerwieniła ją szkarłatem swoim, tylekroć spełnione poświęcenie rosło w cenę i coraz piękniejszym się stawało!

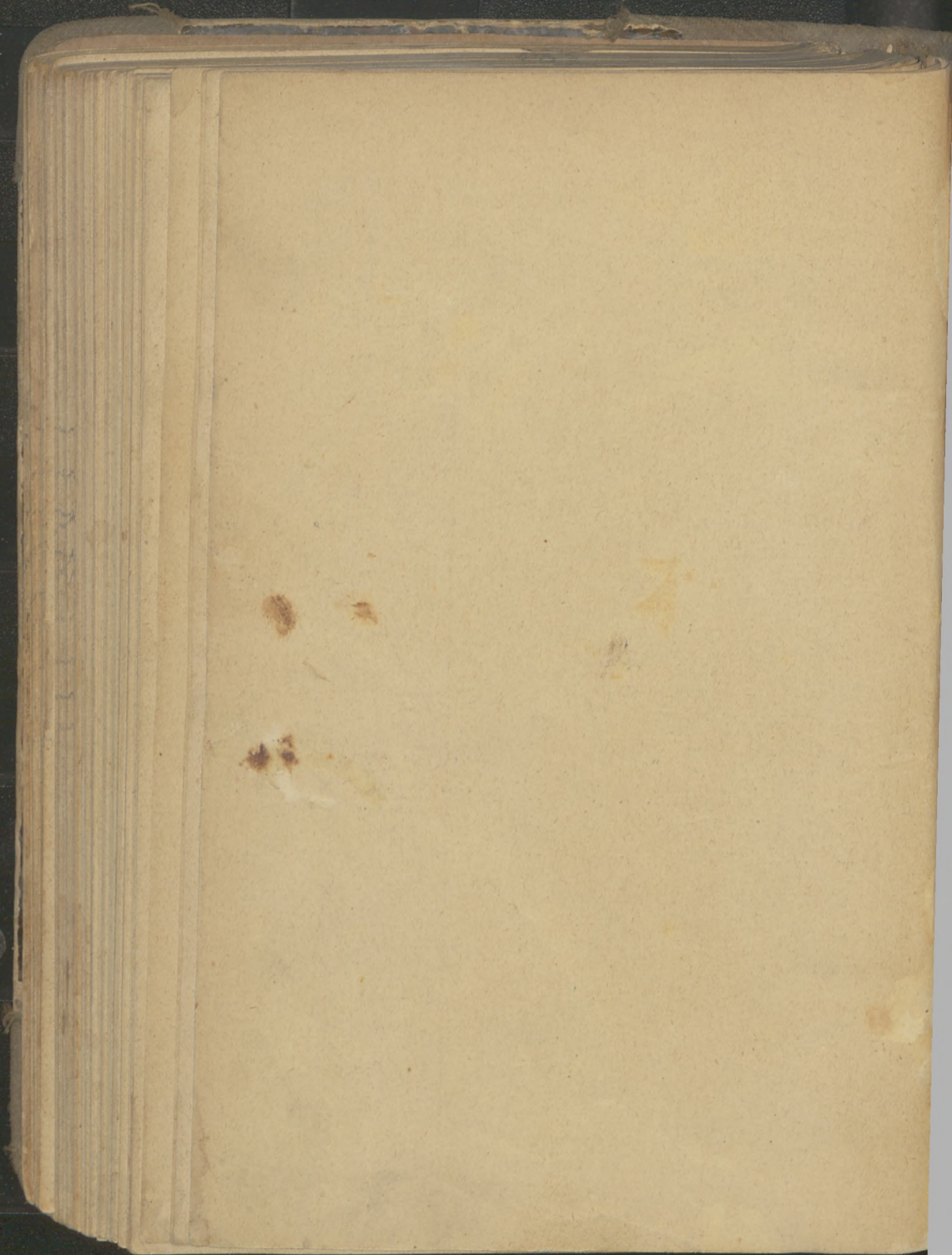
Przyznaję, że gdym z domu obłąkanych wyszedł, myśl moją zajmowała wyłącznie Amata De Spens. Zapomniałem niemal o Des Touches'u... Ale przed odejściem z tego dziedzińca, odwróciłem się jeszcze, by nań spojrzeć... Siedział znowu na kamieniu i temi oczyma, które przebijały niegdyś mgłę morską, przestrzeń, dał niezmierną, szeregi wrogów i dym wznoszący się nad polami walki, patrzył tylko na owe czerwone kwiaty. Dopiero co porównał on do nich Amatę, a teraz w bezmyślnym oblędzie może ich już nawet nie widział przed sobą....

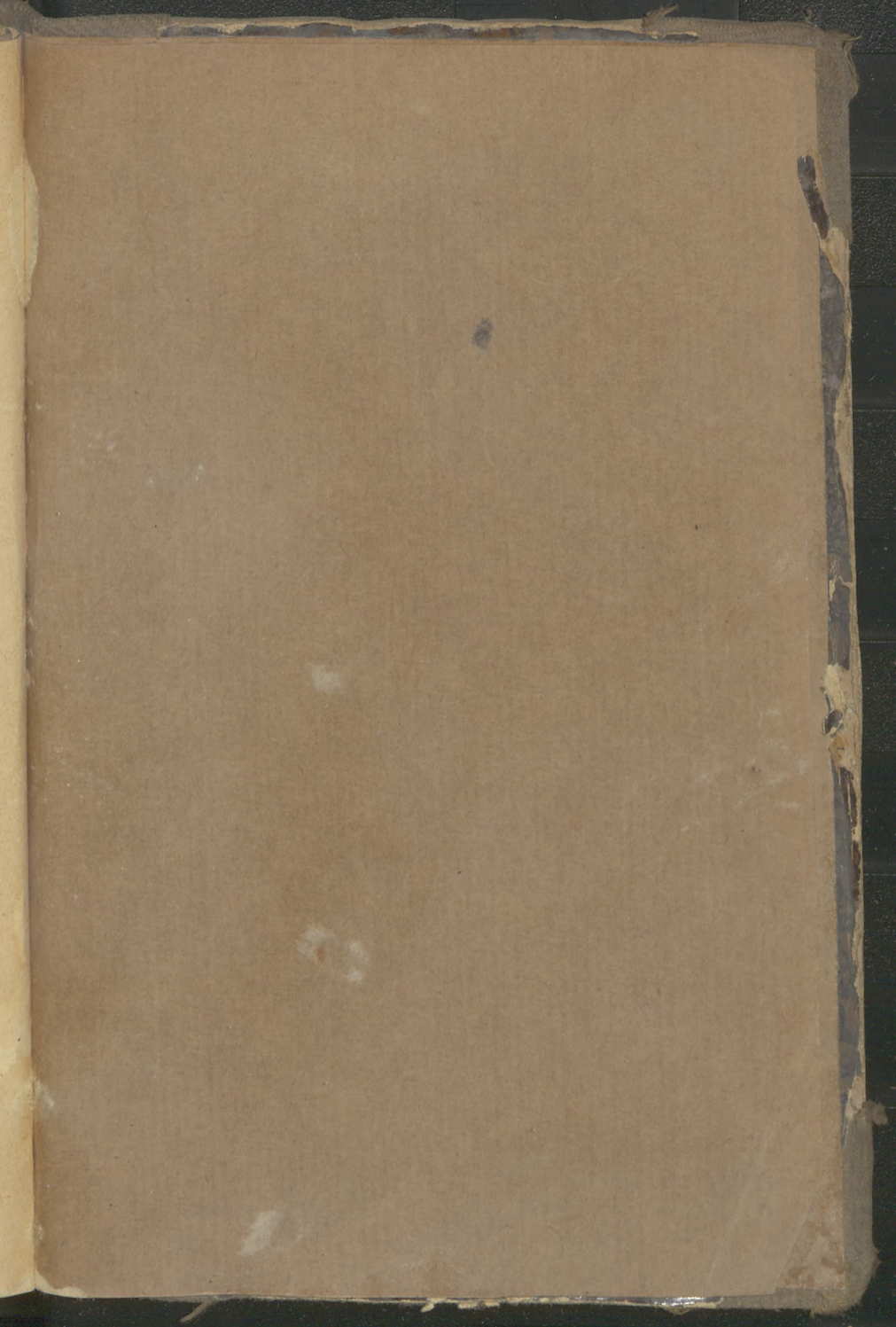
WŁADYŚLAWOŚĆ NIE POZBYWALNA
ŚWIETLIWY
WŁADYŚLAWOŚĆ NIE POZBYWALNA

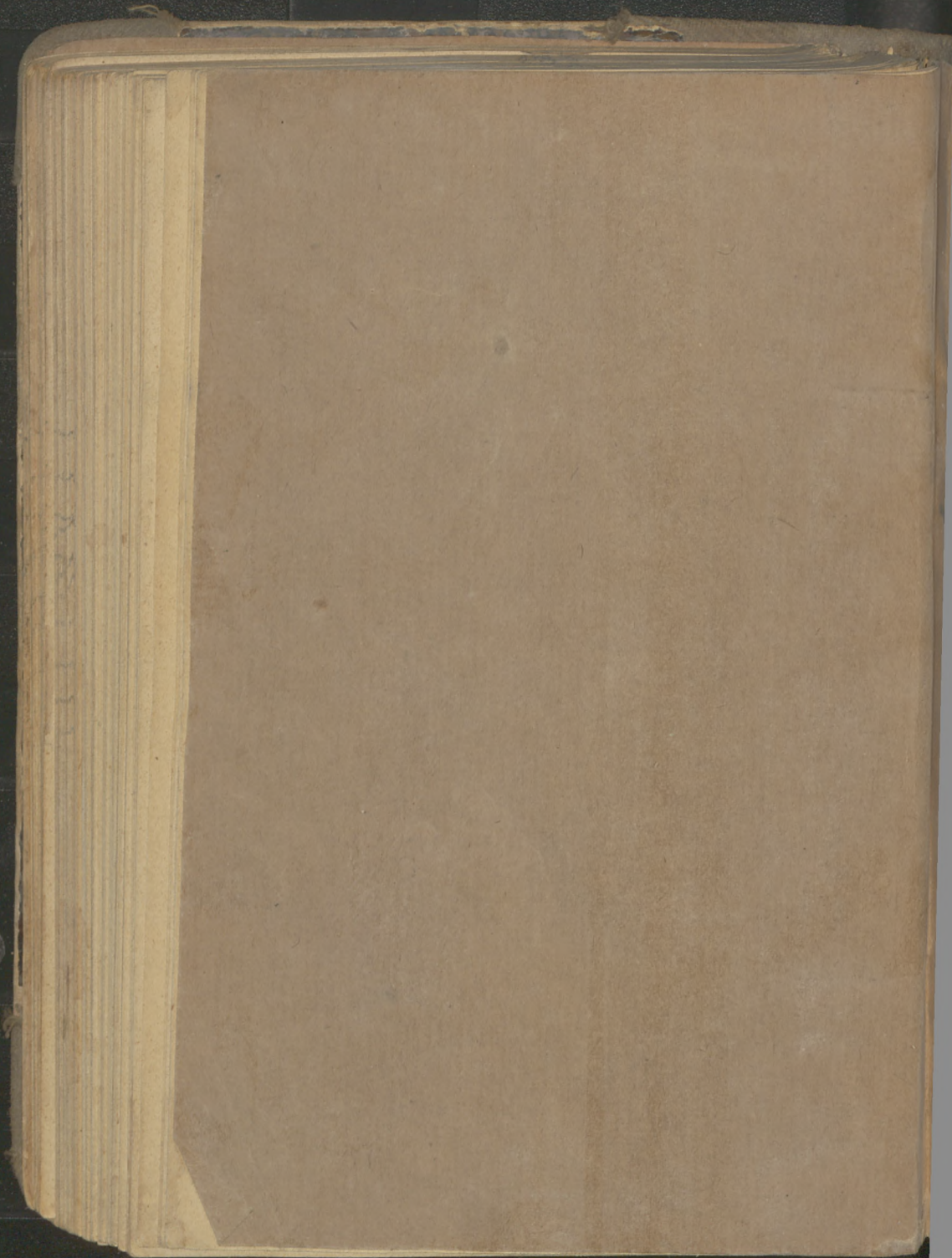
TREŚĆ.

	stronica	rozdział
I. Ojcu mojemu, <i>Juliusz Barbey d'Aurevilly</i>	5	
II. Trzy stulecia w jednym zakątku	7	I.
III. Helena i Parys	32	II.
IV. Młoda staruszka wśród prawdziwych starców	46	III.
V. Historia »Dwunastu«	63	IV.
VI. Pierwsza wyprawa	102	V.
VII. Przerwa pomiędzy dwiema wyprawami	148	VI.
VIII. Druga wyprawa	162	VII.
IX. Niebieski Wiatrak	187	VIII.
X. Dzieje Rumieńca	207	IX.









Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018299296



1460369
